

DLP IMP -7-8-78003159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/367

1978



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. ZUBRZYCKI :

O ASYMILACJI I WIELOKULTUROWOŚCI

BRUKSELczyk :

WIDZIANE Z BRUKSELI I Z ... BELGRADU

B. LASOCKI : **ŹRÓDŁA I TAMA**

A.S. EHRENKREUTZ : **STUDIUM SPRAW POLSKICH**

W. WIRPSZA : **LIST OTWARTY DO HEIRICHA BOELLA**

SPIS RZECZY

Jerzy Zubrzycki:	<i>O asymilacji i wielokulturowości</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	15
Zdzisław Bau:	<i>„Salus” i konspiracja Klimkowskiego (dok.)</i>	29
Witold Wirpsza:	<i>Pojedynek</i>	50
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli i z... Belgradu</i> ..	58
—	<i>Eurokomunizm i Europa Wschodnia</i> ..	70
(WK) Spectator:	<i>Ze sfery dyplomatycznych</i>	73
—	<i>Komitet Wolności w Paryżu</i>	74
K R A J		
XAZ:	<i>Nieudany manewr</i>	76
Witold Wirpsza:	<i>List Otwarty do Heinricha Bölla</i>	80
SPRAWY I TROSKI		
B. Heydenkorn — R. Kogler:	<i>Liczebność Polonii Kanadyjskiej</i>	84
A. S. Ehrenkreutz:	<i>Studium Spraw Polskich</i>	90
—	<i>Spotkanie z przedstawicielami Polonii w Białym Domu</i>	93
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	95
—	<i>„Kontinent” i jego krytycy</i>	103
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina — 60 lat po tragicznej niepodległości</i>	104
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	108
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	110
Włodzimierz Brylewski:	<i>Kronika białoruska</i>	112
KRONIKA KULTURALNA		
Jan Kowalik:	<i>Misjonarz z Bożej Łaski</i>	113
Czytelnik:	<i>Tłumacz „Archipelagu” — Michał Kaniowski</i>	119
—	<i>Miłosz laureatem Nagrody Neustadt</i> ..	123
WOŁANIE NA PUSZCZY		
Kisiel:	<i>Po tej stronie</i>	124
KSIĄŻKI		
Bronisław Lasocki:	<i>Źródła i tuma</i>	128
M. Broński:	<i>Poszukiwanie formuły</i>	140
Janina Katz Hewetson:	<i>Książki z Londynu</i>	144
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i>	146
♦		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	148
—	<i>Apel oddziału SPK w Norwegii</i>	152
♦		
J. Drewnowski:	<i>List do Redakcji</i>	153
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	154
—	<i>Sprostowania</i>	154
♦		
—	<i>Dokumenty Krajowe</i>	155
—	<i>Komunikat Redakcji</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1978

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 16-ty	F. 46,00
Władysław Gauza, Oslo, po raz drugi	F. 100,00
Inż. Zbigniew Hornung, Vlissingen (Holandia), po raz czwarty	F. 40,00
J. L., Rzym	F. 100,00
Walter Jezierski, Chicago, Ill. (USA)	F. 46,00
Franciszek Lachocki, Bloomingdale, N.J. (USA), po raz drugi	F. 23,00
A. K. Ludwig, Springfield (USA)	F. 23,00
Michael S. Ochalski, Chicago, Ill. (USA), po raz siódmy	F. 52,00
Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA), po raz jedenasty	F. 50,00
Władysław Żeleński, Paryż, po raz czwarty	F. 100,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz dziesiąty	F. 220,00
Bezimiennie z Ottawy (Kanada)	F. 150,00
Bezimiennie z Ottawy (Kanada)	F. 1.000,00
Bezimiennie, Paryż (9°)	F. 1.000,00
Bezimiennie, Paryż (12°)	F. 1.000,00
Bezimiennie z Santa Barbara (USA), po raz czwarty	F. 70,00
Czytelnik z Brooklynu	F. 46,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z Chicago	F. 70,00
Bezimiennie z Ottawy	F. 90,00
Bezimiennie z Round Lake, Ill. (USA)	F. 115,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada)	F. 47,30
J. L. Dunin-Karwicz, Sydney — przekazane przez <i>Wiadomości Polskie</i>	F. 27,10
F. H. z USA	F. 25,30
Czesław Kiendys, Göteborg (Szwecja) — w 8-mą rocznicę urodzin (5. 4. 1970) Nicoli — Martiny zamiast prezentu	F. 100,00
Dr Tadeusz Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA)	F. 153,50
K. Nowakowski, Narrandera (Australia) — przekazane przez <i>Wiadomości Polskie</i>	F. 27,10
Wanda Pilecka, Pau (Francja)	F. 100,00
Tadeusz Polezyk, Perth Amboy, N.J. (USA)	F. 11,50
Polskie Stowarzyszenie w Texasie, Dallas, Tex. (USA)	F. 345,00
Rada Weterańska w Cleveland, Ohio (USA)	F. 92,00
Cezary Roztopek, Paryż	F. 55,00
Stow. B. Polskich Kombatantów „Le Castillon-en-Jacons”, Saint-Laurent du Var (Francja)	F. 170,00
Zebrane w Johannesburgu (pp. Baryłko, M. Burdajewicz, Z. Fudakowski, W. Ledóchowski, J. Lutek, De Virion i dwie wpłaty anonimowe) 32 randy	F. 173,00

WPLATY NA P.P.N.

Bezimiennie z Ottawy	F. 90,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada)	F. 47,30
J. L. Dunin-Karwicz, Sydney — przekazane przez <i>Wiadomości Polskie</i>	F. 27,10
J. D. z Connecticut	F. 46,00
Dr Tadeusz Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA)	F. 153,50
K. Nowakowski, Narrandera (Australia) — przekazane przez <i>Wiadomości Polskie</i>	F. 27,10
R. C. z Connecticut	F. 46,00
W. Skorek, Newton (Australia) — przekazane przez <i>Wiadomości Polskie</i>	F. 27,10
S. Tomczyk, New Britain, Conn.	F. 71,30

(Ciąg dalszy Wpłat na str. 160)

O asymilacji i wielokulturowości

Założenia wstępne

„Ilekróć przychodzi mi przemawiać do rodaków na obczyźnie, zadają sobie pytanie: „co stanowi treść życia *zbiorowego* na emigracji?”. Pytanie to zadawało sobie wielu obserwatorów zgrupowań polskich w różnych częściach świata od początku ruchów emigracyjnych z Ziemi Polskich w XIX-tym wieku. Cytuję dla przykładu z Promethidiona, pisanego przez Cypriana Kamila Norwida na paryskim bruku w roku 1850:

„O! gdybym jedną kaplicę zobaczył,
Choćby jak pokój ten, wielkości takiej,
Gdzieby się polski duch raz wyłumaczył,
Usymbolicznął rozkwitłymi znaki;
— Gdzie by czerwony marmur, cios, żelazo,
Poeta — wreszcie Męczennik i rycerz
Odpoczął w pracy, czynie i w modlitwie...
— Gdzie by czerwony marmur, cios, żelazo,
Miedź, brąz i modrzew polski się zjednały
Pod postaciami, co niejedną skazą
Poryte leżą w nas, jak w sercu skały;”

Pozwolę sobie stwierdzić, że Norwid pisząc o „kaplicy” niekoniecznie miał na myśli formę sakralną. Jego kaplica to synteza życia *zbiorowego*, w której najlepsze i najtrwalsze tworzywa zlewają się w „jedną całość”, brzmiejącą w skutkach bo tworzącą nowe wartości. I w tym leży sedno rzeczy. Te nowe wartości

wychodzą poza ciasnotę jednego kręgu kulturowego i stanowią przyczynek do tego co nazwałbym polskim universum. Wróć do tego tematu w dalszej części tego artykułu.

Norwid, poeta i myśliciel epoki późno-romantycznej, o umyśle zadziwiająco skierowanym ku nowoczesnym zjawiskom, wyrażał się zwięźle, niekiedy dziwacznie, ale zawsze przenikliwie. Przykładem jest aforyzm: „Ojczyzna to zbiorowy obowiązek”, umieszczony na zbiorowym grobowcu w Montmorency pod Paryżem, gdzie Norwid jest pogrzebany. Aforyzm ten jest może zbyt jednostronny, zbyt imperatywny, jakby żywcem wyjęty z systemu myślenia Kanta. Dla mnie jego znaczenie nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Naród — w moim pojęciu — to przede wszystkim świadomość wspólnoty kulturowej, historycznej i obyczajowej, która nie ograniczając naszej osobowości, wiąże nas węzłami solidarności z innymi ludźmi. Łatwo to pojęcie zastosować do kogoś ciągnącego wszystkie życiodajne soki z gleby macierzystej. Ale dla Polaka na obcej glebie to pojęcie ojczyzny, jako wspólnego obowiązku, jest trudne do przyjęcia. Im bardziej narastają związki z krajem osiedlenia tym trudniej pojąć poczucie realności związku z ojczyzną. Powstaje skomplikowany proces przenoszenia w sferę wyobraźni i uczuć tego wszystkiego co było, a co Mickiewicz w świetnym skrócie myślowym w „Panu Tadeuszu” sformułował: „Ojczyzna jest jak zdrowie”.

Jak wyrazić można ten właśnie kluczowy problem utrzymania „zdrowia” jednostki wyrzuconej poza ojczyznę? Niewątpliwie emigracja nie jest stanem „zdrowia”. Jest to stan patologiczny, w którym dana jednostka pozbawiona jest życiodajnych soków jakie czerpać można z gleby macierzystej. W tych warunkach koniecznością jest zapuszczanie korzeni w glebie kraju osiedlenia — a więc asymilacja.

Asymilacja i wynarodowienie

Mówiąc o asymilacji nie należy stawiać znaku równania pomiędzy tym nieuchronnym procesem przystosowania się a wynarodowieniem, proces ucieczki od „zbiorowego obowiązku”.

Asymilacja jest zjawiskiem naturalnym, którego nie da się opóźnić. Natomiast wynarodowienie jest zjawiskiem w pełni ujemnym skoro prowadzi do wypaczenia jednostki pozbywającej się korzeni w macierzystej glebie.

Jakże mało jest działaczy polskich na obczyźnie i w kraju, którzy rozumieją istotę tego rozróżnienia! Jak niewiele jest ośrodków polskich, które potrafiłyby rozsądnie pomagać jednostkom

w asymilacji a równocześnie utrzymywać w nich świadomość przynależności do gleby ojczystej. Nazbyt często treść życia zbiorowego zamyka się w ramach dorocznych akademii podczas gdy na co dzień pozostaje tzw. życie towarzyskie w Domu Polskim, którego treścią jest wyszynk alkoholu i maszyny hazardowe.

Te wszystkie cechy życia zbiorowego niosą wszelkie znamiona getta, społecznego i kulturowego wyodrębnienia się od życia społeczeństwa kraju osiedlenia. Tak było na początku zarobkowej emigracji z Ziemi Polskich, ale wtedy miało to uzasadnienie. Kiedy Ks. Leopold Moczygęba prowadził grupę Ślązaków przez stepy Teksasu w 1854 roku, aby objąć w posiadanie ziemię, gdzie mieli osiąść na zawsze, to przyświecał mu niewątpliwie ważny cel jakim miało być przedłużenie ich polskiego życia w Nowym Świecie. Wieś Panna Maria miała się stać amerykańską odmianą Płużnicy Wielkiej. O asymilacji nie mogło być mowy, bo do czego było się upodabniać? Moczygębiowie, Dworaczykowie i Dziukowie byli zdani na własne losy, rzuceni w pustkę, w której z początku sąsiedować mogli tylko z koczującymi plemionami Indian. W tych warunkach nie wolno było się wynaradawiać, ale nie było też sposobności do asymilacji.

Ten sam model osadnictwa przeniesiono do miast i skupisk przemysłowych i osad górniczych w środkowych i wschodnich częściach Stanów Zjednoczonych. W tych warunkach getta narodowościowe miały również początkowo swe uzasadnienie. Przynależność do grupy etnicznej, związki organizacyjne, a szczególnie parafie etniczne, dawały konieczne oparcie dla jednostek wyrzuconych a obcy grunt przez fale masowej emigracji w ostatnim ćwierćwieczu XIX-go wieku i początku XX-go wieku. Ale na dłuższą metę getta polskie i innych narodowości przejawiały tak silne tendencje kostnienia, że nawet drugie pokolenie, dzieci narodzone z emigrantów, asymilowało się tylko pozornie ucząc się języka, najczęściej w postaci żargonowej i przyswajając sobie powierzchowne nawyki i zwyczaje amerykańskie, nie osiągając jednak poziomu wyrobienia obywatelskiego i społecznego „starych” Amerykanów.

Powierzchnowa asymilacja imigrantów stwarzała nie tylko ciasnotę wartości (bo mogli je czerpać tylko ze swej skostniałej polskości), ale również utrudniała awans społeczny jednostek i grup. Polscy imigranci tkwili w gettach Chicago, Detroit i Brooklynu i nie mieli warunków wspinania się po drabinie społecznej kraju osiedlenia. Dopiero trzecie i czwarte pokolenie Polonii wchodzi w to życie polityczne, gospodarcze i kulturalne Ameryki na równych prawach. Wspinając się na szczyble amerykańskiej „drabiny” będą mogli roztaczać swoje wpływy na wszystkie dziedziny. Ale dlaczego proces ten musiał trwać przez co

najmniej trzy pokolenia? Jaki odsetek tych w pełni zasymilowanych Polaków amerykańskich przyznaje się otwarcie i z dumą do swej polskości? Czy większość z nich straciła świadomość swych polskich korzeni?

Przykład Polonii amerykańskiej niekoniecznie musi stosować się w pełni do emigracji polskiej w innych częściach świata. Każdy oddzielny teren inaczej warunkował proces osiedlenia się i stwarzania nowych warunków życia.

Są kraje, gdzie ze względów politycznych procesy asymilacyjne posuwać się mogły bardzo wolno, jak na przykład w Niemczech po roku 1945. W większości jednak wypadków asymilacja bez wynaradawiania musi być celem, do którego zmierzać powinny wysiłki przywódców polskiego życia politycznego i społecznego. Cytuję za Gombrowiczem: „Jestem zdania, że na to aby jakakolwiek grupa społeczna stała się silna, żywotna, twórcza, każdy z jej członków musi stanąć na własnych nogach, nieustępliwie bronić autentyczności własnego, indywidualnego życia”. A ten stan osiągnąć może tylko jednostka świadoma autentyczności swych korzeni w kulturze macierzystej a równocześnie potrafiąca przyswoić sobie w pełni styl życia, wartości społeczne i wartości kultury kraju osiedlenia.

Sukces społeczny i awans zawodowy imigrantów z Holandii, Niemiec i krajów skandynawskich w Ameryce i Australii tłumaczy się niewątpliwie tym, że przybysze znajdują kraj, w którym łatwo godzą się z otoczeniem i *łatwo są przyjęci przez otoczenie*. W tych warunkach zadaniem jakie stoi przed tymi krajami i grupami imigrantów jest zorganizowanie stosunków między różnymi społecznościami etnicznymi w ten sposób, aby każda z nich mogła pielęgnować swoje życie, równocześnie wnosząc swój wkład na rzecz dobra całego społeczeństwa.

Teoria procesu asymilacyjnego

Stan wiedzy o naturze procesu asymilacyjnego rozszerzył się ogromnie w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

Do drugiej wojny światowej nauki społeczne posługiwały się w znacznej mierze aparaturą pojęciową wytworzoną w latach dwudziestych tego stulecia przez tak wybitnych socjologów jak William Thomas, jego polski współpracownik Florian Znaniecki i ich rówieśnik na uniwersytecie w Chicago Robert Park. Uczeni ci nauczyli nas rozróżniać pomiędzy grupą pierwotną (np. rodzina, grupa sąsiedzka), a grupą wtórną (stowarzyszenie zawodowe, ugrupowania terytorialne, naród) w procesie przystosowania imigrantów. Zwrócili uwagę na znaczenie więzów rodzinnych i są-

siedzkich w hamowaniu procesów asymilacyjnych i podkreślili analogiczne znaczenie stanu marginesowego (*marginality*) i wyobcowania (*alienation*) w wypadku jednostek, które nie zostały przyjęte do grup pierwotnych i wtórnych w kraju osiedlenia.

Współczesna teoria asymilacji wprowadziła kluczowe rozróżnienie między asymilacją behawioralną i strukturalną. Asymilacja behawioralna dotyczy sfery zachowań jednostki i grupy społecznej. Zjawisko to często występuje w przypadku osób, które łatwo i szybko przyjmują normy zachowania w codziennym życiu (styl życia, strój, język itd.) lecz nie doświadczają pełnej akceptacji w grupach pierwotnych i wtórnych kraju osiedlenia, a więc nie wchodzą w strukturę społeczeństwa przyjmującego.

Jeśli zastosujemy to rozróżnienie do emigrantów polskich w skali światowej, to stwierdzimy, że nie są oni ani mniej, ani więcej zasymilowani niż emigranci z innych zbiorowości narodowych, przybywający na dany obszar osiedlenia w tym samym czasie.

Powstanie i utrzymywanie się dynamicznych zbiorowości polonijnych w ramach różnych narodów nie wynikało wyłącznie z odśrodkowych, separatystycznych dążeń Polaków, lecz było przede wszystkim konsekwencją obiektywnie istniejących różnic kulturowych, religijnych, językowych i ekonomicznych pomiędzy starym i nowym krajem. Działo tu, jak przypuszczam, prawidłowość uniwersalna: im różnice były większe tym silniejsza potrzeba i konieczność utrzymania własnej kultury czy tworzenia etnicznych instytucji oraz kultywowania więzi społecznej na podstawie dawnych związków regionalnych. Wyłanianie się w tych warunkach społeczności etnicznych, formowanych przez imigrantów, w tym także Polaków, ułatwiał wchodzenie kolejnych przybyszów do nowych wspólnot narodowych, tworząc formy kulturowe, które już nie należały do wzorów kultury kraju pochodzenia i jednocześnie jeszcze nie były tożsame z podstawowym wzorem kultury kraju osiedlenia. Prowadziło to na dłuższą metę do przekształcania się ośrodków polonijnych w mniejszości narodowe lub grupy etniczne.

Asymilacja jest więc procesem ogromnie skomplikowanym, a raczej zespołem procesów społecznych, psychologicznych, a także przemian instytucjonalnych, w wyniku których jednostki i grupy pochodzące z innych społeczeństw i kręgów kulturowych w kraju osiedlenia zostają powoli przetworzone w sferze zachowań i przynależności strukturalnej. Taka definicja wywodzi się od wspomnianego już Roberta Park'a, który w dziele pisany wraz z E. W. Burgess'em określił asymilację jako „proces wzajemnego przenikania się i zlewania, w wyniku którego jednostki i grupy — pod wpływem wspólnych doświadczeń i wspólnej historii

oraz wspólnego uczestnictwa w życiu społeczno-gospodarczym — internalizują (uznają i przyjmują za własne) pamięć, uczucia i postawy innych jednostek i grup”.

Współczesny teoretyk procesów asymilacyjnych, zachodzących w emigracji polskiej, H. Kubiak, tak rozszerza powyższą definicję:

„Asymilacja, ujmowana jako proces, obejmuje zarówno akulturację jak i integrację społeczną. Akulturacja to szeroko pojęta przemiana wzorów kultury, dokonująca się pod wpływem uczestnictwa w różnych formach życia społeczno-kulturalnego kraju osiedlenia. W jej skład wchodzi: *wzajemne mieszanie się kultur* grup asymilowanych i asymilujących, *tworzenie się nowych wartości* w wyniku zderzenia się elementów pochodzących z odmiennych kultur oraz *rozkład kultur* (głównie zbiorowości asymilowanych). Integracja społeczna przejawia się natomiast w zmianie stosunków społecznych pomiędzy zbiorowościami zaangażowanymi w procesie asymilacji. W jej wyniku separacja, połączona z dyskryminacją, zostaje zastąpiona lub przynajmniej ograniczona przez partnerstwo. Akulturacja stanowi warunek konieczny integracji, nie musi jednak powodować integracji w każdych warunkach. Sytuacja niektórych grup, np. Murzynów amerykańskich, dobrze ilustruje ten przypadek, to znaczy akulturacja przy jednoczesnym utrzymaniu się uprzedzeń i dyskryminacji, a więc akulturacja bez integracji.

Asymilacji w nowym kraju osiedlenia podlegają zarówno zbiorowości emigrujące z już uformowanych, nowoczesnych narodów jak i narodów dopiero formujących się, a także przednarodowych grup etnicznych. Niezależnie jednak od tego czy asymilują się grupy o uświadomionej przynależności narodowej czy tylko grupy stanowiące 'nienarodowy materiał etniczny', wszystkie one rozpoczynają z zasady proces asymilacji od umocnienia lub wykształcenia świadomości poprzedniej przynależności narodowej czy etnicznej, a dopiero później stopniowo nabywają świadomości nowej tożsamości państwowej i narodowej. Jest to, jak sądzę, obiektywna prawidłowość wynikająca ze zderzenia się z odmiennymi wzorami i kultury i interesami uwarunkowanymi przez podłoże historyczne, które zmusza do uświadomienia sobie własnej inności i prowadzi na tej podstawie do uformowania się z amorficznych społecznie grup imigranckich odrębnych grup etnicznych. W tym sensie wytworzenie się w kraju imigracyjnym grup etnicznych należy uznać za pierwszy etap procesu asymilacyjnego. *Drugim* etapem tego samego procesu będzie uświadomienie sobie przez różne grupy etniczne wspólnoty przeszłości, kultury i interesów państwowych z innymi grupami dominującymi w nowym kraju. Przyпускаjąc, że większość zbiorowości polonijnych, a w każdym razie wytworzonych przez emigrację XIX-towieczną, znajduje się na drugim etapie procesu asymilacyjnego¹”.

Asymilacja i wielokulturowość

Zagadnienie współistnienia kultur tj. wielokulturowości jest kluczowym problemem polityki społecznej wszystkich krajów posiadających znaczne mniejszości narodowe. Są to kraje takie jak Stany Zjednoczone, Kanada i Australia, w których obok nie-

1. *Stan i potrzeby badań nad zbiorowościami polonijnymi*. Ossolineum, 1976.

wielkich grup autochtonów reszta ludności to imigranci lub ich potomkowie, rekrutujący się z wielu krajów zamorskich. Są to również kraje, które powstały drogą pokojowej symbiozy narodów sąsiadujących na terenie jednego tworu państwowego (Szwajcaria), względnie na skutek ekspansji politycznej, w konsekwencji której całe narody wchłonięte zostały przez zaborcę (Rosja Sowiecka).

W tych wszystkich krajach procesy współistnienia kultur i ich dynamika sprowadzają się do dwóch dziedzin: utrzymania wzorców kulturowych oraz zachowania wspólnot etnicznych w ich strukturalnych wymiarach. Pierwszą z tych dziedzin nazwę pluralizmem kulturowym, drugą pluralizmem strukturalnym. Utrzymanie obu dziedzin współistnienia kultur przy pomocy odpowiedniego aparatu instytucjonalnego daje pełnię wielokulturowości. Wielokulturowość posiada swój niemal doskonały model w postaci Szwajcarii, gdzie wielowiekowe doświadczenie współżycia czterech narodów w ramach ustroju federalnego umożliwiło każdej z grup narodowych osiągnięcie nie tylko równouprawnienia politycznego, ale również zachowanie języka, zwyczajów, niektórych form życia zbiorowego i organizacji sąsiedzkich.

Zaprzeczeniem tego modelu jest Związek Sowiecki, gdzie — jak np. dowodzi spis ludności — nie ma obiektywnych warunków dla rozwoju pluralizmu kulturowego (szczególnie w sferze językowej), a równocześnie poszczególne grupy narodowościowe pozabawione są prawa zachowania własnych struktur ściśle etnicznych i samostanowienia o swym losie.

We wspomnianych już trzech krajach, których ludność pochodzi w przytłaczającej większości z imigracji, proces współistnienia kultur rozwijał się oczywiście inaczej aniżeli w państwach federalnych, o których była mowa powyżej. W Stanach Zjednoczonych A.P., Kanadzie i Australii nie ma znacznych mniejszości narodowych, zamieszkujących określone terytorium².

Są natomiast stosunkowo znaczne grupy etniczne, składające się z dwóch lub więcej pokoleń imigrantów, niejednokrotnie geograficznie rozproszone ale w znacznej części utrzymujące więzi kulturowe oraz odrębne struktury etniczne, takie jak organizacje społeczne, wyznaniowe, zawodowe i związki samopomocy.

W krajach wyżej wspomnianych, tj. w znacznej części anglosaskich, do niedawna jeszcze pokutowała polityka anglokonformizmu. W Stanach Zjednoczonych w latach dwudziestych i trzydziestych polityka tzw. amerykańkizacji (*Americanization*) pro-

2. Wyjątkiem tu są małe grupy religijne, osiadłe od co najmniej dwóch stuleci w niektórych częściach Ameryki Północnej i utrzymujące ściśle odrębność kultury, stylu życia i organizacji społecznej. Mam tu na myśli szczególnie Menonitów i Huterytów.

wadzić miała nie tylko do szybkiej asymilacji ale także do ztracenia wszelkich emocjonalnych więzów z glebą macierzystą poszczególnych grup narodowościowych. Polityce tej sekundowały surowe restrykcje imigracyjne, wprowadzone częściowo w ramach zataczającej szerokie kręgi reakcji przeciw idealizmowi Wilsona, a częściowo w trosce o uchronienie jednorodności kulturowej narodu amerykańskiego poprzez uprzywilejowanie ludności pochodzenia anglosaskiego i celtyckiego oraz niemieckiego i skandynawskiego. Stąd surowość „kwot” imigracyjnych w odniesieniu do ludności włoskiej i słowiańskiej.

Podobne restrykcje imigracyjne wprowadziła Kanada i Australia w okresie międzywojennym. W obu tych krajach, należących do Wspólnoty Brytyjskiej, anglokonformizm uważany był za jedyne możliwe rozwiązanie problemu mniejszości. A odbywało się to w sposób przeważnie bierny tj. przez pozostawienie grup etnicznych sobie samym i nieudzielanie im żadnej pomocy na rzecz utrzymania odrębności kulturowej.

Wielokulturowość, rozumiana jako zespół instytucji, przepisów prawnych i subsydiów finansowych, mających na celu utrzymanie pluralizmu kulturowego i strukturalnego, jest zjawiskiem stosunkowo niedawnym, szczególnie w krajach anglosaskich. W Ameryce Północnej ten model polityki mniejszościowej znalazł swój pełny wyraz w czwartym tomie raportu kanadyjskiej Royal Commission on Biculturalism and Bilingualism (1969) i oświadczeniu premiera Trudeau, przyjmującego najważniejsze zalecenia i dezyderaty tego ogromnie ważnego dokumentu (1971). Dalszy rozwój wielokulturowości i działalności resortów państwowych, odpowiedzialnych za wprowadzenie tej polityki w życie na terenie Kanady, są znane dobrze czytelnikom *Kultury* z artykułów Benedykta Heydenkorna.

Wprowadzenie wielokulturowości do prawodawstwa i praktyki administracyjnej Australii trwało znacznie dłużej aniżeli w Kanadzie. Przez 25 lat powojennej imigracji pokutowało tu przeświadczenie, że przybysze mają się asymilować szybko i że wobec tego najlepiej zostawić ich własnemu losowi. Socjolog australijski Jean Martin nazwała to terminem *policy of non-confrontation* (polityka pomijania). Dopiero w ostatnim pięcioletniu sprawa wielokulturowości weszła na forum dyskusji publicznej, wspierana w sposób dobitny przez polityka laburzystowskiego A. J. Grassby'ego, ministra do spraw imigracji w latach 1972-1974 a obecnie Wysokiego Komisarza dla Spraw Mniejszości (*Commissioner for Community Relations*), odpowiedzialnego przed Parlamentem za przestrzeganie ustawodawstwa, wydającego się z Międzynarodowej Konwencji Przeciwko Dyskryminacji Rasowej. Zielona księga w sprawie polityki ludnościowej

i imigracyjnej (*Green Paper on Immigration Policies and Australia's Population*), ogłoszona w marcu 1977 roku, przedstawiła wielokulturowość jako jeden z przyszłych modeli polityki imigracyjnej i ludnościowej. Opracowaniem tego modelu zajęła się, na zlecenie Rządu Federalnego, Australijska Rada dla Spraw Etnicznych, której przewodniczący (Jerzy Zubrzycki) opublikował manifest pod tytułem *Australia as a Multicultural Society*, przedstawiony w przededniu otwarcia kampanii wyborczej do Parlamentu Federalnego Australii w listopadzie 1977 roku.

Australia as a Multicultural Society (Australia jako społeczeństwo wielokulturowe) jest to broszura o objętości 10.000 słów, zawierająca zasadnicze wytyczne (*guidelines*) polityki wielokulturowości. Sprowadzają się one do trzech zaleceń: równouprawnienie społeczne i ekonomiczne mniejszości nie-anglosaskich, uznanie tożsamości kulturowej (*cultural identity*) jednostki jako wskaźnika przynależności grupowej i zwartość społeczna (*social cohesion*) całego społeczeństwa, wykluczająca konflikt między grupami o różnym pochodzeniu etnicznym i rasowym. Większa część manifestu traktuje o wprowadzeniu w życie tych trzech wytycznych w dziale zatrudnienia, szkolnictwa i stosunków międzyludzkich. W ostatniej części Australijska Rada dla Spraw Etnicznych wysuwa na pierwszy plan problem łączenia rodzin jako główny dezyderat polityki imigracyjnej na przyszłość.

Ogłoszenie manifestu o wielokulturowości spotkało się z przychylnym przyjęciem w prasie, radiu i telewizji australijskiej. Co więcej, przywódcy obu głównych partii politycznych umieścili wielokulturowość w swoim programie wyborczym. Przywódca Liberal Party (i Prezes Rady Ministrów) Malcolm Fraser w przemówieniu na otwarcie kampanii wyborczej w listopadzie 1977 roku, powiedział, że Australia *jest* już społeczeństwem wielokulturowym. Konsekwencją tego stanu rzeczy musi być wprowadzenie w życie ustawodawstwa, które zrealizuje aspiracje mniejszości etnicznych jeśli pragną one zachować swój język, tradycje i poczucie przynależności grupowej. Gough Whitlam, przywódca Australian Labor Party, w programie wyborczym swego stronnictwa podkreślił konieczność wprowadzenia specjalnego programu telewizyjnego dla grup etnicznych (Ethnic Television) obok istniejących już radiostacji etnicznych oraz rozszerzenia i ulepszenia oświaty dla imigrantów.

Zakończenie

Przyjęcie modelu wielokulturowości przez Stany Zjednoczone, Kanadę i Australię jest niewątpliwie zjawiskiem, które należy

powitać z uznaniem. Pamiętać jednak trzeba, że deklaracje przywódców politycznych i miliony dolarów wydanych na programy wielokulturowościowe nie zmieniają z dnia na dzień postaw moralnych i wartości mas ludzi, którzy przez parę pokoleń myśleli i postępowali w duchu anglokonformizmu. A więc wspomniane wyżej wypowiedzi i programy to dopiero początek, którego echa w pierwszym rządzie powinny rozejść się po świecie, wszędzie tam, gdzie mniejszości narodowe nie mają warunków na zachowanie własnych wzorów kulturowych, nie mówiąc już o zachowaniu wspólnot etnicznych w ich strukturalnych wymiarach.

Jakie wnioski płyną z wprowadzenia w życie pluralizmu kulturowego i strukturalnego dla grup mniejszościowych?

Dwa aspekty wielokulturowości w praktyce przychodzą mi na myśl. Wspomnę o nich po krótko, bo każdy wymaga oddzielnego artykułu.

Pierwszy aspekt to sprawa współzależności pomiędzy pluralizmem strukturalnym a uwarstwieniem klasowym. Sprowadza się to do odpowiedzi na kilka zasadniczych pytań. W jakim stopniu istnienie mikrostruktury etnicznej utrudni awans społeczny jednostek i grup etnicznych? Czy istnienie grup zawodowych o specyficznym składzie etnicznym spowoduje powstanie systemu stratyfikacji etnicznej, tj. systemu, w którym o pozycji jednostki w uwarstwieniu społecznym decydować będzie jej pochodzenie etniczne a nie takie obiektywne kryteria jak wykształcenie, zawód czy dochód?

Niełatwo dać odpowiedź na te pytania. Niewątpliwie polityka wielokulturowości daje obiektywne podstawy do powstawania odrębnych struktur etnicznych, które stwarzają w ramach danej mniejszości specyficzną mikrostrukturę ekonomiczną i społeczną. Jeśli do tego dochodzi, to grupa mniejszościowa uniezależnia się gospodarczo i społecznie od reszty społeczeństwa i traci z nim styczność. Co więcej, możliwości awansu społecznego dla członków danej mniejszości są proporcjonalnie mniejsze bo nie obejmują pełnej siatki zawodów tj. makrostruktury, jaką wytwarzać może tylko całe społeczeństwo.

Takie rozwiązanie nie jest wcale ideałem polityki wielokulturowości na długą metę, albowiem założeniem tej polityki jest *utrzymanie własnego stylu życia, ale pod warunkiem, że ma ono stać się częścią kultury całego społeczeństwa*. A więc wielokulturowość zakłada konieczność asymilacji jednostek, stwarzając równocześnie warunki, w których nie nastąpi szybkie wy-narodowienie.

Drugi aspekt problemu wielokulturowości dotyczy szczególnie Polaków na emigracji. W układzie wielokulturowości każda grupa mniejszościowa ma obowiązek wkładu do ogólnego stru-

mienia życia całego społeczeństwa. A jakież wkład dają Polacy na co dzień? Jakże często ogranicza się to do pokazywania własnych tańców, strojów i potraw narodowych. Czy te pięknie wystrojone łowiczanki, krakowiarki i dobrze wyćwiczeni górale, którymi tak często afiszujemy się na zewnątrz, to pełny obraz polskości? Czy postacie Kościuszki i Pułaskiego zmitologizowane na zewnętrzny użytek, które, jak mówi Leopold Tyrmand w *Wiadomościach* — „dzięki nam bytują jak malowanki” — to wszystko co możemy dać w układzie wielokulturowości amerykańskiej lub też australijskiej?

Odpowiedź na to pytanie może być tylko jedna: Jeśli chcemy po sobie pozostawić trwałą ślad, to możemy to robić tylko podkreślając to, co na wstępie nazwałem polskim universum.

Pisał o tym już wiele lat temu Gombrowicz we fragmencie, który opublikowała *Kultura* w październiku 1977 pt. „Sursum corda”:

„Jesteście u siebie, choćbyście znajdowali się w Argentynie lub Kanadzie, ponieważ ojczyzna nie jest miejscem na mapie, ale żywą istotnością człowieka... Dziś natomiast nie mieszkacie w Polsce, ale za to Polska silniej w was zamieszkała — ta Polska, którą określić należy jako najgłębszą ludzkość waszą, urobioną pracą pokoleń... Na szczęście macie przy boku sztukę polską, która dziś stała się czymś prawdziwszym i ważniejszym niż bezdomne ministeria... Ona, sztuka, otworzy wam oczy na groźną piękność współczesności, na wielkość waszego zadania, a zbyt prowincjonalne uczucia zastąpi uczuciem nowym na miarę świata”.

A więc rzecz w tym aby te prowincjonalne uczucia, które niestety dominują w emigracyjnych poczynaniach na co dzień „zastąpić uczuciem nowym na miarę świata”.

W tym leży sens polskiego uniwersum.

Tak stawiając sprawę nie neguję bynajmniej potrzeby utrzymania polskich tradycji, wyrażających się w tańcach i strojach narodowych. Ale obok tego, jak przypominali nam Norwid i Gombrowicz, znacznie ważniejsze jest podkreślenie wkładu polskiej sztuki, nauki, myśli politycznej i literatury do *tworzenia wartości uniwersalnych*.

Weźmy raz jeszcze przykład Kościuszki. W naszej działalności na zewnątrz niewiele znaczy albumowa postać w sukmanie. Natomiast winniśmy pokazywać obraz człowieka, którego wizja wolności i równości przerastała miarę współczesnych po obu stronach Atlantyku. W emigracyjnej publicystyce polskiej brak tego co w postaci Kościuszki trwalsze jest od spizu, co przetwarza postać dziejową w komponent każdej okoliczności, w to, co jest uniwersalne, a nie polsko-zaściankowe. A to stanowić musi kluczowy składnik każdego układu wielokulturowego.

Wiele razy mówiłem o tym do rodaków w Ameryce Pół-

nocnej, Europie i Australii. Sądę, że niewielu z moich słuchaczy chciało zrozumieć istotę poruszanych tu problemów. Większość woli trwać w zaściankowych grupach etnicznych, chodzić na patriotyczne akademie i głośno krytykować tych, którzy się zasymilowali, trwoniąc równocześnie swe zarobki w barze Domu Polskiego. Czy i tym razem będę źle rozumiany? Cytowany wyżej Norwid widział się w podobnych okolicznościach:

*„Tu skończył. — Jedni rzecz znaleźli śliczną,
A gadaniną drudzy ekscentryczną,
A inni — dzieło pisać mu radzili,
Ile możliwości grube (!), z tablicami
Którego nigdy by nie rozkupili,
Czytali głośno, chwalili stronami;
Które by w Lipsku wyszło po trzech latach,
Gdy może, z chleba lepiąc w kazamatach,
Powstanie jaki polski Benvenuto
I w orlim hełmie wyrzeźbi Rozkutą!...*

*Dość jest — jeżeli z wierszy tych zostanie
Dwa w życiu; jeśli medalem przysławią
W skarbonkę słowa wierszy stąd dwa wkanie?...
— Skończyłem...
... Życze-ć, czytelniku, zdrowia”.*

Jerzy ZUBRZYCKI

Canberra, Australia, grudzień 1977 - styczeń 1978.

NOTA BIOGRAFICZNA

Jerzy ZUBRZYCKI, ur. 1920 r., w Krakowie kończył gimnazjum im. Sobieskiego. Służba wojenna w AK, w Włoszech i w Wielkiej Brytanii. Studia ekonomiczne i socjologiczne w London School of Economics, oraz Polski Uniwersytet na Obczyźnie.

Od roku 1956 przebywa w Australii, początkowo jako pracownik Zakładu Demografii, a później Socjologii Australian National University w Canberra.

Od 1970 r. profesor i kierownik Wydziału Socjologii na tymże uniwersytecie. Prezes Komitetu Planowania Społecznego, Australian Immigration Advisory Council (1971-1974). Przewodniczący Australijskiej Rady do Spraw Etnicznych (Australian Ethnic Affairs Council) od 1977. Członek Australijskiej Akademii Nauk Społecznych. Wykłady na wielu uczelniach w Ameryce Północnej, w Wielkiej Brytanii, w Europie Zachodniej i w Polsce.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 17 stycznia 1978

Wkrótce po osiedleniu się w Neapolu, pod koniec 1955 roku, postanowiłem odwiedzić profesora Vincenzo Palmieri, kierownika zakładu medycyny sądowej na Uniwersytecie Neapolitańskim i jednego z dwunastu sygnatariuszy orzeczenia Międzynarodowej Komisji Medycznej w Katyniu. Próbował mi tę wizytę zaaranżować ksiądz C., również wykładowca uniwersytecki, mój przyjaciel i dobry znajomy profesora. Odpowiedź była grzecznie odmowna. Profesor, „w pełni doceniając” moje zainteresowanie, „wolał jednak nie rozkopywać w rozmowie na nowo grobu katyńskiego, nie przywoływać bolesnych upiórów przeszłości”. Odmowę, którą sobie wówczas tłumaczyłem względami politycznymi (Palmieri był przez jakiś czas demochryścijańskim burmistrzem Neapolu i przypuszczalnie zdążył się nauczyć dyplomatycznej ostrożności wobec miejskiej, wyjątkowo agresywnej lewicy komunistycznej), mój miły przyjaciel barnabita osłodził księzowskim rozłożeniem rąk i wzniesieniem oczu do nieba.

Tyle minęło lat, zapomniałem zupełnie o Palmierim, albo podświadomie uznałem że już pewnie nie żyje. I oto naraz zgadło się o nim w tych dniach na obiedzie u chirurga S., który mnie przed rokiem operował. „Palmieri? Żyje, żyje, bardzo stary, od lat na emeryturze, ale żyje i nawet trochę jeszcze pracuje”. Nazajutrz S. zatelefonował do niego i natychmiast przetelefonował mi zaproszenie na dziś rano: „Bardzo chce pana widzieć, bardzo chce z panem porozmawiać”.

Od rana leje dziś z krótkimi przerwami, z ostrym wiatrem, tak porywistym że niosło mnie prawie na wzdętym parasolu do starej dzielnicy uniwersyteckiej, jak emeryta z noweli Schulza.

Pędziłem szybko labiryntem zaułków przemoczony, zasapany, podniecony, dobrze przecież wiedząc że po dotarciu do celu wyprawy nie usłyszę niczego nowego. W pewnej chwili ze zwojów pamięci wydobył się Dzień Zaduszny 1952 roku: tak samo pluchowaty i zimny, niby rano a jak gdyby pora zmierzchu, jechałem z Monachium do Dachau. Moje życie neapolitańskie jest pustawą i samotną, tą pustką i samotnością które potrafi zrozumieć tylko emigrant w nieuleczalnie obcym, zaakceptowanym po wierzchu i nienawistnym w głębi, mieście; miałem wrażenie, że wybieram się na polski cmentarz, wrażenie zbliżone do gruzełka w gardle jaki wywołuje we mnie zawsze widok Opactwa na Monte Cassino z autostrady do Rzymu. A Palmieri? Dlaczego tak bardzo chce mnie zobaczyć, dlaczego tak bardzo chce porozmawiać ze mną o tym co przeżył trzydzieści pięć lat temu? Sekrety starości, sekrety łzawiących nagle oczu i gwałtownej potrzeby zamknięcia wszystkiego w słowach wypowiedzianych na głos do kogoś kto *sente l'argomento*, czuje temat? Świadomość że jest teraz jednym z ostatnich, jeśli nie ostatnim, z komisyjnej dwunastki?

Zakład medycyny sądowej mieści się w budynku poklasztornym, zaniedbanym i o krok od rozpadu jak cały stary parszywiejący Neapol, z ogrodem zarośniętym chwastami i obróconym w półśmietnik. Palmieri zachował tu dawny profesorski pokój, mimo że zjawia się w nim rzadko i jeszcze rzadziej bywa niepokojony przez swych następców. Zostało mu, po osiemdziesiątce, uporządkowanie biblioteki i archiwum.

Moje pytania okazały się płodem rozgorączkowanej wyobraźni. Mówił głosem bezbarwnym i rzeczowym, z lekką tylko intonacją wzruszenia, jakby wykorzystywał po prostu niespodzianą okazję dla zrekapitulowania u schyłku życia, i archiwalnego opieczętowania, sprawy która w jego półwiekowej karierze kryminologa nie miała sobie równych. Zdjął z półki i postawił przede mną duże pudło, nabite setkami fotografii. To był polski cmentarz ilustrowany w sercu starego Neapolu. Wodziłem po nim wzrokiem, rozkładałem na stole coraz to nowe talie fotografii, chwytając uchem strzępy zaledwie opowiadania.

— Fetor, straszliwy fetor, którego nie zapomnę nigdy. Trudno nam było pracować, mimo że trupy zakonserwowały się bardzo dobrze w suchym gruncie, ocalały nawet w kieszeniach mundurów legitymacje, listy, skrawki gazet, zdjęcia rodzinne. Niech pan się przyjrzy tej fotografii, głowy w bloku ziemi, wyglądają jak obłe płaskorzeźby w fasadzie odkopanej świątyni...

— Nie było wątpliwości, nikt z naszej dwunastki nie miał żadnych wątpliwości, nie padło ani jedno zastrzeżenie. Zdecydowała sekcja czaszki, dokonana przez profesora Orsosa z Budapesztu; na wewnętrznej ścianie znalazł neosubstancję, która za-

czyną się formować po trzech latach od śmierci. Trzyletni był też brzoźowy laszek, posadzony na grobie. Redagowaliśmy orzeczenie do trzeciej nad ranem, żeby uzgodnić najdrobniejsze poprawki i niuanse wszystkich sygnatariuszy. Orzeczenie jest niepodważalne. Podpisali je bez wahania i profesor Markow z Sofii i profesor Hajek z Pragi, nie należy się dziwić ich późniejszym odwołaniom. Odwołałbym może i ja, gdyby wyzwolenie Neapolu przypadło było w udziale wojskom sowieckim...

— Nie, nie było najmniejszych nacisków niemieckich, pomagał nam tylko z urzędu oficer łącznikowy, profesor Buhtz z Uniwersytetu Wrocławskiego, rozstrzelany zresztą potem za powiązania ze spiskiem Stauffenberga. Podobno ukazało się sporo książek o Katyniu, nie czytałem ich, cóż mogą dorzucić do tego co sam wiem...

— Zbrodnia była sowiecka, nie ma dwóch zdań. Kiedyś Rosjanie będą musieli się do niej przyznać, czy to prawda że Chruszczow wystąpił z taką propozycją? Nic prostszego, zwalić całą winę na Stalina i poprosić Polaków o przebaczenie. Do dziś przesładuje mnie ten obraz: oficerowie polscy na kolanach, ze związanymi rękami, kopnięciem strącani w dół po strzale w tył czaszki...

— Tuż po wojnie, w oswobodzonym Neapolu, miałem ciężkie życie jako członek Komisji. Dosłownie dzień w dzień szarpał mnie i lżył w *Unità* Mario Alicata, za akademickich czasów obiecujący aktywista faszystowski. Żądał usunięcia mnie z Uniwersytetu. Doszło do tego że nawet Adolfo Omodeo, przyzwoity człowiek, nowy rektor z poręki Crocego, doradzał mi dobrowolne wyrzeczenie się katedry w obawie przed demonstracjami komunistycznymi, przed afrontami ze strony studentów. Nie dałem się zastraszyć, wytrzymałem jakoś... Nasze spotkanie, *caro amico*, zamyka długą historię.

26 stycznia

Ukoronowaniem tomiska Ericha Fromma *Anatomia ludzkiej destrukcyjności* jest „portret charakterologiczny” Hitlera. Autor głośnej *Ucieczki od wolności* bada Hitlera jako „przypadek kliniczny nekrofilii”. Chodzi o nekrofilie nie w jej potocznym znaczeniu perwersji seksualnej, kopulacji z trupami, czyli nie w tym znaczeniu jakie miałem na myśli, pisząc niedawno w dzienniku że zachodni terroryści są nekrofilami ideologii. Fromm wskazuje wyraźnie, skąd wziął określenia „nekrofil” i „nekrofilski”; i „portret charakterologiczny” Hitlera włącza do kon-

tekstu, w którym zostały po raz pierwszy chyba użyte bez odwołania aluzji lub przenośni seksualnej. W roku 1936 na Uniwersytecie w Salamance, gdzie rektorem był Miguel de Unamuno, zorganizowano „wykład” nacjonalistycznego generała Millana Astray. Generał gustował szczególnie w okrzyku *Viva la muerte!*, podchwytywanym z zapałem przez jego klakierów w auli uniwersyteckiej. Po generalskim „wykładzie” przemówił do zebranych Unamuno: „Słyszysz tu *nekrofilski* i niedorzeczny okrzyk: Niech żyje śmierć! I ja, życie strawiwszy na tworzeniu paradoksów, które do wściekłości doprowadzały ludzi niezdolnych do ich zrozumienia, muszę wam jako ekspert oświadczyć, że ten barbarzyński paradoks przejmuję mnie obrzydzeniem”. Fromm szkicuje „portret charakterologiczny” wodza Trzeciej Rzeszy „nekrofilską” kredką rektora Uniwersytetu w Salamance.

W tym portrecie pociąga mnie najbardziej gruba i stanowcza krecha profilu, znacznie mniej natomiast subtelne podcieniowania psychoanalityczne. Na niwie psychoanalizy Fromm nie przecignie swego bostońskiego kolegi Waltera Langera, który z polecenia Roosevelta odmalował „umysł” Hitlera aż do takich detali jak jedno jajo w woreczku jądrowym i upodobanie do spółkowania „ekskrementalno-perkusyjnego”. Ale *Viva la muerte!*, kult i często insygnia czaszki, imperatyw ludzkiej destrukcyjności we wszystkich odmianach współczesnego totalitaryzmu, to zjawisko o wiele poważniejsze od psychoanalizy wodzów, jakkolwiek nie ma powodu całkowicie lekceważyć ich osobistych zaburzeń, kompleksów, dramatów (inne lektury każą mi ostatnio dużo myśleć o analogii Stalin-Kaligula). Hitler uwielbiał słówko *Endlösung*, marzył — o czym wiadomo z pamiętników Speera — o zrównaniu z ziemią Paryża i Leningradu, groził zniszczeniem całego narodu niemieckiego jeśli nie stanie na wysokości wyznaczonej mu przez los „misji dziejowej”. Trupie czaszki ekscytowały zwolenników Mussoliniego i generała Franco. Trupie wyziewy, z domieszką językowej makabry, biją ze stalinowskiego hasła *žit' stało tuczszje, žit' stało wiesieleje*. Zwykło się uważać za błąd raczej książeczkę *Praktyka i teoria bolszewizmu*, którą Bertrand Russell napisał w roku 1920 po miesięcznym pobycie w ZSSR. Miesiąc, i to w trzy lata niespełna po rewolucji, wystarczył mu do niezestarzałego po dziś dzień sformułowania: „W zasadach bolszewizmu więcej jest pędu do zniszczenia starego, niż do zbudowania nowego”. Tym się, jak sądzę, tłumaczy coś w rodzaju konserwatywnej nostalgii, niekiedy wręcz dziecinnej, w krajach podbitych przez totalitaryzm. *Rok 1984* Orwella można czytać jak tragedię daremnej walki z ludzką destrukcyjnością.

Na planie lingwistycznym, gdyby ktoś zdecydował się rzeczy-

wiście ułożyć sowiecki odpowiednik *Języka Trzeciej Rzeszy* Klemperera, uderzy jednorodność *basic totalitarian* w głównej kategorii czasowników z wykrzyknikiem: zniszczyć, unicestwić, zlikwidować, wypalić (koniecznie gorącym żelazem), wyrwać (naturalnie z korzeniami), zdusić, rozdeptać, zdławić, zburzyć, zemleć, rozgromić. Trujące działanie tego lingwistycznego gniotu jest właściwym, choć umiejętnie ukrytym, tematem tak popularnej obecnie w ZSSR powieści Trifonowa *Dom na Nadbrzeżnej*. Wiele lat temu oglądałem film *All'armi siam fascisti — Do broni jesteście faszystami*, — montaż kronik filmowych z lat Ery Faszystowskiej (jak ją oficjalnie nazywano). Dokładnie to samo: co parę słów czasownikowa seria z kulomiotu *distruggere, annientare, strozzare, estirpare, demolire*.

27 stycznia

Według Fromma kanclerz Trzeciej Rzeszy tłumił świadomość swego pragnienia destrukcji w sposób typowo kliniczny: formą „reaktywności”. Owa „reaktywność” polega na pielęgnowaniu w sobie cech diametralnie przeciwnych własnej naturze. Hitler nie znosił polowań, unikał inspekcji frontowych związanych z widokiem zabitych i rannych żołnierzy, był wegetarianinem tak przysięgłym i nudnym, że za każdym razem gdy współbiesiadnikom podawano do stołu rosół, prychał pogardliwie: „Pijcie tę herbatę z trupa”. Dopiero pod koniec życia pancierz pękł: w roku 1944 na biurku wodza pojawiła się fotografia uczestników spisku wojskowego, powieszonych na hakach reżnickich.

Psychoanalitycy pokiwiają tu przytakująco głowami, mnie mało wrażliwemu na arkana ich wiedzy tajemnej trafia do przekonania celny podtytuł książki Hanny Arendt o Eichmannie: *A Report on the Banality of Evil*. Boże, jak banalny jest Diabeł! I jak potęga jego kryje się właśnie w banalności! Apologeta przesądów, zwolennik „dobrej roboty”, rozkochany w kanarkach i kotach, ocierający ukradkiem łzy na dźwięk ulubionych kawałków Schuberta, nieoceniony kompan przy kuflu piwa i w partyjce domina lub warcabów, galant wobec dam, nierzadko zapiewało w chórach kościelnych. Ale, zdemaskowany, *nam* wyrzuca drwiąco że jesteśmy niewolnikami przesądów.

Po wojnie słynny był w Londynie proces urzędnika bankowego nazwiskiem, jeśli mnie pamięć nie myli, Haigh. Był urzędnikiem wzorowym, o nienaganych manierach, zawsze uśmiechniętym i uczynnym, dbał o swój wygląd, miał życie kawalerskie uregulowane jak zegarek, codziennie wieczorkiem zachodził do

pubów a w niedzielę do kaplicy. W pubach co pewien czas „podrywał” jakąś starszą panią, wioził ją za miasto do kupionej niegdyś szopy, tam zabijał, wypijał szklankę ciepłej krwi i zwiłki rozpuszczał w kadzi pełnej specjalnego roztworu. Powinęła mu się noga przy dziesiątej czy jedenastej, jakiś przedmiot w garderobie kobiety okazał się nierozpuszczalny. Lekarze uznali go za normalnego, wykryli jedynie że w tzw. wieku pacholecym miewał we śnie i na jawie „widzenia krwi” ilekroć słuchał opowiadań rodziców o męce Chrystusa. Podczas procesu nie tylko nie wypierał się zbrodni, lecz domagał się by mu przyznano autorstwo wszystkich dziesięciu czy jedenastu, a nie jedynej która pozostawiła nierozpuszczalny w roztworze *corpus delicti*. Przesłuchiwał się rozprawie z ironicznym uśmiechem, pilnie rysując w notatniku. Po wyroku skazującym na szubienicę pożegnał sąd i publiczność jednym zdaniem: „Bez żalu opuszczam ten świat głupich i banalnych przesądów”.

29 stycznia

W roku 1953 Boris Suwarin ogłosił szkic, napisany do spółki z Walentinowem-Wolskim, *Kaligula w Moskwie, casus patologiczny Stalina*. W oparciu o poufne wyznania wysokich funkcjonariuszy sowieckich (dostarczone przypuszczalnie przez Walentinowa-Wolskiego, starego przyjaciela Lenina), Suwarin analizował w nim „psychozę paranoiczną” Stalina, której diagnozę postawili jakoby w roku 1937 dwaj lekarze kremlowscy, rozstrzelani na rozkaz despoty w następnym roku.

Ale kim był Kaligula? Syn Germanicus, następca Tyberiusza, stracił według legendy ludowej w dzieciństwie rodziców i dwóch starszych braci z winy Tyberiusza. Zachorował ciężko wkrótce po wstąpieniu na tron. Zaledwie wyzdrowiał, rozpoczęła się „kaliguliczna” karuzela procesów o zdradę, okrucieństw, despotycznych kaprysów. Poleciał zgładzić prefekta gwardii pretoriańskiej, której poparcie zawdzięczał intronizację. Zgłaszał rozszerezenia do boskości, kazał sobie za życia wystawiać pomniki. Drusilla, uwielbiana przez niego siostra, otrzymała po śmierci tytuł Boskiej: pierwszy wypadek uhonorowania w ten sposób Rzymianki. Wdowiec po niej zginął z jego woli. Sam Kaligula zginął z rąk spiskowców. Wielu przypisywało jego zbrodnie i szaleństwa psychicznym następstwom choroby. Innymi słowy, podejrzewano że walka ze śmiercią na łożu boleści zaszczepiła mu formę obłądzenia. Historycy odnoszą się sceptycznie do niektórych dowodów „kaligulicznego” wariactwa, na przykład między bajki wkładają mianowanie własnego konia konsulem.

Adoracja przyszłej Boskiej nie miała charakteru rodzinnej miłości platonicznej, Drusilla była siostrą i kochanką swego brata. Ten fakt historyczny jest literacką osią *Kaliguli Camusa*. W przedmowie autorskiej do amerykańskiego wydania jego dramatu mowa o „świecie, który ze śmiercią siostry i kochanki stał się dla Kaliguli trującym przedmiotem pogardy i nienawiści”; o wstrząsie, który doprowadził imperatora do „odrzućcia przyjaźni i miłości, zwykłej solidarności ludzkiej, dobra i zła”.

Byłoby — i to z ilu powodów! — nadużyciem posuwać za daleko literackie powinowactwo Stalina z Kaligulą, nie wolno jednak przeczać całkowicie roli jaką samobójcza śmierć Nadzieży Allilujewej w listopadzie 1932 roku odegrała w życiu despoty moskiewskiego. Wiadomo o tym mało. Nawet jeśli się *cum grano salis* bierze opowiadanie Swietlany w *Dwudziestu listach*, pozostaje epizod przytoczony w biografii Deutschera i zaczerpnięty chyba z jakichś wiarygodnych źródeł: Stalin jedyny raz, po śmierci swej drugiej żony, podał się do dymisji ze stanowiska *genseka*; dymisji, rzecz jasna, nie przyjęto. A teraz natrafiam na inny przyczynek, drobny niby lecz dość znaczący.

Wydano świeżo po angielsku książkę Aleksandra Gładkowa *Spotkania z Pasternakiem*. Zainteresowała mnie w niej najbardziej długa przedmowa Maxa Haywarda. Ruscysta angielski odgrzebuje artykuł Koriakowa z roku 1958, który przeszedł niezauważony. „Wydaje się pewne (powiada Hayward), że patologiczną stronę natury Stalina pogłębiła tragedia w jego życiu osobistym, samobójstwo Nadzieży. Wściekła paranoja która opanowała go w roku 1937, a później znowu w latach powojennych, tam mogła sięgać swymi korzeniami”. W roku 1932 „kult jednostki” rozkwitał już na dobre, więc komunikat o śmierci Nadzieży (fałszywy, jako przyczynę zgonu podano zapalenie otrzewnej) obsunął lawinę stereotypowych kondolencji. Stereotypowy też był list Związku Pisarzy, wydrukowany na pierwszej stronie *Literaturnoj Gaziety*. Pasternak nie podpisał go, natomiast dołączył własne oświadczenie kondolencyjne tej treści: „Podzielim uczucia towarzyszy. W dzień przedtem (przed ujawnieniem wiadomości o śmierci Allilujewej) myślałem głęboko i intensywnie o Stalinie; jako poeta po raz pierwszy. Nazajutrz rano przeczytałem wiadomość. Byłem wstrząśnięty, jak gdybym tam był, żyjąc u jego boku, i widział to”. Zdaniem Koriakowa te słowa musiały obudzić w Stalinie zabobonne uczucie, że Pasternak jako poeta posiada dar magicznego widzenia. Koriakow sądzi dalej, że to skłoniło Stalina w nadchodzących latach czystek do oszczędzenia Pasternaka i do roztoczenia nad nim swoistej opieki.

W dwa lata potem, w roku 1934, Stalin zatelefonował do Pasternaka, Znany już obecnie dokładny przebieg tej rozmowy

z relacji Achmatowej i Nadieżdy Mandelsztam. Stalin informował Pasternaka, że jego i Achmatowej wstawiennictwo za Osipem Mandelsztamem (za pośrednictwem Bucharina) odniosło skutek. Gdy została wyczerpana sprawa Mandelsztama, Pasternak dodał że chciałby się zobaczyć ze Stalinem i porozmawiać z nim w cztery oczy. „O czym?” — zapytał Stalin. „O życiu i śmierci” — odparł Pasternak. Stalin odwiesił słuchawkę.

2 lutego

Asocjacyjny łańcuszek wydłuża się i wzbogaca o polskie ogniwo. Przypominam sobie jedną rozmowę z Juliuszem Poniatowskim w powojennym Rzymie. Widywałem go wówczas niemal codziennie, jako kierownika małego wydawnictwa polskiego, dla którego przygotowywałam skrót *Młodego pokolenia chłopów* Chałasińskiego. „Zapłonem” tej rozmowy był Jerzy Stempowski. Juliusz cenił go bardzo, zdaje się że w pewnej mierze „na rachunek” przyjaźni ze Stanisławem Stempowskim i Marią Dąbrowską. Było dla niego, zagorzałego piłsudczyka, zupełną nowością że niechętny Piłsudskiemu (ogłędnie mówiąc) Jerzy Stempowski napisał był pod koniec lat dwudziestych czy na początku lat trzydziestych zamaskowaną dysertację o „Dziadku” *Pan Jowialski i jego spadkobiercy*. Streściłem mu ją, na ile na to pozwalała pamięć studenckiej lektury w Bibliotece na Koszykowej.

Poniatowski uśmiechnął się kwaśno, po czym z jakimś szczególnym przejęciem powiedział, że więcej niż „jowialszczyzny” i „śmiechu szlacheckiego” było w Piłsudskim elemencie „kaligulicznego”. Piłsudskiego (wyjaśnił) zmieniło najpierw zabójstwo Narutowicza, a po latach do reszty już i nieodwracalnie samobójstwo doktor Lewickiej.

Zapamiętałem wyjątkowo dobrze historijkę zamykającą rozmowę, uderzyła mnie pewnie dlatego że Juliusz był człowiekiem pozbawionym raczej zmysłu humoru, nie lubił słuchać a tym bardziej mówić złośliwości. Chodziło o Sławoja-Składkowskiego, o jego pierwszą nominację na ministra. Piłsudski wezwał go do Belwederu, nie podnosząc głowy z nad pasjansa burknął: „Będziecie ministrem”. Sławoj wyprostował się na baczność, krzyknął „tak jest”, stuknął powtórnie kopytami i odmeldował się. W antyszambkach podzielił się nowiną z kolegami. Chcieli naturalnie wiedzieć, jakim ministrem. „Zapomniałem zapytać” — wyznał zawstydzony. Zameldował się jeszcze raz i wyprężony zapytał, jakim będzie ministrem. „Głupim ministrem” — odburknął Piłsudski, nie przerywając pasjansa. I puenta Juliusza: „W ten sposób Marszałek mianował własnego konia konsulem”.

Londyn, 7 lutego

Co jakiś czas szperacze odnajdują w papierach autora *Gattopardo*, księcia Tomasi di Lampedusa, tekst któregoś z jego wykładów o literaturze w gronie młodych przyjaciół palermitańskich. Ostatnim znaleziskiem jest wykład o Virginii Woolf. Lampedusa był czytelnikiem o doskonałym słuchu literackim. Taka wyborna uwaga: „Proust, powiecie czytając Virginie Woolf. Zapewne, także Proust. Lecz czas jest tu obserwowany w inny sposób. Proust kontempluje czas miniony, nigdy czas płynący. *A la recherche du temps perdu* jest księgą wspomnień, powieści Virginii Woolf są jak owe wykresy, które nad wezłowiec chorych w szpitalu znaczą z godziny na godzinę wysokość gorączki”.

Myślałem o tej uwadze, patrząc przez okno w kuchni na Balmuir u L. i chorego A. Mizerny ogródek; za nim skład budowlany firmy *Kirk and Kirk*, góry rupieci, desek, zardzewiałych i połamanych maszyn, pękniętych bloków cementu, bezużytecznych przesł konstrukcyjnych; dalej, na horyzoncie, skrawek szarego i brudnego miasta. Ile lat przy tym oknie i ze wzrokiem utkwionym w tym obrazku! Ile rozmów dziennych i nocnych, ile życia na obczyźnie ciężkiego jak żadne, ile śmierci najbliższych osób! Jakby ich wzrok błąkał się również w mizernym ogródku i wśród rupieci składu, jakby ich twarze były przywarte do szyby! Nie czas miniony, o nie! Czas podobny do wykresu gorączki nad wezłowiec chorego w szpitalu. Dla mnie Londyn od dawna to L. i A. przy stole w kuchni na Balmuir, coraz bardziej zmęczeni i samotni; ogródek i widok opuszczenia za oknem; i cementarze.

Neapol, 23 lutego

Jak opisywać piekło zagłady? Tak by słowa były tym cięższe, im jest ich mniej; by rozbrzmiewały tym donośniej, im spokojniej są wypowiedane; by zdaniom udzielał się zimny odblask pożogi w oczach opowiadającego; by w jego równym i niemal obojętnym głosie wyczuwało się napiętą do ostateczności strunę; by przewracane stronicie były w rękach czytelnika niby płyty kamienne z wyrytymi napisami, odwalane na bezimiennych i zbiorowych grobach.

Heller wskazuje więź, łączącą oświęcimskie opowiadania Borowskiego z kołymskimi opowiadaniem Szałamowa. Przytacza

dwa zdania. U Borowskiego bohater, pielęgniarz szpitala obozowego, gra w piłkę nożną w chwili gdy kolejny transport prowadzą do gazu: „Między jednym kornerem a drugim, za moimi plecami poszły do gazu trzy tysiące ludzi”. U Szałamowa bohater, znalazłszy się w pobliżu człowieka który zjada trupy, zauważa: „Są niewątpliwie rzeczy straszniejsze, niż obiad z trupiego mięsa”. Ale jedno różni Szałamowa od Borowskiego. Pierwszy jest wypalonym do cna kronikarzem kołymskiego piekła, jego mistrzostwo jest efektem okamienienia. Drugi opowiada o Oświęcimiu z nutką piekielnego i rozpaczliwego chichotu, w którym nihilizm (jak bardzo trafnie podkreśla Miłosz) „wynika z pasji etycznej, jest zawiedziona miłością do świata i ludzi”.

Piekło zagłady getta warszawskiego w relacji doktora Marka Edelmana, spisanej przez Hanne Krall, postawiłbym trochę bliżej Borowskiego niż Szałamowa. Przejmująca książka to *Zdążyć przed Panem Bogiem*. Załedwie dziewięćdziesiąt stron i o połowę za dużo. Za dużo o połowę, za dużo też (przykro powiedzieć) o interlokutorkę. Takie sprawy spisuje się samemu, wszystko co jest konwersacją, pytaniem uściślającym („Jakie to ma dzisiaj znaczenie”, wzrusza wtedy ramionami Edelman), dygresyjnym przeskokiem w terażniejszość i w ogóle posługiwaniem się chwytami „wywiadowczymi”, obniża napięcie i zamąca surową grozę opowiadania. Pozostają nagie fragmenty relacjonującego Edelmana. „Na Krochmalnej 18 trzydziestoletnia kobieta, Rywka Urman, odgryzła kawałek swojego dziecka, Berka Urmana, lat dwanaście, zmarłego z głodu poprzedniego dnia. Ludzie otaczali ją na podwórku w ciszy, w całkowitym milczeniu. Miała szare, potargane włosy, szarą twarz i obłąkane oczy. Potem przyjechała policja i spisała protokół”. Albo taki, który według mnie jest wielką opowieścią w niewielu zdaniach: „Ludzie czekali na załadowanie do wagonów w budynku szkolnym. Wyciągano ich stamtąd kolejno, piętrami, więc z parteru uciekali na pierwsze piętro, z pierwszego na drugie, ale były tylko trzy piętra, więc na trzecim kończyła się ich aktywność i energia, bo wyżej nie można było iść. Na trzecim piętrze była wielka sala gimnastyczna. Leżało tam na podłodze kilkaset osób. Nikt nie stał, nikt nie chodził, nikt się w ogóle nie ruszał, ludzie leżeli, apatyczni i milczący. W sali była wnetka. We wnetce kilku włosowców — szczęściu, ośmiu może — gwałciło dziewczynę. Stali w kolejce i gwałcili ją, i kiedy kolejka się skończyła, dziewczyna wyszła z wnetki, przeszła przez całą salę, potykając się o leżących, biała, naga, zakrwawiona, i usiadła w kącie. Tłum wszystko widział i nikt nie powiedział słowa. Nikt się nie poruszył nawet, i nadal trwało milczenie”.

25 lutego

Ogromna płachta dzisiejszej gazety przynosi drobiazgową rekonstrukcję praskiego zamachu stanu w roku 1948. W tytule dość przejrzysta aluzja do obecnej sytuacji włoskiej: „25 lutego trzydzieści lat temu w Czechosłowacji demokracja poddała się w obliczu partii komunistycznej”.

Rekonstrukcja, wzorowo opracowana przez Fejtö, przestawia jakby w tej aluzji akcenty. Co było przed trzydziestu laty w Czechosłowacji decydujące: „mobilizacja mas” i nagły wyrój „komitetów działania”, wydaje się dziś we Włoszech mało prawdopodobne. Co natomiast było przed trzydziestu laty w Pradze tylko gwoździem do trumny demokracji: tchórzostwo i podszyta troską o „fotele” głupota polityków demokratycznych, jest dziś w Rzymie prawdziwym widmem trumny.

Mniejsza zresztą o galaretowatego Masaryka, dwulicowego Svobodu i zidiociałego karierowicza socjalistycznego Lauszmana (którego Fierlinger, zwany także Quislingiem, złowił bez trudu na haczyk teki ministerialnej), główną osobą dramatu — albo, z angielska, *villain in the story* — był naturalnie Benesz. I naturalnie, jak wiemy z jego późniejszych wyznań, skapitulował by uniknąć gorszego: strajku generalnego, chaosu, rozkładu, gwałtu, interwencji sowieckiej a może i włączenia Czechosłowacji do ZSSR. Rzecz jasna, rzymscy politycy demokratyczni nie mówią, i nie mają potrzeby mówić, o interwencji czy aneksji. Ich ulubionymi instancjami odwoławczymi są „chaos” i „rozkład”. Po włosku „rozkład” to *sfascio*. Jego przeciwieństwem stał się w historii nowoczesnych Włoch *fascio*, pęk różg liktorskich. Taki jest źródłosłów faszyzmu.

27 lutego

Dzięki powodzi artykułów z okazji obchodów brechtowskich w NRD (osiemdziesięciolecie urodzin) znalazłem wreszcie pełny tekst słynnego epigramatu Bertolta Brechta z okazji berlińskiej rewolty robotniczej w roku 1953: „Po rewolcie 17 czerwca sekretarz związku pisarzy kazał rozdawać w Alei Stalina ulotki, z których można się było dowiedzieć że naród zawiódł zaufanie rządu i że odzyska je zdwajając wydajność pracy; nie byłoby prostsze, gdyby rząd rozwiązał naród i wybrał sobie inny?”. Parodię epigramatu Brechta napisał teraz Iring Fetscher, filozof marksistowski z Frankfurtu: „Dowiaduję się że śmietanka republiki robotników i chłopów składa dziś hołd pamięci poety BB, którego słowa czytać wolno robotnikom i chłopom jedynie w

starannym wyborze, z obawy by nie powstało nieporozumienie na temat tego, co było zamierzone wyłącznie jako krytyka pod adresem innych; nie byłoby lepiej wymienić buntowniczego zmarłego na innego trupa, który przysparzałby mniej kłopotów narodowi, dygnitarzom i cenzorom?”

Wiadomo niby sporo o meandrach cenzury komunistycznej, ale wydany przez *Aneks* pierwszy tom *Czarnej księgi cenzury PRL* zawstydziłby nawet Orwella (że miał tak ubogą wyobraźnię). Zgadza się z W.: przemycenie na Zachód i ogłoszenie tych materiałów da się zestawić z rewelacjami Świątły. Warto więc krzyczeć z uporem *Mehr Licht!* w „ciemnościach, które kryją ziemię”.

2 marca

W *Promenades dans Rome*, rzekomym „dzienniku” Stendhala, kilkustronicowy zapis pod datą 29 maja 1828 wydawcy zwykli nazywać *Za murami klasztoru: przygody Lucrezii Frangimani*. Jedna z typowych stendhalowskich opowieści „zasłyszanych”, albo po prostu „przechwyconych” od jakiegoś kronikarza i poddanych operacji, która ma w sobie coś z ożywienia zasuszonego i przyszpilonego motyla. Znakomita, pełna delikatnego i wielobarwnego wdzięku, a równocześnie o tak zawrotnym rytmie narracji, że przez występny klasztor zdaje się przechodzić gorący podmuch huraganu, rzucając dziewice w habitach w objęcia kochanków i śmierci. Miłość, namiętność, trucizna. Wszystko kończy się uśmiechem narratora: „Nikogo nie ukarano, sprawę zatuszowano. Biada temu, kto piśnie słówko!”. Kluczowa scena jest szczytem oszczędności opisowej. Roderigo niesie zemdloną Klarę Visconti: „Ale zbyt długo przyciskał do piersi ukochaną dziewczynę; ledwie znalazł się za jaworami (w ogrodzie klasztornym), zabrakło mu siły by ją tu pozostawić; miłość wzięta górę nad religią. O świcie Klara pożegnała kochanka, rozkazawszy mu po tyśiąckroć przysiąc że nigdy stąd nie wyjedzie. Pchnęła niedomkniętą furtkę, odprowadzała go z daleka wzrokiem”.

Sławetny (na Zachodzie) Borowczyk przerobił *Za murami klasztoru* na film, z którego właśnie wracam. Upitrasił go, zgodnie z wymogami współczesnej mody, na łożu pornografii. Różniątka z chłopakami po kątach, lesbijskie amory w konfesjonale, struganie kołków dla celów „samotrzc”. Cudowne zdanie „miłość wzięta górę nad religią” przełożone jest na długą sekwencję filmową „piłowania”, z zachłystami i jękami. Ta ciężkostrawna i mdła potrawa ma być adaptacją Stendhala do naszej epoki. Stendhal gustował w miłościach i miłościach zakonnic. Aż trzy pozycje z *Kronik włoskich* przenoszą czytelnika „za mury

klasztoru”: wspaniała krótka powieść *Przeorysza z Castro*, oraz dwa słabsze i niedokończone opowiadania *Nadmiar łaski zabija* i *Siostra Scholastyka*. Stendhalowski pazurek łatwo, według znawców, wykryć w francuskiej wersji neapolitańskiego apokryfu pod tytułem *Kroniki klasztoru Świętego Archaniola w Baiano*. Miał przypuszczalnie słabość do kochliwych mniszek dlatego, że klasztorne mury podbijały „witalną” moc pasji miłosnej. Nie dawał się jednak ponieść iluministycznej polemice w stylu *Zakonnicy Diderota*, potrafił zawsze zatrzymać się na pograniczu „przygód miłości niemożliwej” i uroczego rumieńca zakłopotania z przymrużonym filuternie okiem. W „dzienniku” rzymskim zapis z 2 grudnia 1828 (wydawcy nazywają go *Skandal w klasztorze*) brzmi tak: „Książe Santapiro, który przyjechał z Toskanii, twierdzi że klasztor w Pizie stawiał czoło oblężeniu ze strony arcybiskupa Pizy i wezwanej przez niego policji. Szereg pań znajdowało się w warunkach, nie licujących z czystością mniszek. Wzięte na spytki przez arcybiskupa, odpowiadały dumnie że nawiedził je Duch Święty. Po wyważeniu bram klasztoru i niefortunnym wydobyciu na światło dzienne miłosnych przygód zakonnic, odesłano je do innej miejscowości”. I westchnienie Stendhala: „Nie mogę żadną miarą uwierzyć w tę historię, będę rad jeśli okaże się zmyślona”.

5 marca

Szkatułka chińska polega na tym, że w dużej znajduje się mniejszą, w mniejszej jeszcze mniejszą i tak w nieskończoność. Na podobnym mechanizmie oparta jest rosyjska czy polska „baba” drewniana dla dzieci. I podobnym mechanizmem posługuje się, pod naporem ujawnianych faktów, kłamstwo komunistów.

We Włoszech gazety i tygodniki przepełnione są ostatnio „sensacją”, która dostarcza mi sporo zabawy. Punktem wyjścia był wywiad z profesorem Donimim, komunistą „twardym” i tuż po wojnie (w okresie koalicyjnego) ambasadorem włoskim w Warszawie. Otóż Donini ma wgląd do archiwum nieboszczyka Pietro Secchia, również komunisty „twardego”, niegdyś wicesekretarza partii i rywala Togliattiego. Ten wgląd pozwolił mu ustalić, że Secchia w lipcu 1953 roku został w Moskwie przez Mołotowa i Malenkowa wtajemniczony w „zbrodnie Berii” jako też w inne „błędy i wypaczenia” Jednostki, które miały się później stać załącznikiem „tajnego raportu” Nikity Siergiejewicza. Czyli że *wierchuszka* włoskiej partii „znała całą prawdę” na trzy lata przed Dwudziestym Zjazdem; i jej pozjazdowe „osłupienie” było zwykłą komedią na benefis opinii publicznej i dołów

partyjnych. „Oszczercstwo!” — trzepnął pięścią w stół Pajetta, pierwszy przyboczny Berlinguera. „Trochę oszczerstwo, trochę nie oszczerstwo” — pokręcił w zadumie głową Amendola, drugi przyboczny Berlinguera. Zupełnie jak epizodzik z *Przepasnych wyżyn* Zinowiewa.

Kolejny, dzisiejszy, epizod każe także myśleć o książce Zinowiewa. W szranki wstępuje Giulio Seniga (znam go i nawet dość lubię), który jako sekretarz Secchii zerwał z partią i ze swoim bezpośrednim przełożonym w lipcu 1954. Dokładnie w rok wcześniej Secchia i Seniga wybrali się do Moskwy *via* Praga. W Pradze okazało się, że samolot sowiecki może zabrać tylko Secchię, Seniga czekał dwa dni w Pradze na jego powrót. Secchia, nie do poznania zmieniony, pokazał sekretarzowi plik zaszyty pod podszewką marynarki. Był to właśnie ów „preraport tajny” Mołotowa i Malenkowa. Secchia odpisał go sobie w Moskwie w wielkim sekrecie, gdyż towarzysze sowieccy ani słyszeć nie chcieli o podarowaniu mu jednego egzemplarza. W Rzymie zaznajomili się z przesznurowanym dokumentem Togliatti i Longo. Pierwszy zbladł i zdołał tylko wykrztusić: „Natychniast spalić”. Drugi pokręcił w zadumie głową i powiedział: „Nie trzeba palić, ale i nie trzeba dawać nikomu do czytania”. Togliattiemu (dodaje bystro Seniga) zależało na spaleniu dokumentu, bo „po dwudziestu latach spędzonych w ZSSR nie mógłby dłużej udawać że nie miał zielonego pojęcia o zbrodniach stalinowskich”.

Włoską „sensację” komunistyczno-archiwalną określił socjalista francuski Giles Martinet jako „błazeństwo”. Określenie jest ścisłe. „Całą prawdę” znali od lat trzydziestych wszyscy: Togliatti, Secchia, Longo, Pajetta, Amendola. Niewiele brakowało, by Togliatti poznał ją na własnej skórze (nie mówiąc o skórze, bezpartyjnej czy partyjnej, milionów innych). Jego szwagier Robotti, aresztowany w roku 1938 w Moskwie i przez dwadzieścia miesięcy torturowany (połamane zębra, wybite zęby), powoływał się wciąż w śledztwie na swego wysoko postawionego powinowatego. Togliatti wyparł się zdrajcy. Wyparł się też setek innych włoskich zdrajców komunistycznych, którzy pisywali do niego desperackie i błagalne listy z więzień i łagrów sowieckich.

Z chińskiej szkatułki kłamstwa komunistycznego towarzysze włoscy wyjęli chwilowo następną, nieco mniejszą od ramowej dużej: wiemy „archiwalnie”, że wiedzieli w roku 1953. Ale zasadą chińskiej szkatułki, w odróżnieniu od rosyjskiej czy polskiej „baby”, jest gra w nieskończoność.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

„Salus” i konspiracja Klimkowskiego (dok.)

Evakuacja z ZSSR — przejście naszej armii na nowe miejsce postoju w Iraku w drugiej połowie 1942 roku oczywiście zawazyło — bo jakże mogło być inaczej — na losach konspiracji Klimkowskiego pod znakiem *Salus Reipublicae Suprema Lex*. Zmieniły się sceneria, sytuacja, powiększyła się obsada dramatu. Ale jeszcze podczas krótkiego pobytu w Teheranie wszystko było jakby w zawieszeniu, bo pomimo zapewnień danych mi przez Klimkowskiego w Pahlewi, iż kandydaturę gen. Zająca na stanowisko dowódcy armii, następcę Andersa, udało się storpedować, sprawa — przynajmniej przez pierwszy okres naszego pobytu w stolicy Iranu — nie wyglądała dla nas bynajmniej pomyślnie.

Wydział Propagandy i Oświaty był w proszku i przyszłość jego — przynajmniej w ówczesnym składzie — pod znakiem zapytania. Nasz szef, Józef Czapski, nie dotarł do nas jeszcze *via* Aszchabad i Meszhed. Racięski był w drodze. Drukarnia połowa koczowała razem z tym co zostało z zespołu redakcyjnego w dawnej fabryce niemieckiej na przedmieściu Teheranu, zamienionej na obóz przejściowy, w którym trzymano też Persów, podejrzanych o działalność dywersyjną na rzecz osi włosko-niemieckiej. Spotykaliśmy ich podczas rannych ablucji. W polskim Teheranie wrzało od plotek. Zespół *Polish Parade* urządził się dając przedstawienia rewiiowe w teatrze w ogródku, które zgłodniałym międzynarodowych atrakcji Persom wydawały się Folies-Bergères. Dochodziły do nas wiadomości, że *Orzeł* i Propaganda mają u Zająca priorytet do jak najszybszego rozparcelowania i że go aż świerzbą ręce, by nas szurnąć do oddziałów, na służbę wartowniczą i „kocioł”. W takiej sytuacji postanowiliśmy zagrać *va banque* i — jak to się mówi — zejść z pola bitwy z rozwiniętymi sztandarami. Kierownika drukarni, po-

ruczniaka Stanisława Westwalewicza, z zawodu artystę specjalizującego się w malarstwie kościelnym (przypominającego dorosłego cherubinka, pomimo pożyczki zakrywającej przedwczesną łysinę) — nie trzeba było długo przekonywać o konieczności rozpakowania czcionek i odnotowania naszego pobytu w Teheranie wydaniem *Orla*, do którego był tak samo przywiązany, jak my wszyscy.

W trakcie przygotowywania numeru skończyła się wojna nerwów Londynu z generałem Andersem, który w końcu otrzymał nominację na dowódcę, a Zając na jego zastępcę. Z ulgą i radością daliśmy tę wiadomość na całą pierwszą stronę. Drukowaliśmy na mieście u Persów. W ten sposób ukazały się dwa numery *Orla Białego* w Teheranie. Oba z sentencjami pod hasłem *Salus Reipublicae Suprema Lex*. Po raz pierwszy bez cenzury sowieckiej i nawet bez uzgadniania z naszą górą sztabową, bo takiej w polu widzenia nie było.

Później, w Bagdadzie, miał nas na oku cenzor brytyjski i oficjalny organ Armii Polskiej wielokrotnie ukazywał się z białymi plamami, zwłaszcza po odkryciu grobów katyńskich i wypowiedzeniu przez Stalina Traktatu Ryskiego. Raz nawet skonfiskował kliszę ilustrującą artykuł Janusza Wedowa.

W jednym z wydanych w Teheranie *Orłów* ukazało się piękne, wzruszające wspomnienie o pierwszej defiladzie nadwożańskiej przed generałem Andersem pióra alpinisty, andynisty i fotografa por. Wiktora Ostrowskiego, zwanego przez nas „magiczne oko”: bo nastawiając się w rozmowie kogucim profilem przesytywał nim na wylot interlokutora.

Tak więc w Iraku rozpoczął się nowy rozdział generała Andersa, naszego wojska i Salusa. Nastąpiło połączenie z 3-cią Dywizją Strzelców Karpackich opartą na brygadzie, która pod rozkazami generała Kopańskiego walczyła w Libii i w Tobruku, nasiąkłą podczas reorganizacji w Palestynie naszymi „buzułkami” z pierwszej ewakuacji, zwanymi również „prawosławnykami”. Była to jednostka o dużym procencie strzelców z cenzusem i podchorążych-intelektualistów. Wielce reprezentacyjnym eksponatem tego „wojska myślącego” był pułk ułanów karpackich; łączący świetne nazwiska, chwilami atmosferę Klubu Myśliwskiego z czymś podobnym do nieustającego sympozjum na tematy *po co się bijemy*, w którym rej wodził niezapomniany Adolf Bocheński, jedna z najpiękniejszych postaci ostatniej naszej epopei wojennej.

O tym *wojsku myślącym* pisaliśmy wówczas w *Orle Białym* i warto to przypomnieć: „Wojna obaliła legendę o żołnierzu — Jasiu, dzielnym chłopcu, rwącym się do prania Niemców, ale

pocziwie naiwnym. Żołnierz, który znalazłszy się po Wrześniu za granicą głowy nie stracił, potrafił dać sobie radę, zmierzyć pół świata przodostał się przez kordony przeważnie nie znając obcych języków, nie będąc zaopatrzonej w przewodniki oraz pieniądze i nie prowadzony przez nikogo za rączkę — ten żołnierz w znacznej masie dał dowody bystrości, inteligencji i wyrobienia. W wielkowiejskiej i wielojęzycznej Aleksandrii czuł się jak u siebie w domu, zaglądał na urlop do Kairu bez onieśmienia, wiedział o Luxorze, mówił swobodnie o Afryce, Australii i Kanadzie, choć krajem najbardziej uroczym i najdroższym pozostawała dla niego odległa, wymarzona Polska, tak jak dla dziecka matka nie przestaje być kobietą najpiękniejszą...”. Ten Jaś „Ramzes” podał w Iraku rękę Jasiowi z Rosji, który z taką samą swobodą i znajomością rzeczy mówił o więzieniach sowieckich i „Archipelagu GUŁag”.

Trzecim elementem przeciekającym do nas kroplami byli „lordowie” — oficerowie i podchorążowie przybyli z Wielkiej Brytanii. Odnoszono się do nich z ciekawością, ale nie bez pewnej podejrzliwości, bo uchodzili — zwłaszcza starsze szarże — za nasłanych przez Londyn. Być może było wśród nich kilku takich, ale w większości byli to świetni ludzie, pierwszorzędnym element, któremu udało się wyrwać z monotonii szkockiej do prawdziwego wojska. Spotykaliśmy przyjaciół i znajomych, których ostatni raz widzieliśmy przed Wrześniem. Pod namiotami kantin Czerwonego Krzyża wrzało życie towarzyskie, które nastrojem przypominało euforię ludzi stwierdzających po zaokręto-waniu, że w rejs udają się wraz z nimi ich bliscy.

W Iraku, w Kizil Ribat, spotkałem po raz ostatni współspis-kowca Jerzego Emir Hassana. Rozegrał się tam przed sądem polowym ostatni akt naszej vendetty z więzienia w Nikofajewie. Naszym współtowarzyszem celi był wówczas sędzia grodzki Cze-kański ze Stanisławowa, uprawiający koegzystencję zarówno z władzami *turmy*, jak i z siedzącymi z nami Rusinami Zakar-packimi, którzy w 1939/40 masowo uciekali na teren okupacji sowieckiej w przekonaniu, że będą przyjęci z otwartymi rękami, a kończyli za kratami — tak samo jak my, którzy staraliśmy się dostać tam, skąd oni nawiali. Prywatna *détente* sędziego Czekańskiego objawiała się w tym, że wyłamywał się z solidarnych protestów, jak głódówki, i że podczas np. obchodu święta 3-go Maja leżał demonstracyjnie na pryczy gołym brzuchem do góry, rozcierając sobie brud na spoconych piersiach. Potrafił tak godzinami. Emir Hassan nie mógł mu tego darować i po wylądowaniu w Iranie złożył na niego doniesienie, dowiedziawszy się, że jest w wojsku w stopniu porucznika. Byłem w tej sprawie przesłuchiwany, podobnie jak mój przyjaciel Jerzy Lothe.

Obaj potwierdziliśmy słowa Emir Hassada, co spowodowało, że Czekański wszczął przeciwko nam trzem sprawę o zniesławienie, która miała miejsce właśnie w Kizil Ribat. Rozprawa trwała cały dzień. Jako świadkowie zjawili się wszyscy nasi koledzy z celi. Bronił mnie płomiennie w charakterze mego adwokata Zbyszek Racięski. Zostaliśmy uniewinnieni, a Czekańskiego szurgnięto do tak zwanej „drugiej grupy”.

Nigdy więcej nie zobaczyłem Jerzego Emir Hassana. Został zrzucony do Polski i tam zginął, ale nikt nie wie w jakich okolicznościach. Podobnie zresztą jak inny współspiskowiec z Salusa, rtm. Andrzej Czaykowski z dyonu przybocznego ułanów podolskich, o którym później opowiem. Obaj byli to ludzie diamentowego hartu.

Ponieważ nie było mowy o wydawaniu *Orła Białego* na pustyni, po krótkim pobycie w Khanakinie zostaliśmy szybko odkomenderowani do Bagdadu. Niewątpliwie Salus już wówczas grał. Klimkowski zdalnie się nami opiekował, pilnując by postulaty przedstawione przez Czapskiego generałowi były wykonane. Nazywało się to *docieraniem*.

Zając nie wyszedł ze starcia z Andersem z tarczą, ale na tarczy, i na dodatek trochę ośmieszony, że niby takie niezdrowe miał ambicje. Był nie do pomyslenia na czele armii dawnych łągierników. Wygrana naszego generała była wygraną Klimkowskiego i z kolei naszą. Zniknęło widmo rozparcelowania *buzułuckiej* Propagandy i obsadzenia *Orła Białego* „Ramzesami”. Nabraliśmy nowej pewności siebie, która uzewnętrzniła się już pierwszego dnia naszego pobytu w Bagdadzie, gdzie w dzielnicy Wazirya redakcja i drukarnia rozlokowały się w obszernym jednopiętrowym domku z tarasem na dachu i czymś w rodzaju hiszpańskiego patio.

Pierwszą noc spaliśmy: Racięski, Włodzimierz Kowańko, Ignacy Jeśman, Darek Żarnowski i ja na podłodze, bo jeszcze nie zafasowaliśmy łózek polowych. Obudził nas nad ranem grzmiący głos stojącego nad nami oficera. Okazało się, że kapitan z komendy placu Bagdad nie mógł wyjść ze zdziwienia dlaczego strzelcy z cenzusem nie są na pobudce. Co to za wojsko — darł się z oburzeniem. Racięski sięgnął po okulary, włożył je na nos i potraktował go pobłażliwie, ale stanowczo mówiąc, że jako redaktorzy głównego organu Armii Polskiej na Wschodzie posiadamy inny rozkład zajęć niż reszta bagdadzkiego garnizonu. Proponował, by w tej sprawie porozumiał się z komendantem placu płk. Prosołowiczem, albo z komendantem garnizonu płk. Künstlerem. Obaj widzieli nas często z gen. Andersem i Klimkowskim. Kiedy wyszedł, Racięski rzucił w ślad za nim:

„jeszcze nie wie, jakie my wojsko jesteśmy...”. To był pierwszy i ostatni raz, gdy chciał nas podporządkować dyscyplinie.

Połączenie z ekipą prasową karpackiej było delikatną operacją, ale z wynikiem z góry wiadomym. Musieliśmy wygrać, bo czuwał nad tym Klimkowski.

Z okazji publikacji 50-go numeru *Orła Białego* w Bagdadzie opisałem to wydarzenie w jubileuszowym wydaniu z 21 marca 1943 roku. Żartobliwie, ale nawet teraz po 35 latach o namacalnym podtekście i aluzjach. Brzmiało to tak: „Nad Tygrysem doszło do połączenia redakcji *Orła Białego* z redakcją *Ku Wolnej Polsce*. Fuzja nastąpiła 5 miesięcy temu. Był to naprawdę dramatyczny epos. Dniem i nocą trwały konferencje „ramzesów” z „prawosławnymi”. Słabsi koledzy zasypiali, słabsze charaktery załamywały się i w zależności od sytuacji opowiadały się to za jedną, to za drugą stroną. Kością niezgody był tytuł tygodnika. Jaka będzie jego nazwa — *Orzeł Biały* czy *Ku Wolnej Polsce*. Leader „prawosławnych”, Racięski, robił się raz po raz malinowy i w końcu zostało po staremu. Od tych dni wiele wody przepłynęło w Tygrysie. Nasz Naczelny jest czystej krwi „ramzesem”. Dawne namiętności poszły w zapomnienie. Kochamy się na Wazirya bez wazeliny. A nawet po ostatniej konferencji redakcyjnej jeden z „prawosławnych” puścił na gramofonie płytę z marszem Karpackiej. Takiej zgody pozazdrościć nam może każdy rząd jedności narodowej...”

Z początku z wielką nieufnością spoglądaliśmy na ekipę *Ku Wolnej Polsce* składającą się z Józefa Poniatowskiego, Ryszarda Piestrzyńskiego, Juliusza Mieroszewskiego i Ostrowskiego-Naumoffa. Wydaje mi się teraz, że w dużej mierze przyczyniła się do tego nieśmiałość Poniatowskiego i wrodzona rezerwa Piestrzyńskiego — cechy, które — nie znając ich — inaczej sobie tłumaczyliśmy. Jednocześnie nasza obcesowość czyniła ich jeszcze bardziej nieśmiałymi i z rezerwą. Natomiast Racięski bez trudu dogadał się z Mieroszewskim, którego znał z Krakowa i który stał się szybko naszym sojusznikiem. O zmianie nazwy tygodnika na *Ku Wolnej Polsce* poważnie nie było mowy ani przez chwilę. W oczach Poniatowskiego i jego zespołu wydawali się wóczas, używając współczesnego terminu, „ultrasami” i „goryłami”. Walczyliśmy o każdą pozycję, wiedząc że w chwili tak zwanego *showdown* możemy się odwołać do Klimkowskiego.

Redaktorem naczelnym został w końcu najstarszy szarż, porucznik Józef Poniatowski. „Ramzesi” nigdy nie odważyli się kwestionować ukazujących się w *Orle* cytat pod znakiem *Salus Reipublicae Suprema Lex*. Wiedzieli o Racięskiego i moich bliskich kontaktach z Klimkowskim i o zaproszeniach na śniadania do generała Andersa, kiedy ten przyjeżdżał do Bagdadu.

Muszę w tym miejscu oddać hołd Józefowi Czapskiemu. To on wprowadził nas na ranne sesje polityczno-towarzyskie do generała, przyjmującego nas w łóżku przy popijaniu kawy. Później stało się to rutyną. Chodziliśmy sami. Czapskiego albo nie było, albo nie chciał, mówiąc że to strata czasu. Jak tylko generał zjawiał się w Bagdadzie, adiutantura dzwoniła na Wazirya by „chłopcy” stawili się następnego rana, co naturalnie robiło wrażenie na wszystkich.

Czapski, „święta osoba”, nigdy nie był o to zazdrosny. Zresztą fakt, że Anders postawił na czele Prasy i Oświaty człowieka jego skali, umysłowości, talentu, żarliwości i chrześcijańskiego współczucia — niemożliwy w żadnej innej armii na świecie — świadczy bardzo dodatnio o naszym generale, bardzo szybko dojrzewającym pod wpływem kryzysów i odpowiedzialności.

Końcowy akapit mojego artykułu w jubileuszowym *Orle* należy czytać dosłownie. Dawne namietności poszły w zapomnienie. Było to w dużym stopniu bardziej zasługą Józefa Poniatowskiego, niż — przyznaję — naszą, „prawosławnych goryli”. Okazał się on człowiekiem nieskazitelnej prawości i taktu, niezwykle pracowitym i sumiennym. I kiedy staliśmy się mniej obcesowi, a oni mniej z rezerwą, okazało się że myślą tak samo, jak my. Ale nigdy nie staraliśmy się ich zwerbować do konspiracji.

Jeśli w liście z dnia 1 lutego 1943 roku prof. Kot donosi gen. Sikorskiemu, że wśród przywódców politycznego fermentu w Biurze Propagandy i Oświaty znajduje się Piestrzyński i Stahl — wskazuje to do jakiego stopnia był kiepsko poinformowany przez swoje wtyczki w Bagdadzie. Przypuszczam, że ta dezinformacja pochodziła od Ignacego Kleszczyńskiego, należącego do kotowskiego zespołu *Kuriera Bagdadzkiego*. Owszem, między nami a *Kurierem* stosunki były przez cały czas napięte. Kot potrafił nawet przekabacić byłego więźnia Kołomy, przedwojennego felietonistę „Ikaca”, Anatola Krakowieckiego, który w łagrze stracił kilka palców u ręki.

Nasza akcja werbunkowa nowych „salusiów” szła w innym kierunku, była bardzo selektywna. Józef Czapski pozyskał dla konspiracji Adolfa Bocheńskiego, pod którego urokiem byli wszyscy w jego kręgu.

Reakcja Adzia na Klimkowskiego była w swej barwie podobna do odbioru „Jurka” przez Czapskiego. Robił na nim wrażenie jego dynamizm, optymizm i to, co nazwałbym „czucie się w siodle”. Podnosi słuchawkę, wydaje rozkazy, które są w lot wykonywane, bo nikt nie chce zadzierać z Klimkowskim. Oczywiście Bocheński widział laguny intelektualne w myśleniu głównego „salusia”. Postanowił go kształcić poprzez rozmowy

i to, co się teraz nazywa *position papers* na różne tematy. Oprócz tego była w Bocheńskim niewyczerpana ciekawość w stosunku do ludzi. Jakby kolekcjonował ich ekstrawagancje. Już wówczas trapiły go jak najgorsze przecucia co do obrotu jaki wezmą dla nas sprawy. Co najbardziej zbliżyło nas do Bocheńskiego, to identyczna ocena polskiego Londynu z generałem Sikorskim na czele.

Ze Zbyszkim Racięskim staraliśmy się wciągnąć do konspiracji Jana Ulatowskiego, piszącego dla *Orla* artykuły tak zwane „zasadnicze”. Dostaliśmy go przez Karpacką. Był on człowiekiem nieprzeciętnej inteligencji, ale jednocześnie dziwakiem, z którym trzeba było obchodzić się jak z jajkiem. Umiałem z nim postępować i na mnie głównie ciążyło zadanie zwerbowania go dla *Salusa*. Klimkowskiemu bardzo podobały się jego artykuły. Chciał go poznać, porozmawiać, „zapalić” go. A Ulatowski, który chodził w pojedynkę, wpadał w głębokie milczenie, uzależniał swoją decyzję właśnie od tego spotkania. Nie chciał kupować kota w worku. Co z tego wynikło opowiem trochę dalej.

Wpierw chciałbym podkreślić, że nigdy nie odbyło się żadne ogólne zebranie spiskowców. Rzecz znamienita, ani razu nie spotkaliśmy się wszyscy razem. Oczywiście domyślałem się kto należy do *Salusa*: na pewno rtm. Andrzej Czaykowski, por. Mirosław Dziekoński, por. Krzysztof Grodzicki, por. Gniewiewski z 12 pułku ułanów podolskich, którym dowodził jako powiernik Klimkowskiego mjr Florkowski, a później, już w Iraku sam szef konspiracji. Ale jeśli chodzi o rtm. Zbigniewa Kiedacza, ręki w ogień nie mógłbym włożyć, choć w rozmowach z nami brzmiał tak samo jak Klimkowski.

Najbardziej atrakcyjną indywidualnością był Czaykowski. Jeśli był ktoś wśród nas podobny do Kmicica, to właśnie on. Przystojny, pistolet nad pistoletami, ale z bardzo otwartą głową, niezwykle koleżeński, ciepły, tryskający radością życia. Była też Oleńka w tym rozdziale naszego „Potopu”, ale romans nie zakończył się *happy-endem*. Wybrała naszego generała i Czaykowski, nie przygotowany na porażki tego rodzaju, znikł z naszego pola widzenia. Skakał do Kraju. Był związany z Bergiem. Zginął kilka lat po wojnie w którejś ze swych kolejnych wypraw do PRL.

Jedynym wyjątkiem, kiedy odbyło się coś w rodzaju spotkania wszystkich salusiowców była zabawa sylwestrowa na pustyni, 31 grudnia 1942 roku, w kasynie oficerskim ułanów podolskich, na którą Klimkowski zaprosił generalicję korpusną z Andersem na czele, profesora Kota, który na tę okazję specjalnie przyjechał z Libanu, oraz — *last but not least* — nas wszystkich. Nie

miała to być tylko feta towarzyska, ale okazja porozmawiania na serio z profesorem Kotem, przedstawienia mu prosto z mostu naszych dezyderatów. Klimkowski trzymał się taktycznie na boku wierząc, że jako pierwsze natarcie większe wrażenie zrobią na profesorze postulowania strzelców z cenzusem. Po kolacji pod namiotami urządziliśmy *cercle privé* z prof. Kotem. Kółeczko generałów i nas, i jako rodzynek: Kot. Mnie przypadło to co po hiszpańsku nazywa się *la voz cantate* — czyli zainicjowanie i główny głos w dyskusji. Znęcałem się nad nim, później nawet zrobiło mi się go trochę żal. To co wtedy powiedziałem profesorowi — generałowie z radością potakiwali głowami — odzwierciedla się w liście Kota do generała Sikorskiego, skreślonym po jego powrocie do Jerozolimy, który zaczyna się tak: „Drogi Generale, Przedstawiam niniejszym pretensje do Rządu, jak je formułują przedstawiciele fermentu na Wschodzie: Wyjąwszy osobę Naczelnego Wodza, Rząd złożony jest ze starców, na ogół niedołącznych, lub osób nieznanymi — zer; jeśli mają dobre chęci — są nieudolni; jeśli mają plany, to nie umieją ich wykonać. Rząd nie ma sukcesów, być może są trudności, nieraz może nie do pokonania, ale wtedy należy wciągać do pracy czynnik młody, niezuty, którego jest pełno w wojsku. Rząd marnuje energię w jałowych sporach wewnętrznych i osobistych. Rząd uwikłał się w kombinacje i klucze partyjne i stąd nie może dopuścić zdolnych żywiołów niepartyjnych. Kilku ministrów charakteryzuje się jako figurantów bez znaczenia, kilku jako pracujących lecz nieudolnie, o niektórych w ogóle nic nie można powiedzieć. Poza Naczelnym Wodzem tylko ministrowi Mikołajczykowi przyznają kwalifikacje na ministra, do czego przyczynia się fakt, iż jest on jedynym młodym członkiem Rządu. Dwóch członków gabinetu szczególnie jest atakowanych. Minister Kwapiński, któremu stawiają zarzuty za jego rolę w Uzbekistanie i minister Stroński, któremu zarzucają braki propagandy, przytaczając jako dowód zaniedbanie Wschodu, oraz domagają się zaprzestania przemówień śródowych...”

List Kota do Sikorskiego, wysłany po rozmowie z Klimkowskim i Czapskim w Jerozolimie, kontynuuje listę niewypałów rządowych z okresu Francji, które nasz główny „salus” widział na własne oczy: jak zaprzepaszczenie złota, zmarnowanie wojska we Francji, pozostawienie ludności bez opieki. Stwierdzam, że po 35 latach gotów jestem podpisać się pod każdym słowem. Pamiętam, że wprost humorystyczne wrażenie zrobiła na nas wówczas podróż gen. Sikorskiego do Meksyku, gdzie udekorował prezydenta tego kraju orderem Orła Białego, co — według Kota — miało donieść znaczenie dla sprawy Polski, bo zyskał w nim w ten sposób sojusznika.

Pozyskanie Ulatowskiego dla *Salusa* zakończyło się okrągłym fiaskiem. Nie byłem przy tej rozmowie *à deux* z Klimkowskim, która odbyła się na Wazirya podczas długiego spaceru po zacisznych uliczkach naszej rezydencjalnej dzielnicy. Nie jest rzeczą pozbawioną ironii, że Ulatowski — który według wielu był na „wariackich papierach” — szybciej, jaśniej i lepiej od nas przejrzał szefa konspiracji. Wzięliśmy z Racięskim Ulatowskiego na spytki, wyciągając go na spacer. Jego opinia o Klimkowskim była druzgocząca. — *Ma pusto w głowie. Upaja się bastami. Pragmatycznie władzy i nic więcej.* Tak brzmiała jego diagnoza. Usiłowałem to odrobić, przekonując go, że to pierwsze wrażenie, że Klimkowskiego trzeba bliżej poznać. Nie było mowy o wyperswadowaniu mu pierwszego odbioru osoby Klimkowskiego.

Drugą osobą, która nie wykazała żadnego zainteresowania Klimkowskim był Jerzy Giedroyc, który dołączył do nas w Iraku. Nigdy z nim na ten temat nie rozmawiałem, ale mam wrażenie, że to głównie pod jego wpływem rozpoczęło się *disengagement* Czapskiego z *Salusa*.

Przedziwna atmosfera panowała w polskim Bagdadzie. Życie płynęło kilkoma nurtami. Patrząc na nie z boku wyglądało idyllicznie. Nawet nam, strzelcom z cenzusem, powodziło się niezle. Przy pomocy Czapskiego walczyliśmy o stopień podporucznika czasu wojny, którego „kościane dziadki” sztabowe broniły własną piersią. Przyznano nam w końcu status *Public Relations Officer*, który wprowadził wielkie zamieszanie, bo nie wiadomo co to było i wzbudził wśród Brytyjczyków podziw dla pomysłowości polskiej biurokracji wojskowej.

Urządziliśmy wycieczki do Babilonii. Mieliśmy do dyspozycji basen. Żołd nasz nie był duży, ale wystarczał na chodzenie do kantyny Czerwonego Krzyża i wypady do restauracji. Miasto było dla nas *out-off-bound*, z wyjątkiem głównej ulicy Harun-el-Rashid Street. Ale nawet te ograniczenia wydawały się rajem po Rosji, choć byliśmy już trochę zepsuci Teheranem. Marzeniem wszystkich było odwiedzenie Kairu. Ale był to spokój przed burzą, udawanie że wszystko będzie dobrze. Bardzo często widywaliśmy generała Andersa. Przyjeżdżał z pustyni prawie co tydzień do Bagdadu ze względów sentymentalnych i wojskowych. Miał piękną willę, oddaną mu do dyspozycji przez brytyjskie władze wojskowe. Za każdym razem, rano, stawialiśmy się na śniadanie. Miał do nas całkowite zaufanie. Nie kłepował się, mówił otwarcie o swych nieporozumieniach z Rządem, o prof. Kocie raczej pobłażliwie i niefrasobliwie o Sikorskim.

Wybranka jego serca — na etapie bagdadzkim — była serdeczną naszą znajomą. Piękna i bardzo powabna Polka, pochodząca z tego samego Nowego Sącza co Zbyszek Racięski.

Mieszkała też na Wazirya, w połowie drogi między nami a poselstwem RP, w którym urzędował minister Malhomme. Dla podmalowania tła muszę dodać, że życie miłosne kwitło egzotycznie na wszystkich szczeblach naszej armii. Polacy są bardzo kochliwym narodem. Od szeregowców do dowódców wielkich jednostek wszyscy na swój sposób starali się nadrobić prawie dwuletnią przymusową abstynencję. To dodawało naszej egzystencji w Bagdadzie akcentu surrealistycznego, stanowiło eskapizm od rzeczywistości. Na Wazirya znajdował się też dom ochotniczek, czyli „pestek”. Po zachodzie słońca odwiedzaliśmy je. Ale panował tam nastrój jak na pensji Platerówny. Ograniczało się do *cercle* towarzyskiego w ogrodzie, podczas którego plotkowaliśmy na aktualne tematy.

Do realii przywołała nas pogarszająca się sytuacja w stosunkach polsko-sowieckich. Dowiadywaliśmy się o niej także z organów Wandy Wasilewskiej i „patriotów”, które w tajemniczy sposób przenikały do Bagdadu i znajdowały się w niektórych kioskach na Harun El Rashid. W kwietniu wybuchła bomba z rewelacjami niemieckimi o Katyniu, potwierdzając nasze najbardziej pesymistyczne przewidywania. Cenzura brytyjska wykreślała w *Orle* krytyczne słowa pod adresem ZSSR. Przegląd tygodniowy, pisany przez Racińskiego, ukazywał się z białymi plamami, ditto artykuły Ulatowskiego i Piestrzyńskiego. Zostawialiśmy demonstracyjnie te białe plamy.

Innym nurtem narastał konflikt między Andersem i generałem Sikorskim. Zbliżający się *showdown*, ostateczna konfrontacja, nie był żadną tajemnicą. Byliśmy o tym szczegółowo informowani przez Klimkowskiego, który — jak wówczas zauważyliśmy — stawał się coraz bardziej zgryźliwy w stosunku do osoby generała Andersa. Chwilami zdawał się doprowadzony do desperacji. Nawet mówił o zbrojnym zamachu, szukając wzrokiem naszej na to odpowiedzi, czy pójdziemy z nim na „wielką awanturę”.

Przyznaję się, że pod wpływem druzgoczącej oceny Ulatowskiego zarówno Zbyszek Raciński, jak i ja, zaczęliśmy na niego patrzeć innym wzrokiem. Na pewno ze znacznie większym sceptycyzmem. Ja z nadzieją, ba, z przekonaniem, że jego groźby zamachu stanu okazały się drugą brygadą kaukaską. Ani przez chwilę nie przeszło mi przez głowę, że to może być coś więcej, że Klimkowski jest instrumentem prowokacji sowieckiej. Wprawdzie nie był już pierwszym oficerem do zleceń generała Andersa, przeszedł na dowództwo 12-go pułku ułanów, wchodzącego w skład 3-ej Dywizji Karpackiej, ale stale do niego dojeżdżał. Nic nie wskazywało na jakieś pogorszenie stosunków. Miał w adiutanturze Andrzeja Stronńskiego, z którym jeszcze wówczas

był w najlepszym „kiziumiziu”. W dalszym ciągu był na poufnej stopie z szefem *dwójki*, płk. Bąkiewiczem i co najważniejsze z młodymi pistoletami z II-go Oddziału, dla których wodzem był „Wicuś”, a nie „goldpipka”, jak nazywali Andersa.

Punktem kulminacyjnym, początkiem końca *Salusa* — przynajmniej w naszym wypadku — był przyjazd generała Sikorskiego na Bliski Wschód w 1943 roku. Postaram się to jak najwierniej zrekonstruować, bo to, co opowiem, jest pierwszą relacją na ten temat.

Na kilka dobrych dni przed przybyciem Premiera i Naczelnego Wodza zjawiał się nagle pod wieczór na Wazirya Klimkowski. Wpierw wyciągnął na rozmowę Józefa Czapskiego, a później ja do nich dołączyłem i we trójkę poszliśmy na spacer. Pokazał mi rysunek mapy Polski od Bałtyku do Morza Czarnego pod hasłem *Salus Reipublicae Suprema Lex*, wykonany przez jakiegoś podchorążego grafika z jego pułku. Była wielkości dziennika *tabloid*. Jak zawsze u Klimkowskiego wszystko musiało być „na wczoraj”. Mapa musi być gotowa na powitanie Sikorskiego. Wybiła godzina uderzenia w stół, pokazania co myślą młodzi o przyszłości Polski, którą Londyn zdradza. Mapa obejmowała Kijów, Charków, całą Białoruś. Teraz wiem, że była szczytem dziecinady i prawdopodobnie więcej — prowokacją, która była w to graj sowieckiej dezinformacji. Ale wówczas nawet po wylaniu mi na głowę wiadra z zimną wodą przez Ulatowskiego, ta myśl nawet mi się nie przyśniła. Ale czy można się dziwić: miałem przed sobą dowódcę naszego najbardziej gwardyjskiego pułku, o którym generał mówił z uśmiechem i czule „Jurek”. Miałem też przed sobą mojego szefa, Józefa Czapskiego, do którego miałem całkowite zaufanie, podobnie jak on do mnie. Ani on, ani ja nie zastanawialiśmy się wówczas nad konsekwencjami. Dlaczego — nie wiem. Może wynikało to z naszego stosunku do Klimkowskiego; może dlatego, że gdybyśmy mu odmówili wygładałoby to na nielojalność. Jeśli chodzi o mnie głos wewnętrzny mówił mi, że nie może się to odbywać bez wiedzy generała Andersa.

Klimkowski, który miał zielone wyobrażenie o drukarstwie, chciał wiedzieć czy można wyprodukować mapę u nas w *Orle*. Ponieważ granice przyszłej powojennej Polski podchorąży-grafik zaznaczył czerwoną linią, powiedziałem że będzie trzeba zrobić dwie klisze i puścić dwa razy na maszynę. Klimkowski — o ile mnie pamięć nie myli — chciał 250 egzemplarzy. Obiecałem, że się tym natychmiast zajmę. Ostrzeżałem kilkakrotnie o zachowaniu ścisłej tajemnicy. Oczywiście mogę sobie dokooptować do pomocy „salusia” Zbyszka Racińskiego.

Ze zrobieniem klisz nie miałem większej trudności. Pracowaliśmy z kliszarnią iracką, do której udałem się następnego dnia z rana z innymi zamówieniami, tak by nie zwrócić specjalnej uwagi. Natomiast sprawa druku była bardziej skomplikowana. Mieliśmy dwie maszyny: jedną płaską, zwaną „Express”, drugą też fabrykacji sowieckiej — historyczny „pedał”, jeszcze z Buzułuku. Na płaskiej można było drukować tylko w dzień, bo robiła huk i wibrację, od których trząsał się cały dom. „Pedał” funkcjonował prawie bezszelestnie i nadawał się lepiej do tajnej roboty w nocy. Obie maszyny stały w hallu, do którego prowadziły drzwi z czterech czy pięciu pokoiów zamieszkałych przez redaktorów *Orla*.

Miałem doskonałe stosunki z zecerami i drukarzami. Choć rekrutowali się z zawodowych podoficerów, a ja byłem od nich niższy szarżą, umiałem z nich więcej wydobyć niż nasi oficerowie. Wziąłem na poufną rozmówkę głównego maszynistę, st. wachmistrza Zamoyskiego i wytłumaczyłem mu, że chodzi o sprawę tajną wielkiej wagi. Natychmiast się zgodził. Czuł się nawet tym uhonorowany. Nie na próżno znaleźliśmy się z Buzułuka. Uzgodniliśmy, że my — Racięski i ja — będziemy pedałowaliśmy, a on nakładać, bo to było zadanie wymagające największej fachowości.

Następnego dnia, dobrze po północy, po tym jak wszyscy poszli spać, bo w Bagdadzie wszyscy byliśmy nocnymi markami, rozpoczęliśmy druk. Pedałowaliśmy na zmianę z Racięskim. Na początku szło powoli. Później rozkręciliśmy się. Nagle o godzinie drugiej w nocy otworzyły się drzwi z pokoju wychodzącego na hall, w którym mieszkali „ramzesi”. Ukazał się por. Józef Poniatowski, podpisujący się w *Orle* jako Michał Ciołek. Przebudzony potrzebą fizjologiczną pruć w kierunku ubikacji, znajdujących się za miejscem, w którym stała „pedałówka”. Chwila napięcia! Sytuacja była dramatyczna, ale nie pozbawiona humoru. Zamiast spać drukujemy. Będąc jednak człowiekiem niezwyklej dyskrecji Poniatowski przesunął się jak zjawa. Nie tylko nie zagadnął nas w sprawie, pilnej widocznie, roboty drukarskiej, ale nawet się nie zatrzymał. Po kilku minutach mignął z powrotem, znikając jak cień Króla w „Hamlecie”. Za każdym razem, jak sobie przypominam ten epizod, nie mogę się powstrzymać od nostalgicznego śmiechu. Takich ludzi już nie ma.

Robotę wykonaliśmy bez pudła, nikogo nie budząc. Żarnowski, z którym dzieliliśmy pokój położony też koło hallu, nawet nie przewrócił się na drugi bok, kiedy skonani runęliśmy na połowe łóżka. Czułem się jak po długiej wycieczce na rowerze.

Józef Poniatowski nigdy się mnie nie spytał co z Racięskim machaliśmy na „pedale”. Kilka lat temu, wyjawilem mu prawdę

w Londynie, kiedy spotkałem go w Instytucie Sikorskiego na zebraniu Związku Dziennikarzy RP.

Klimkowski zjawił się po mapy, podziękował i dał do zrozumienia, że generał Anders jest zagrożony. Sikorski przyjeżdża, by go zdjąć z dowództwa. Ale *my* się nie damy...

Wiadomość o wiszącym nad głową naszego generała mieczem Damoklesa potwierdziła się. Być może puścił farbę szef sztabu Sikorskiego, generał Klimecki, który przyjechał na zwiady.

Zaczęliśmy liczyć godziny do przyjazdu Naczelnego Wodza. Nie pamiętam już, czy Racięski otrzymał bezpośrednio od generała, czy przez Józefa Czapskiego instrukcje przygotowania pożądanego rozkazu Andersa do naszego wojska. Zaczęliśmy go wspólnie komponować. Nie było to zresztą pierwszy raz, że podzuczaliśmy generałowi tematy i idee. Zasugerowałem, że powinniśmy wzorować się na klasycznym *adieu* Napoleona Bonapartego do grenadierów gwardii. Rozkaz zaadresować przede wszystkim do żołnierzy, których wyprowadził z Rosji. W tym wypadku do 5 Dywizji Kresowej, „prawosławnych” grenadierów z Tatiszczewa i Tocka. Wymienić jej wielkie i mniejsze jednostki: brygadę wileńską, lwowską, bataliony Żbików, Rysiów i Wilków. Przez kilka następnych dni żyliśmy w nerwowej gorączce. Wiadomość poszła w polski Bagdad. Podniosła wszędzie temperaturę. Klimkowski nalegał, byśmy przyjechali do niego do pułku. Generał Anders odleciał do Kairu 25 maja na powitanie generała Sikorskiego. Wydawało się, że zbliżamy się szybkimi krokami do ostatniego aktu. Notowałem *Schadenfreude* wśród niektórych, troszczących się o nasz los, andersowców. Odstawkę naszego generała przedstawiano jako już zdecydowaną. Powtarzała się historia z Zającem, obiecywano nam rozproszkowanie i to jak najbardziej gruntowne.

Orzeł Biały, wydany z okazji przyjazdu Sikorskiego do Kirkuku, był wyzwaniem. Pod fotografią Naczelnego Wodza sentencja pod hasłem *Salus Reipublicae Suprema Lex*, jego własny cytat z książki „Polska i Francja”, wydanej w 1921 roku: „Granice bowiem ustalone w Rydze nic wspólnego nie mają z historycznym posiadaniem Polski na Wschodzie, gdyż są cofnięte w porównaniu z nim o kilkaset kilometrów wstecz...”.

Telefonem z Kairu nadeszła wiadomość, że od razu po wyładowaniu ktoś podsunął szybciotko gen. Sikorskiemu mapę. Jak było do przewidzenia wybuchnął gniewem i od tej chwili nie przestawał grzmieć. Gęsto tłumaczącemu się Andersowi kazał natychmiast wszcząć śledztwo w tej sprawie poprzez „dwójkę”, które — jak napisałem w drugim odcinku — skończyło się *coverup'em*.

Postanowiliśmy się zaasekurować. W tym samym powitalnym

numerze ukazała się mała notatka, że rozdawane w Bagdadzie pismo pod tytułem *Salus* nie ma nic wspólnego z nami i naszymi sentencjami. Nie wspomnieliśmy, że to mapa — użyliśmy eufemizmu. Racięski udał się do Kirkuku na oficjalne powitanie Sikorskiego i miał nam natychmiast telefonem przekazać wiadomość, czy już mamy się pakować, czy nie.

Generał Sikorski wylądował w Kirkuku 2 czerwca. Towarzyszyła mu córka. Nie pozbawionym ironii był fakt, że dowódcą oddziału honorowego 15 pułku kawalerii pancernej był dowódca tegoż pułku, rtm. Zbigniew Kiedacz, też prawdopodobnie „salus”, świetny oficer, późniejszy mąż Hanki Romanowskiej. O jej stryju, moim serdecznym długoletnim przyjacielu, Krzysztofie Grodzickim, generał Bohusz-Szyszko notuje w swych wspomnieniach, drukowanych teraz w *Orle*, że wyciągnął jakoby los wyznaczający go na zastrzelenie Sikorskiego, co oczywiście było tak zwanym austriackim gadaniem. Nikt nie miał zamiaru podnieść ręki na Naczelnego Wodza. Wszystko ograniczało się do ubijania pianki i podbijania sobie wzajemnie bębenków, owszem bicie w bębny, ale na cześć Sikorskiego, który był zachwycony fasonem Kiedacza, a ten z kolei zachwycony był Sikorskim.

Pod wieczór Racięski telefonował, że według jego informacji wszystko skończy się burzą w szklance wody. Sikorski nie ma zamiaru spławić gen. Andersa. Nam na Wazirya z wielkim hukiem spadł kamień z serca.

Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że jedną z pierwszych osób, o którą się pytał Naczelnny Wódz, był Racięski i mówił o nim tak donośnie, że słychać było na cały sztab.

Udałem się do Kirkuku. W kasynie oficerskim 12-go pułku ułanów podolskich nastrój był markotny i podenerwowany. Klimkowski w niewydarzonym humorze, szarpał się, strzępił, rzucał wielkie słowa, ale widać było, że nie ma na nie pokrycia. Zapędził się w ślepą uliczkę. Nie wiadomo czego chciał. Wydawał się zupełnie zdezorientowany.

Pokrywałem dla *Orła* defiladę 5-tej Kresowej Dywizji — tej właśnie, której w mojej wersji pożegnania Anders przypominał wspólnie przejścia nad Wołgą i w Azji Centralnej. Asfaltową drogą waliły Zbiki, Wilki i Rysie, Brygada Wileńska, Lwowska i wówczas zrozumiałem dlaczego byli mi tak bliscy. W każdej kolumnie odnajdywałem jakąś znajomą twarz. Albo z łagru, albo z więzienia, albo później już z wolności. Była to defilada jedyna w swoim rodzaju.

Nie wiem, czy Sikorski — który robił na mnie wrażenie człowieka napuszonego — zaczął sobie zdawać sprawę, że dał się nabrać swoim totumfackim, grającym na strunkach jego podejrzliwości i uczulenia na prestiż.

W Kirkuku Sikorski wezwał do siebie Klimkowskiego. Oczywiście wersja rozmowy — tak jak ją Klimkowski przedstawia w swojej książce — bardzo odbiega od tego, co nam wówczas opowiedział „na gorąco”. Nam mówił, że pragnął wstrząsnąć generałem co do intencji Stalina, a w książce pisze, że obaj byli zgodni w żalu, że doszło do zerwania stosunków dyplomatycznych z ZSSR, przy czym rzekomo Sikorski kładł to na karb „wyskoku” generała Kukiela. Audiencja kończy się, według książki, prawie idyllą. Sikorski odkrywa w Klimkowskim dyplomatę. Chce go wysłać do Ameryki, a później — jak się już ułoży ze Stalinem — do samej Moskwy. Oczywiście to bajeczki, nawet nie dla dzieci. Wracając z Kirkuku do Bagdadu samochodem z Klimkowskim i Strońskim. Podróż trwała dobre kilka godzin. Przez cały czas gwałtownie się kłócili. Zwłaszcza Stroński był zjadliwy, złośliwy, prowokujący. Początkowo wydawało mi się, że się przekomarzają, jak się to często między nimi zdarzało, ale bardzo szybko zdałem sobie sprawę, że jestem świadkiem bardzo zaognionego konfliktu. Sytuacja była dla mnie ambarasująca, bo rozmowa ich, wymyślanie sobie, prowadzona była kodem, którego nie rozumiałem. Strzelali do siebie aluzjami, niedopowiedzeniami, które sprawiały, że czułem się jak na tureckim kazaniu, które w każdej chwili może się zakończyć rękoczynami. Teraz, patrząc wstecz, rozumiem że wówczas przełamało się coś. Było to oznaką, że konflikt między nimi z jakiegoś powodu doszedł do punktu, z którego nie było powrotu.

Kiedy po przybyciu do Bagdadu zęgnąłem się z Klimkowskim nie miałem najmniejszego przecucia, że następnym razem zobaczymy się w zupełnie innych okolicznościach. Wkrótce potem udałem się z ramienia *Orła* do Teheranu w reportażowej misji zbadania co się dzieje z ludnością cywilną.

Kiedy po kilku tygodniach wróciłem, zaskoczono mnie wiadomością, że Klimkowskiego aresztowano za przywłaszczenie sobie ważnych dokumentów. Mój powrót do Bagdadu zbiegł się z przejściem Korpusu do Palestyny i moim odkomenderowaniem, razem z Racięskim, do *Dziennika Żołnierza* w Tel-Awivie, którego naczelną redakcję objął Ludwik Rubel.

Ponownie spotkałem Klimkowskiego w Rzymie, latem 1946 roku. Doszło do tego w ten sposób, że pewnego dnia do mnie zadzwonił. Poznałem go od razu po głosie. Pojechałem do niego do hotelu. W fasowanym cywilnym ubraniu wyglądał patetycznie. Razem z nim była jakaś starsza od niego pani, która za czule mu matkowała. Powiedział mi, że zdecydowany jest wracać do Polski. Starąłem się go od tej decyzji odwieść. Namawiałem go, by zwrócił się do Andersa poprzez placówkę likwidacyjną w Rzymie i pojechał, jak wszyscy do Wielkiej Brytanii. Robił

wrażenie, że się nad tym zastanawia. Upoważnił mnie nawet do zwrócenia się w jego imieniu do tej placówki. Wspominałem z nim dawne czasy. Opisał to w swojej książce. Wyglądał przygaszony, nie ten sam. Żal mi go było. Placówka korpusna wiedziała o jego obecności w Rzymie. Chciała mu pomóc. Kiedy następnego dnia do niego telefonowałem portier powiedział mi, że już wyjechał.

Nie wiem co się z nim działo przez ostatnie 20 lat od chwili wydania jego książki — obrzydliwego paszkwilu. Nie wiem czy żyje. Jeśli tak, to podchodziłby teraz pod siedemdziesiątkę.

Czy można zamknąć sprawę Klimkowskiego rozdziałem, który odpowiada na wszystkie pytania? Wydaje mi się to niemożliwością bez dogłębnego zajrzenia do archiwów II-go Oddziału 2-go Korpusu, które płk Bąkiewicz uważał za swoją prywatną własność i o których nawet nie wiadomo gdzie są. Od chwili, kiedy po trzydziestu latach zacząłem mój powrót do *Salusa* poprzez lekturę wspomnień generała Andersa, Józefa Czapskiego, dokumentów prof. Kota, książek trochę *science-fiction* Strumph-Wojtkiewicza i całkowicie *fiction* Klimkowskiego, wertowania pożółkłych roczników *Orla* w Instytucie Piłsudskiego, w Nowym Jorku, coraz bardziej ogarniało mnie przekonanie, że dzieje naszego wojska — zwłaszcza w Rosji i na Bliskim Wschodzie — są *terra ignota* jeśli chodzi o poważne badania historyczne. Podchodzi się do nich wyłącznie wspominkowo lub publicystycznie i to zarówno u nas, na uchodźstwie, jak i w PRL. O Armii Krajowej, o okupacji wiemy bez porównania więcej, bez porównania dokładniej. Z jakiegoś dziwnego powodu naszego pobytu na „niehumanitarnej ziemi”, *Salusa*, Klimkowskiego jest traktowany po obu stronach barykady z dziwną rezerwą.

Sam siebie też winię, że w okresie rekonwalescencji generała Andersa w Nowym Jorku, kiedy go często odwiedzałem, wpierw w Szpitalu Francuskim, a później w hotelu Algonquin, nie wykorzystałem tego by go pociągnąć za język na temat Klimkowskiego czy Andrzeja Strońskiego, który też okazał się szuja. Na moje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że wydawał mi się tak daleki od tych czasów, taki z innego scenariusza, że nie mogłem się zdobyć na odwagę wskrzeszenia upiorów przeszłości.

Nie mogę jednak zrozumieć jak można było pozwolić umrzeć płk. Bąkiewiczowi nie poddając go energicznej indagacji. Wywiad z nim Z. S. Siemaszki jest bardzo ciekawy, ale ustawił się do niego zbyt po wersalsku, co pozwoliło płk. Bąkiewiczowi wykreślić się sianem i kłamstwami.

Po przeoraniu wyżej wspomnianej literatury i dokumentacji uległem wrażeniu, że zarówno u nas jak i w PRL chodzi się wokół tych materiałów zamiast się z nimi skonfrontować. Pod

tym względem po naszej stronie charakterystyczne są wspomnienia generała Szyszko-Bohusza, drukowane w odcinkach w *Orle Białym*. Nie pisze on wszystkiego co wie. Obawiamy się, że w jaskrawym świetle prawdy wiele osób z naszego panteonu ukazałoby się bez retuszu. Jednocześnie obawiamy się jeszcze ciągle, by nie dostarczył amunicji nieprzyjacielowi. Mną, na przykład, to kierowało przez wiele lat i mimo ponagień w tym kierunku przez Jerzego Giedroycia — przedostatni raz, kiedy w 1968 roku odwiedziłem Maisons-Laffitte — nie mogłem się zdobyć na przelanie mych wspomnień na papier. Teraz widzę, że miał rację nalegając. Jestem przekonany, że po tamtej stronie wiedzą wszystko, co my wiemy, a być może znacznie więcej. Dlatego, przypuszczam, traktują temat wyłącznie dyskursywno-publicystycznie. Nie puszczają na to drugokorpusne przedpole historyków, bo jest ono zaminowane tajemnicami i prowokacjami sowieckimi, które w Warszawie wolą obchodzić, bo nie wiadomo co wyskoczy.

Zaryzykuję jednak naszkicowanie konkluzji. Wydaje mi się że tego epilogu — jak i wielu rzeczy, które działy się na linii Moskwa, Kujbyszew, Buzułuk, Jangi Jul, Bagdad — nie można rozszyfrować, jeśli traktuje się je pojedynczo. Dopiero, gdy bada się je w jakby panoramicznym kontekście spraw polsko-sowieckich w tym okresie, zagadki zaczynają wyglądać mniej zagadkowo. I jak w tej zabawie z lat dziecińczych w poszukiwanie ukrytego przedmiotu coś mi mówi, że się do niego zbliżam — ciepło, ciepłej, gorąco....

Stosowanie komparatystyki w stosunkach polsko-sowieckich sprzed lat 30-tu nie jest rzeczą łatwą, bo ciągle jeszcze jest to góra lodowa z widocznym tylko szczytem. Ale coś niecoś wiemy. Nasuwa się następujące porównanie: przypominają trzy naczynia połączone: Kraj, tworząca się w Rosji armia i komunistów, zgrupowanych wokół Wandy Wasilewskiej — do których Stalin w różnych dawkach sączył truciznę. W jakże odmiennym świetle widzi się zachowanie Stalina podczas rozmowy z Sikorskim i Andersem 3 grudnia na Kremlu, kiedy się wie, że w tym samym już czasie wysłał do Polski trzech agentów Kominternu: Nowotkę, Findera i Mołojca celem zrekonstruowania partii komunistycznej, której pierwszym zadaniem miało być zniszczenie Armii Krajowej przez prowokację. Niemcy wówczas podchodzili pod Moskwę, a on już miał plan sowietyzacji Polski, który od tej chwili konsekwentnie realizował.

Następnego dnia aresztowano w Kujbyszewie bundowców Altera i Erlicha. Ale czy można się dziwić, że Stalin widział Sikorskiego jak na dłoni i nie szanował go, jeśli ten we wstępnym oświadczeniu przymila mu się deklarując: „Rozpocznę od

tego, iż nie prowadziłem i nie zgadzałem się z polityką skierowaną przeciwko Rosji Sowieckiej od lat dwudziestu. Wobec tego miałem moralne prawo do podpisania układu, gdyż może on być ukoronowaniem tez, które od dawna wyznawałem". Jednym zamachem przekreślił zwycięską wojnę 1920 roku, jeszcze nic za to nie dostając.

Niestety nasz generał nie wychodzi lepiej, jeśli chodzi o subtelności i takt polityczny. Pamiętajmy — dzieje się to już w chwili, kiedy Moskwa wyraźnie zdążyła do unieważnienia Traktatu Ryskiego poprzez uznawanie za obywateli polskich tylko rdzennych Polaków, z pominięciem Ukraińców, Żydów i Białorusinów urodzonych na ziemiach zagrabionych traktatem z Ribbentropem. W takiej chwili należało ważyć każde słowo. Tymczasem w rozmowie ze Stalinem na Kremlu padają bardzo surowe oceny pod adresem Żydów, które w książce Andersa Andrzej Stroński podzielił na dwa głosy: Andersa i Sikorskiego, a Kot wsadził je wyłącznie w usta naszego generała. Stalin oczywiście basuje. Łatwo sobie wyobrazić, że natychmiast poszedł cynk do agentów sowieckich w USA i w Wielkiej Brytanii, by rozniecić kampanię przedstawiającą Andersa i jego wojsko jako antysemitów. Kot jako dyplomata popełnia jeszcze gorsze herezje podczas audiencji u Stalina na Kremlu w dniu 14 listopada, dając podtekstowo do zrozumienia, że Polska gotowa jest zrezygnować z Wilna i Lwowa — oto łatwa do odgadnięcia aluzja: „Pewne koła utrzymują, że istnieją zagadnienia, które nas dzielą np. sprawa ukraińska czy litewska, ale właśnie te problemy mogą być rozwiązane w drodze porozumienia. Sądzę, że one właśnie mogą być czynnikiem, który nas zbliży...” (notujący te słowa sekretarz ambasady W. Arlet podkreśla w stenogramie — „Stalin potakuje”).

Chwilami zgroza człowieka ogarnia, jak się to czyta. Niestety nie byliśmy na poziomie w rozgrywce z takim demonem jak Stalin. Za krótki był dla niego Sikorski, załatwiający na Kremlu swoją vendettę z Piłsudskim. Za krótki Anders, którzy mimo to wykazuje więcej godności, choć niewiele zmysłu politycznego: nabył go dopiero później wraz z rosnącymi odpowiedzialnościami. Nie można mu się nawet dziwić. Świeżo wyszedł z więzienia po dwuletniej izolacji od świata. Ale Sikorski i Kot, wydawałoby się, powinni byli być oświeceni pobytem na Zachodzie.

Wracając do Klimkowskiego. Od chwili kiedy zacząłem spisywać moje wspomnienia raz po raz zadawałem sobie pytania: dlaczego powstała konspiracja, jakimi motywami kierował się płk Bąkiewicz dyrygując nią zdalnie poprzez Klimkowskiego, do jakiego stopnia wiedział o niej generał Anders, co miały oznaczać te na „wariackich papierach” pomysły w rodzaju stworzenia

brygady kaukaskiej z misją prometejską i prowokacyjne mapy *Salusa*?

W argentyńskim *argot* istnieje powiedzenie *porque lado pateas?* — co oznacza — w którą stronę kopiesz piłkę, z jaką jesteś drużyną? Nie wiemy dla kogo kopał piłkę Andrzej Stroński. Ditto tajemniczą postacią jest dla mnie płk Bąkiewicz. Patrząc z perspektywy 1978 roku oczami — że tak powiem — zaktualizowanymi wszystkim tym, co wiemy o KGB, staje się rzeczą trudną do zrozumienia, że oficera II-go Oddziału, specjalizującego się w sprawach ZSSR, postawiono po jego dwuletnim pobycie w więzieniu — gdzie został całkowicie rozszyfrowany — na czele *dwójki* właśnie w kraju jego kaźni. Wydaje się to zaprzeczeniem zdrowego rozsądku i jakichkolwiek zasad ostrożności. Wówczas, prawda, patrzyliśmy na to innymi oczami. Naszych „gospodarzy” lekceważyliśmy nade wszystko. Stawialiśmy znak równania między panującym u nich bałaganem, niedoborami a inteligencją i determinacją ich władców, uważając że wystarczy pchnąć, a wszystko się rozleci, jak domek z kart.

Wracając do nominacji płk. Bąkiewicza — nie jest do pomyślenia na przykład, by C.I.A. awansowało swego agenta, wypuszczonego świeżo przez KGB, na stanowisko dyrektora, albo mniej — mianowało go rezydentem przy ambasadzie w Moskwie. Jest to przeciw wszystkim regułom gry cichociemnej. Nawet przyjmując, że Bąkiewicz był czysty jak łąza, zwykła przezorność, obowiązująca nade wszystko wywiad, nakazywała znalezienie mu zadania w *dwójce* londyńskiej.

Spróbuję odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? Oczywiście w tej chwili są to dociekania teoretyczno-abstrakcyjne.

Kluczem do zrozumienia tego dramatu i szarady jest sprawa Katynia. Doszedłem do tego pisząc trzeci, ostatni odcinek. To odkrycie uderzyło mnie swoją oczywistą racją. Pod jego wpływem bielmo spadło mi z oczu i sprawa nabrała dla mnie ostrych konturów.

Modne są teraz tak zwane „scenariusze” w tych sprawach, więc mój wygląda tak. Katyń i tylko Katyń od pierwszej chwili zaciążył na strategii Stalina w stosunku do nas. Mord na tak wielką skalę nie mógł się obyć bez jego wiedzy. Od chwili gdy Niemcy wkroczyli w rejon Smoleńska w drugiej połowie 1941 roku, Stalin musiał oczekiwać, że w każdej chwili wybuchnie mu pod nogami bomba. Wcześniej czy później odkrycie masowych grobów było nieuniknione. Świadomość tego palca na cynglu musiała warunkować każde jego pociągnięcie w stosunku do nas. Starał się ograniczyć armię polską, opóźnić dostarczenie broni. Jednocześnie dążył do pozbycia się nas z terenu ZSSR. Zdawał sobie sprawę, że mogąca w każdej chwili eksplodować

rewelacja niemiecka stworzy dla niego z oddziałów polskich groźny problem bezpieczeństwa. W paranoicznej tyranii strach przed dywersją ma wielkie oczy.

Problem ten przybrał na sile kiedy otrzymaliśmy broń i kiedy alianci zachodni wyrazili zgodę na nasze dalsze uzbrojenie. Ten polski klin na tyłach frontu musiał mu spędzać sen z oczu.

A teraz przenieśmy się do Buzułuka — dalej pisząc „scenariusz”. Generał Anders nie miał na pewno już w grudniu 1941 roku żadnych iluzji, że kiedykolwiek zobaczy internowanych ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa. Wtedy musiał powstać przy współpracy najbliższego mu grona oficerów tak zwany *contingency plan* — może jeden z kilku planów ewentualności. Co zrobić jeśli nagle na Armię Polską w ZSSR spadnie, jak grom z jasnego nieba, wiadomość o masowym mordzie internowanych oficerów. Generał Anders musiał się liczyć z taką ewentualnością. Jeśli powtarzał — jak wiemy — że wątpi by Polacy bili się po stronie Armii Czerwonej, to mógł to być kod jego dramatycznej rozterki. Anders miał doskonałe stosunki z generałem NKWD do spraw wojsk polskich, Żukowem. Często popijali w cztery oczy. Czyż nie jest do pomyślenia, że podczas takiej rozmowy Anders wrócił do nękającej go ciągle sprawy nieobecnych, o których już w pierwszym numerze *Orła* pisał Józef Czapski; że w jakiś sposób dał mu do zrozumienia, iż może zaistnieć sytuacja, w której nie będzie mógł opanować oburzenia swych żołnierzy. Nie musiał tego wyraźnie sformułować. Mógł to zaszyfrować spojrzeniem. Anders mógł się obawiać tej ewentualności, bo nie wiadomo jak by się skończyła. Nie obeszłoby się bez przelewu krwi. Przez przeszło pół roku byliśmy kamieniem u szyi Stalina, rewolwerem przytkniętym do podbrzusza imperium sowieckiego. Klimkowski, tworząc *Salus*, wykonywał *plan ewentualności*. Tajny związek młodych, zdecydowanych na wszystko oficerów mógł być ważnym elementem w sytuacji, gdyby eksplozja Katynia zastała nas jeszcze w granicach ZSSR.

Z punktu widzenia Andersa — z chwilą gdy nie znaleźli się internowani — miał on tylko dwie alternatywy: ewakuację i to jak najszybciej, albo wyczekiwanie na chwilę odkrycia grobów i wywarcie wówczas zbrojnego szantażu na Stalinie. Ale sprawa *timingu* była doniosła. Odkrycie mogło nastąpić w chwili umocnienia się sowieckiego na frontach z Niemcami i Anders wolał nie czekać. Tutaj jego i Stalina interesy — w pewnym sensie — zbiegły się. Tak wygląda mój scenariusz.

Być może dostarcza on również klucza do zagadki, jaką było pojawienie się w drugiej połowie grudnia 1941 roku w Buzułuku, czterech kurierów organizacji podziemnej z Kraju, nazywającej

się Muszkietierami, z jakimś porucznikiem Szatkowskim na czele. Wiemy z dokumentów Armii Krajowej, że byli to łąsi na pieniądze awanturnicy, współpracujący z wszystkimi wywiadami, używani do specjalnych zleceń przez Gestapo. Przybyli z tajną informacją zmikrofilmowaną dla generała Andersa, która nigdy nie została ujawniona. A Szatkowskiego postawiono przed sąd wojskowy, który skazał go na 10 lat więzienia, choć początkowo traktowany był w naszym sztabie jako *persona grata*.

Czyż nie jest rzeczą możliwą, że Niemcy właśnie przez niego przesłali Andersowi pierwszy dowód o masowym morderstwie, na którego terenie już byli od kilku miesięcy. Łatwo sobie wyobrazić rozterkę duchową naszego generała, który z jednej strony przeczuwał, że wiadomość jest prawdziwa, a z drugiej wietrzył w misji Szatkowskiego prowokację.

Wiemy co się dzieje z planami *contingency*. Mieliśmy tego dowód z Watergate. W rękach ambitnych, aroganckich umysłów wynaturzają się, nabierają własnego życia, innego od przewidzianego. Gordon Liddy był amerykańskim Klimkowskim. Amerykańskiego Bąkiewicza jeszcze nie odkryto. Ale w myśl mojego scenariusza obaj przejęli zupełnie w swoje ręce i dla swoich celów *contingency plan*.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się jakie to dokumenty wykraść Klimkowski i jakie już w Wielkiej Brytanii przywłaszczył sobie Andrzej Stroński. Może to był właśnie plan katyńskiej ewentualności? Jedyne archiwum *dwójki* może na to odpowiedzieć.

Do tego czasu jesteście naprawdę „bez ostatniego rozdziału”.

Zdzisław BAU

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:

6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Pojedynek

1. Początek działań

Pojedynek, o którym mowa, a raczej opowieść o pojedynku, o którym mowa, obejmującym dwa królestwa, dwóch królów, dwie stolice wraz z mieszkańcami oraz dwóch katów rozpoczyna się dwoma pochodami wojennymi, skończy się igrzyskami na arenie, co znaczy: dwoistą egzekucją. O niej też będzie mowa tutaj.

Pochody wojenne spowodowane zostały wzajemną działalnością szpiegowską dwóch królestw, A i B, graniczących ze sobą na długim styku. Szpiegowie bowiem donieśli obu stronom, że w stolicy sąsiada alchemicy wytworzyli w swoich pracowniach złoto z ołowiu; wiadomości zostały przekazane w obu kierunkach jednocześnie. Ponieważ jednak każdy z władców wiedział, że jego poddani złota z ołowiu mimo wszelkie wysiłki wytworzyć nie zdołali, postanowili obaj bezzwłocznie i bez uprzedzenia najechać, sąsiada, zając stolicę, wtargnąć do pracowni alchemicznych i wymusić na alchemikach torturami tajemnicę produkcji.

Przekroczenie granicy nastąpiło obustronnie tego samego dnia i tej samej godziny, wszelako nie w tym samym miejscu: król A ruszył z południa w kierunku zachodnim i nie wiedział, że król B ruszył z północnego krańca w kierunku wschodnim; do starcia więc bojowego dojść nie mogło, zwłaszcza, że szpiegowie jakby się pod ziemię zapadli, wojska zaś szły śpiesznym marszem omijając miejsca zasiedlone, aby uniknąć powikłań. Do stolicy przeciwnika wtargnęły dokładnie o tym samym czasie, nie napotykając na opór, ponieważ stolice te ogołocone były z sił zbrojnych; oddziały zakwaterowane zostały we wrogich koszarach, jako że koszary były puste. Królowie wraz z małżonkami

i dworami zajęli pałace, swego przeciwnika każdy i czuli się jak u siebie w domu, gdyż pałace były w identyczny sposób przez tego samego architekta zbudowane. Nastąpiła noc i wszyscy udali się na spoczynek: według ceremoniału dworskiego i według regulaminu wojskowego. Początkowo dziwiono się pustce budowli, ale niebawem przestano się dziwić, coż bowiem w pustce mogło być zadziwiającego?

Mieszkańcy obu stolic zachowywali się tak, jakby się nic nie wydarzyło, nienaruszone policje pełniły swoją służbę, pijacy awanturowali się po karczmach, złodzieje włamywali się do strychów i piwnic, mężowie i żony zdradzali albo i nie zdradzali swoich współmałżonków, chciwcy liczyli pieniądze. Mechaniczna nuda ścisłej symetrii opanowała oba miasta; jeden był tylko wyjątek, powiedzmy — podwójny: obaj kaci naczelni obchodzili nocą ulice i według dostarczonych przez szpiegów powiadomień naznaczali kredą domy, w których mieściły się pracownie alchemików. Tę okoliczność uznać należy za wielce osobliwą, kaci bowiem owi tej nocy, kiedy królowie ich spali snem sprawiedliwych, wykazali wyrazistość swych osobowości, wpłynęli na tok historii i rozstrzygnęli własny los.

2. Masakra alchemików

Nuda skończyła się następnego dnia o świcie, ściślej: dla niektórych, a mianowicie dla katów i ich pachołków, oraz dla alchemików, śpiących zrazu jeszcze po swoich pracowniach, w czym byli równi obcym królom, rezydującym po ich miastach; a jeszcze dla dzwonników, których pościągano z pościeli, aby wszystkie dzwony po wszystkich kościołach dzwoniły co niemiara. Księżom, symetrycznie, pozwolono wysypiać się dowoli, jakby w przewidywaniu, że później przydatni będą ponad zwykłą potrzebę. Dzwony rozbębniły się wszystkie o tej samej porze, królowie i księża przewrócili się na drugi bok każdy, jednocześnie zaś na rozkaz katów naczelnych pachołkowie wdarli się przemocą, wyłamując zależnie od potrzeby okna lub drzwi, do pracowni alchemicznych, budząc alchemików gwałtownie, wśród wyzwisk i przeklinania.

— Złoto! Złoto! — krzyčeli oprawcy.

— Nie mamy złota — odpowiadali alchemicy.

— Dawać piątą esencję! — krzyčeli oprawcy.

— Nie mamy piątej — odpowiadali alchemicy.

A niektórzy z nich mówili:

— Mamy trzecią za ledwie. Chętnie ją damy.

— Ja ci dam trzecią! — wrzeszczeli oprawcy i walili alchemików pięściami po karkach.

A tymczasem dzwonnicy tłukli co siły w dzwony; ich praca nie była daremna, tak jak daremnymi były wysiłki oprawców. Oprawcy zaś wrzeszczeli dalej:

— Co ukrywasz w tym alembiku?

Na co alchemicy:

— Dekokty.

Oprawcy:

— Ja ci dam dekokty!

I rozbijali alchemikom alembiki na głowach, kwasy wylewały się na głowy alchemików, którym włosy natychmiast wypadały. Oprawcy natomiast dalej gnębili łysoniów; teraz już łysoniów:

— A w tej kolbie co?

— Tam się przemienia substancja.

— Co? Substancja? Substancji ci się zachciewa?!

Wtedy oprawców zdjęła wielka złość, chwycili za kolby i zaczęli swe ofiary grzmocić po grzbietach, co spowodowało dudnienie tak niespodzianie głośne, że zagłuszać jeło łoskot dzwonnów, chwilami przynajmniej; czasami zaś milkły oba odgłosy na skutek nakładania się fal: była to zawarta w nikłych odcinkach czasu przerażająca cisza.

I w tej ciszy oprawcy ściągali książki z półek, zaglądali do nich, a ponieważ nie umieli czytać, otwierali je na chybił trafił i wskazując byle jaką formułę, pytali gromko:

— Co to znaczy?

Na co alchemicy, wiedząc, że oprawcy z urzędu są niepiśmienni:

— Abrakadabra.

— Co?

I książki wylatywały na ulicę. Oprawcy powiązali alchemików sznurami i wywlekli na rynki obu stolic. Wtedy królowie się obudzili i pobudzone księży. Ludność, wylegająca na miasto, zapędzono do noszenia książek i układania ich na rynkach, gdzie już czekali księży i kaci, w zwarte kloce podobne do sześciennych, nie okrągłych jak zazwyczaj, pieńków, przy każdym pieńku stał ksiądz w ornacie i do każdego pieńka przyprowadzono alchemika, oprawca zaś zmuszał do klęknienia i złożenia na księgozbiórczym pieńku głowy, księży odmawiali modły i udzielali rozgrzeszenia *in articulo mortis*, po czym kaci chodzili od pieńka do pieńka i tanecznym jakby i jakby od niechcenia uderzeniem miecza odgławiali alchemików.

Zbitą z pantafelki ludność zapędzono do usunięcia tułowi i głów z miejsca kaźni, i następnie do ułożenia stosów z zakrwawionych książek alchemicznych, które to stosy podpalono. Królo-

wie zaś pokończyli każdy swoje *levée* i udali się w otoczeniu świt na rynki, każdy na obcy i każdy powiedział:

— Jakaż piękna iluminacja.

A potem ciszej do katów:

— Złoto jest?

Kaci ciszej jeszcze:

— Złota nie ma.

Królowie głośniej:

— Jakto, złota nie ma? Szpiedzy donieśli, że jest.

Kaci jeszcze głośniej:

Szpiedzy jakby pod ziemię się zapadli. Dlatego alchemicy zostali odgłowieni, a książki ich właśnie się palą.

Królowie w krzyk:

— Nie ma złota. Nie ma szpiegów. Zarządzam odwrót.

3. Gdzie są szpiedzy?

Następnego dnia król A zarządził odwrót ze stolicy B do stolicy A, król B natomiast odwrót ze stolicy A do stolicy B. Z przyczyn mało poddających się racjonalnemu badaniu, z kaprysu może, a może ze złości, królowie wymienili, nie wiedząc o sobie wzajem, marszruty: król A wracał do A drogą, którą król B szedł na A, król B zaś drogą, którą król A szedł na B. W ten sposób, jako że stan rzeczy okazał się oczywisty, pośledniejsi nawet oficerowie obu stron łatwo mogli dojść do wniosku, że, po pierwsze, droga była już uprzednio przez jakieś wojska stradowana, oraz, po drugie, że wobec opustoszenia stolicy przeciwnika przez jegoż wojsko i jegoż dwór królewski nic innego stać się nie mogło, jak tylko to, że król A ruszył na B, król B natomiast na A.

Dalej rozum pośledniejszych oficerów już nie sięgał. Sięganie dalej było sprawą rozumu i wyobraźni generałów tudzież obu kancelarii królewskich, kanclerzy nie wyłączając. Jak daleko sięgały rozumu i wyobraźnie samych królów, spowite jest dotąd mgłą tajemnicy i być może nawet do rzeczy nie należy. Otóż w obu sferach polityczno-militarnych obu stron wysnuto po kilku nocnych debatach wniosok, że przyczyną obu pochodów i obu odwrótów, a także, jak się okazało widomie, powodem śmierci niewinnych w istocie alchemików oraz spaleni ich ksiąg były kręactwa i knowania szpiegów, w gruncie rzeczy niezrozumiałe, przypominające w jakiejś tam mierze uprawiane sztuki dla sztuki. Rozumowano bowiem tak: jeśli ruszyliśmy na sąsiada chcąc uprowadzić alchemików znających sztukę wytwarzania złota i jeśli to samo, w odwrotnym jedynie geograficznie sensie,

zrobił i nasz sąsiad, to z tego wynika dowodnie, że nikt nie był w posiadaniu alchemicznej tajemnicy i że szpiegdy obustronnie okłamali swych mocodawców, przy czym nie wykluczamy perfidnej zmywy. Pościnać więc należało nie alchemików, lecz szpiegów, ale szpiegów pościnać się nie udało, bo stali się nieuchwytni, co należy wpisać do ich zawodowej sprawności, wszelako sprawność ta tym razem spożytkowana została szalbierczo, jako że ze szkodą dla zwierżności. — Tyle rozumowanie; konsekwencją zaś jego była myśl, że ktoś musi to gardłem przypłacić, obojętnie, winny czy niewinny, gdyż karę niekoniecznie, jak wiadomo, ponosi sprawca.

Co do szpiegów, to historycy wiele lat gubili się w domysłach i niczego się po dzień dzisiejszy nie domyślili. Przeważa opinia, że pozostali zwartą grupą i chyłkiem wywedrowali na jakieś odludzie, nieznanie ówczesnym kartografom. Czyżby założyli sobie na tym odludziu własne państwo? — Ależ o państwie szpiegowskim nikt w późniejszym okresie odkryć geograficznych nie doniósł. — Miałoby tedy być tak, że państwo założone przez będących w zмовie szpiegów, stało się państwem tak normalnym, iż normalniejszego nie uświadczysz? — Ten ostatni pogląd przeważa.

Po tym ekskursie trzeba wrócić do właściwego czasu i toku opowieści.

Królowie obu stron w namiotach królewskich zakończyli naradę konkluzją:

— Trzeba zawrzeć zgodę z sąsiadem.

Na co kanclerze:

— Należy zawrzeć pokój, ponieważ wojny nie było.

Zaś generalicja:

— Uświetnimy normalizację stosunków międzypaństwowych igrzyskami.

Po czym okazało się, kto musi dać gardło.

4. Igrzyska

Dać gardło musieli ci, co do tej pory, użyjmy właśnie tego wyrażenia, je brali.

Odbywało się to na starożytniej arenie, jeszcze z czasów rzymskich, szczęśliwie nie zniszczonej. Zazwyczaj dawano tu widowiska dla ludu, niekiedy dla zbudowania, niekiedy dla uciechy, najczęściej wszakże były to walki byków, zwierżność bowiem wychodziła z założenia, że są one zarówno budujące, jak i ucieszenie; budujące ze względu na pochwałę dzielności i odwagi; ucieszenie dla oka. — Arenę tę jako miejsce igrzysk wybrano dlatego, po-

nieważ granica pomiędzy królestwem A i królestwem B przebiegała dokładnie wzdłuż jej średnicy.

Tym razem nie walki byków uświetniły uroczystość. Po defiladach, harcach i turniejach, podziwianych przez obu królów, siedzących obok siebie w najlepszej komitywie, a nawet od czasu do czasu wymieniających sobie korony; podziwianych także przez obie królowe, przez dwory męskie i żeńskie, przez generalicję, korpus oficerski i zwarty tłum rozochoczonego ludu; otóż po tym wszystkim na środek areny położono czerwony kobierzec, na który wstąpił herold w czarnych szatach i cztery razy w cztery wiatry wytrąbił groźną i smutną fanfarę.

Zaraz pojawili się ci, co mieli dać gardło. Weszli na arenę spod trybun, przejściem, którym zazwyczaj wypuszczano byki do walki. Szli wolno ku centrum, w przepisowych swoich, galowych nawet strojach, z obnażonym mieczem każdy w prawicy. Z trybun widziano, że z sobą rozmawiali. Ziemia pod nimi drgała, drgania rozmowy przenosiły się z ich strun głosowych w grunt pod nogami i tak zastygł tam zapis sejsmiczny, w wiele lat później odczytany przez badaczy.

A oto treść zapisu; nie wiadomo tylko, który z obu co mówił, choć rozróżnić, że mówili dwaj się dawało, ponieważ częstotliwość drgań nie była taka sama:

— Więc proces rozwojowy przebiegał tak, że pachol stawał się coraz bardziej skazańcem.

— Słusznie. Skazaniec zaś stawał się coraz bardziej pacholem.

— Pan natomiast coraz to sprawniejszym katem.

— Ale i na odwrót: kat coraz to możniejszym panem.

I tak szli dalej. Królowie zaś, podochoceni, mówili do siebie:

— Na wieczere będą bażanty.

— I pardwy będą.

— I słonki.

— A także jarzabki.

Smiali się do siebie i wymieniali sobie wzajem korony; mieli ten sam obwód głowy.

Natomiast nadal maszerujący z godnością kaci wiedli dalej swoją rozmowę w prażącym słońcu:

— Będziemy umierali na stojąco, w pionie. Pion jest wartością.

— Tak, łączy zenit z nadirem.

— Ale postawa pionowa nie jest wartością. Zenitu z nadirem nie łączy.

— Ponieważ każda postawa, pionowa także, w ogóle niczego z niczym nie łączy.

A królowie dalej swoje, bawiąc się koronami:

— Na wieczerzę będą cietrzewie.

— I głuźce będą.

— I bekasy.

— A także kuropatwy.

Królowe i damy dworu cichotały i nie wiadomo, czy dlatego, że uznały te królewskie dialogi za wykwintny dowcip, czy też dlatego, że podniecone były myślą o wytwornej wieczerzy.

Zapis sejsmiczny zakończenia rozmowy katów odczytany został następująco:

— Kiedy staniemy na środku areny i wzniesiemy miecze, mrugniemy do siebie wzajem.

— I zajrzemy sobie głęboko w oczy, i nadamy sobie powiadomienie o nas samych: że według umowy bronić się nie będziemy, że choć uzbrojeni, pozostaniemy, bezbronni, a fechtunku żadnego nie będzie.

— Ale bać się będziemy siebie wzajem.

— Będziemy się bać i nasza trwoga zniesie różnicę między pionem a postawą pionową.

Tak tedy weszli na środek areny. Królowie zamilkli, nie chcąc stracić nic z widowiska, zamilkły dwory i zamilkł lud, oni zaś, kaci, zmierzili dokładnie odległość między sobą, aby zamach mógł być skuteczny, celny i mocny; po czym dokonali próby mrugnięcia, poważnego i pełnego za pierwszym razem godności i za tym pierwszym razem jednoczesność im się nie udała; uśmiechnęli się więc do siebie smutno i mrugnęli po raz drugi, tym razem przekornie i filuternie, i równocześnie im się udała; trybuny zamarły w rozbawionym napięciu, bo oto miecze uniosły się poziomo i na płask, widzom wydawało się, że słyszą świst ciętego powietrza, a potem rzeczywiście widzowie usłyszeli lekki stukot: to głowy katowskie upadły na kobierzec.

W tej chwili powinny się były rozlec na trybunach brawa i wiwaty. Nie stało się tak, ponieważ ujrano coś przeciwnego naturze: ciała katów nie upadły, lecz sterczały nadal pionowo w mocnym rozkroku, mimo że z obu szyi katowskich tryskały z niezwykłą siłą strumienie krwi czerwonymi pióropuszcami w górę. Co dziwniejsze zaś — tryskanie nie ustawało, choć powinno było, jako że wedle rozumnych przewidywań zasoby krwi musiały się być wyczerpać.

5. Królowie

Nie wyczerpywały się. W ciałach obu katów nagromadziły się bowiem o wiele większe zasoby krwi, aniżeli mogły pomieścić ich tułowia; była tam krew wszystkich przez nich odgłowie-

nich: złoczyńców i ludzi prawych, zdrajców i wiernych, heretyków i wyznawców nieskalanych błędem, łotrów i świętych, rycerzy i pospólstwa, mieszczan i chłopów, uczonych i przygłupków, a mieszała się ich wszystkich krew z krwią niedawno straconych alchemików i z ich własną, katowską.

Zapatrzony w tę płynną czerwień tłum na trybunach nie zauważył, że królowie błędną, jakby z nich uchodziły soki życiowe, błędąc zaś ponownie zaczęli się bawić koronami, koroną A i koroną B, potem chwiać się, aż w końcu zwalili się ze swych miejsc prosto w ciętką czerwień na arenie; korony upuścili z rąk i korony potoczyły się na arenę tak, że uderzyły o czaszki odgłowionych katów.

Wtedy dopiero zauważono co się wydarzyło i z trybun wzniosły się aplauzy i wiwaty i wiadomo stało się wszystkim: igrzyska skończone.

Witold WIRPSZA

Prof. J. K. ZAWODNY

NOTHING BUT HONOUR

Story of the Uprising of Warsaw 1944

Historia 63 dni Powstania Warszawskiego w 1944 roku, w którym zginęło przeszło 200.000 mieszkańców walcząc z niemiecką armią. Książka opisuje powstanie na ulicach Warszawy oraz prowadzi Czytelnika do Londynu, Moskwy, Waszyngtonu wyjaśniając dyplomatyczne manewry zakończone biernością sowieckiej armii (która stała w odległości 2-ch mil, kiedy Niemcy przeszli do burzenia Warszawy). Roosevelt, Churchill i Stalin byli wmieszani w tę tragedię.

Str. 340.

\$ 12,95 (£ 6.95).

Wyd. Hoover Institution Press, Stanford, CALIF. USA
& MacMillan (London).

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli i z... Belgradu

W KARTY NALEŻY GRAC NA PARTERZE

Edmund Burke (1729-1797) powiedział kiedyś (nie wiem kiedy), że każda decyzja polityczna stanowi wybór „między tym co nieprzyjemne, a tym co niedopuszczalne”. Konferencja belgradzka była przez cały czas nieprzyjemna, a bardzo często niedopuszczalna. Nic więc dziwnego, że jej akt zejścia, zredagowany przez prasę światową, nie był specjalnie pogodny. Słownictwo użyte w setkach nekrologów należy do kilku rodzajów języka:

Medyczny: agonია, martwa za życia, sztuczne oddychanie, użyteczność eutanazji, stan hibernacji;

Teatralny: komedia omyłek, wiele hałasu o nic, cyrk bez kłownów, straszny kabaret;

Sportowy: szach-mat, najnudniejszy maraton świata, krok do tyłu, skok w bok, stój, postój, zastój;

Literacki: targowisko próżności, pod dachami Belgradu;

Liryczno-sentymentalny: smutek, upokorzenie, gorycz, rozczarowanie, stracone złudzenia, *adieu*, odeszła bez śladu, w mgławicę dziejów, w mroki zapomnienia, w cieniu wstyd;

Ginekologiczny: niepłodna;

Matematyczny: najmniejszy wspólny mianownik;

Metaforyczny: góra urodziła mysz, *détente* na mieliznie, na śmietniku historii;

Ironiczny: pośmiewisko świata, padła z zagadania, umarła z nudów;

Rozkazujący: dobić, kciuk w dół;

Definitywny: ostatnie godziny, mowy pogrzebowe, dom żałoby, uroczysty pogrzeb, uprasza się o nieskładanie kondolencji, wieczne odpoczywanie...

„Minute, Monsieur le Bourreau...” jak to ktoś kiedyś (nie

wiem kto i nie wiem kiedy) powiedział. Chwileczkę, powtarzam, ciało jeszcze ciepłe, pogrzebać zdążymy. Niedawno na Powązkach pewien facet przyleciał na pogrzeb w ostatniej chwili, kiedy trumna była już w grobie i ku ogólnemu zdumieniu zamiast kwiatów wrzucił do dołu dużą bombonierkę. „Bardzo przeproszam, powiedziałam zadyszany, ale kwaciarnie były już zamknięte”.

U muru Pałacu Kongresowego w Belgradzie, który stanowi najdroższe mauzoleum świata (30 milionów dolarów głównie z kredytów zachodnich), ja także składam nie kwiaty a bombonierkę, i to nie dlatego, że kwaciarnie są zamknięte, a dlatego, że takie mam życzenie.

„... że ja byłem przeciw”

Dziwny facet, ekcentryk, powiecie. Minutka, panie kacie, pojdźmy bliżej, spójrzmy zwłokom w oczy. Konferencja belgradzka miała, w skrócie mówiąc, potrójne zadanie. 1) zbadać w jaki sposób 35 państw, które podpisały akt końcowy w Helsinkach wywiązały się ze swych zobowiązań czyli jak umacniały *détente*; 2) omówić propozycje na przyszłość czyli ustalić jak jeszcze bardziej umocnić *détente* i 3) zadecydować kiedy i jak się spotkać ponownie czyli jak doprowadzić do ostatecznego triumfu *détente*. Wszystko to miało być, po czwarte, szczegółowo wyłożone w komunikacie, bardzo uroczyście podpisanym i zakończonym wesołym oberkiem.

Stało się, jak wiemy, inaczej. 9 marca 1978 roku o godz. 18.15 Belgrad zszedł ze świata nie w chwale, a w drwinie. Żaden z 400 dyplomatów i ekspertów, którzy odsiedzieli prawie rok w kipiącej życiem stolicy południowych Słowian, spędzili dni i nocę na ponad 80 sesjach plenarnych, ponad 300 posiedzeniach grup roboczych, tysiącach nieformalnych spotkań, wypili w naszym imieniu i za nasze pieniądze tysiące butelek szampana i śliwownicy, wylali hektolitry atramentu i zasmarowali tysiące ton papieru, żaden, powtarzam, z tych walecznych nie opuścił stolicy zadowolony.

Puďte? Na pozór, tak. Nikt normalny nie spodziewał się, że po zakończeniu konferencji belgradzkiej ZSSR przekształci się w demokrację parlamentarną, wycofa swe dywizje z Polski czy NRD, obali mur berliński, wypuści dysydentów z kryminału a Żydów z Rosji i odznaczy Sacharowa orderem Lenina. Ale spodziewano się, że komunikat końcowy po Belgradzie przypomni chociaż ustalone w Helsinkach podstawowe elementy *détente*, potwierdzi linie bezpieczeństwa, współpracy i praw człowieka, wzduż których świat mógłby się posunąć naprzód.

A tymczasem najpełniejszy, 30-stronicowy, projekt komunikatu końcowego nie wyszedł nawet z kieszeni delegata amerykańskiego Artura Goldberga. Wszystkie inne projekty kompromisowe zostały odrzucone przez Julija Woroncowa, delegata sowieckiego. Był także projekt Kremla, ale został on odrzucony

przez zachód, tak bardzo przypominał wstępniak z *Prawdy*. Skończyło się więc na kompromisie-minimum.

Komunikat składa się z 19 niemrawych paragrafów, jest niestrawny, wyraźnie wymuszony, nadrabia miną. Zapowiada on, że następna konferencja plenarna zbierze się we wrześniu i listopadzie 1980 roku w Madrycie i że zostanie poprzedzona zebra- niami ekspertów: w Montreux w październiku 1978 roku dla opracowania, bagatelka, sposobów pokojowego rozstrzygnięcia kon- fliktów, w Bonn w czerwcu 1978 roku dla przygotowania „forum naukowego” i na Malcie w lutym 1979 dla omówienia problemów basenu śródziemnomorskiego. Poza tym zaś, jeżeli pominąć mowę-trawę i wodolejstwo konferencyjne, to komunikat koń- cowy odzwierciedla jedynie zgodę 35 delegacji co do faktu, iż nie udało się im osiągnąć zgody w żadnej z podstawowych oma- wianych spraw, a przede wszystkim co do praw człowieka...

Można by powtórzyć za Churchillem: jeszcze nigdy tak wielu nie uczyniło tak mało dla tak licznych. Z perspektywy komuni- katu końcowego konferencja belgradzka była istotnie triumfem immobilizmu. Nie jest więc pozbawione sensu pytanie: pułdo czy nawet dramat i powrót do zimnej wojny? Jeszcze jeden triumf sowiecki, Zachód znowu ośmieszony na swej drodze do zbiorowego samobójstwa?

Proszę pamiętać, że ja byłem przeciw. Żadne z tych określeń mi nie odpowiada. Ja wiem, że się narażam, ale wyniku konfe- rencji w Belgradzie nie uważam za katastrofę, i jeżeli trudno go określić jako sukces sił demokracji i postępu, to jest to na pewno kompromitująca klęska dyplomacji sowieckiej. Zanim postaram się to twierdzenie udowodnić, państwo pozwolą, że ich co nie co poobrażam: tylko ślepi i głusi, naiwni lub igno- ranci mogli się czegoś poważnego po komunikacie w Belgradzie spodziewać. A teraz wyzwiska po kolei (kolejność przypadkowa).

Aluzji nie pojęli

Tylko ślepi i głusi mogą być zaskoczeni. Rosjanie od po- czątku Belgradu nie ukrywali, że Helsinki się nie powtórzą, że tym razem obejdzie się bez oklasków i fajerwerków. Kilka sygnałów widocznych było dla wszystkich, którzy chcieli mieć oczy otwarte:

1) od początku Moskwa narzuciła w Belgradzie najniższy szczebel możliwy. Kreml przysłał Woroncowa, nawet nie amba- sadora a radcę ambasady w Waszyngtonie. Woroncow jest świetnym fachowcem i ma bardzo zdolną żonę, ale nie powinien był zasiadać przy jednym stole np. z ambasadorem Shererem z USA, nie mówiąc już o Goldbergu, b. ministrze i sędzi Sądu Najwyższego;

2) w trakcie konferencji Kreml mianował Woroncowa amba- sadorem w New Delhi, ale nie po to aby podnieść jego range

i znaczenie w Belgradzie, a po to aby podkreślić, że Belgrad to dla niego zajęcie drugorzędne;

3) od początku Rosjanie poinformowali świat, iż nie może być mowy o komunikacie końcowym przypominającym spis zbrodni popełnionych na prawach człowieka wszystko jedno gdzie, a zwłaszcza na wschód od Łaby;

4) 17 stycznia 1978, w dniu podjęcia prac konferencji po świą- tecznej przerwie, Woroncow od pierwszego podejścia rzucił na stół swój projekt komunikatu, gdzie nie było nawet najmniejszej aluzji do „trzeciego koszyka” i praw człowieka. Równocześnie w Moskwie ogłoszono o zaostrzeniu paragrafów i zakończeniu śledztwa w sprawie Orłowa, Ginzburga i Szczarańskiego, trzech przywódców sowieckiej grupy badającej łamanie Helsinek w ZSSR, co oznaczało, że w tej dziedzinie koncesji w Belgradzie nie będzie;

5) kilka dni później Rosjanie wycofali swych ludzi z podko- misji redagującej akapity o prawach człowieka;

6) kiedy konferencja dobiła do 15 lutego, daty przewidzianej na finisz, Rosjanie odesłali część swej ekipy z powrotem do Moskwy.

Czy można było przekazać Zachodowi aluzje bardziej nie- dwuznaczne?

Belgrad to nie Helsinki

Tylko naiwni mogli przypuszczać, że uda się w Belgradzie powtórzyć białe noce z Helsinek. Klimat inny... W 1975 roku Kreml potrzebował szczytu na 4 fajerwerki, Breżniew chciał do- kumentu mogącego stanowić *ersatz* traktatu pokojowego. Breż- niew, przypomnijmy w streszczeniu, chciał międzynarodowego uznania powojennych, jałtańskich, granic ZSSR, chciał obietnicy respektowania przez Zachód dominacji sowieckiej w granicach tego imperium oraz zapowiedzi takiej pomocy gospodarczej i technologicznej, która zapewniłaby Kremlowi możliwość zaspoko- jenia najbardziej prymitywnych potrzeb żywnościowych i prze- mysłowych przy niezmnieszeniu tempa zbrojeń i rytmu ekspan- sji zagranicznej. Za to wszystko Kreml gotów był zapłacić pewną cenę godząc się na ogłoszenie jakiegoś minimalnego kodeksu praw ludzkich. I tak się stało...

Ale Belgrad to nie Helsinki. Breżniew niczego dziś nie po- trzeba, a w każdym razie niczego takiego co mógł mu być przynieść Belgrad właśnie. W dziedzinie równowagi zbrojeń za- pewnienia Malty czy Lichtensteinu, a nawet pseudo-mocarstw europejskich nic albo niewiele wniesić mogą. Rzeczy poważne odbywają się gdzie indziej. Cztery międzynarodowe konferencje, w Genewie, Wiedniu i w ONZ zajmują się, bezskutecznie, ideą rozbrojenia. Negocjacje SALT II — jedynie naprawdę istotna

sprawa wojskowa — toczą się w cztery amerykańsko-sowieckie oczy, poza Belgradem.

To samo dotyczy współpracy gospodarczej. Z Belgradem czy bez, Kreml wie jak należy postępować. Breżniew, choć taki wrażliwy w Belgradzie na wszelkie próby „ingerencji”, nie wahał się zaprosić do Moskwy senatora Henry Jacksona, najczarniejszą owcę amerykańską, autora słynnej poprawki uzależniającej przyznawanie kredytów amerykańskich od zliberalizowania totalitarnej procedury emigracyjnej (o czym szeroko pisaliśmy w naszym cyklu z USA).

To nic, że Kreml odwołał wizytę Jacksona, kiedy senator uprzedził ambasadora sowieckiego Dobrynina, że zamierza spotkać się z Sacharowem. Ważne i znamienne, że Kremlowi w ogóle taki pomysł przyszedł do głowy. Tym bardziej, że właśnie w czasie konferencji w Belgradzie, kiedy Wschód kolektywnie obrzucał błotem wszelkie próby „brutalnego nacisku” w kierunku uczłowieczenia komunikatu końcowego, rząd węgierski, nie bez zgody Moskwy wszakże, otrzymał od Cartera nie tylko koronę św. Stefana, ale także „klauzulę największego uprzewilejowania”, przyznawaną przez USA wyłącznie pod warunkiem zaakceptowania przez beneficjenta właśnie „emigracyjnej” poprawki Jacksona.

Krótko mówiąc, Belgrad nie mógł dać niczego takiego za co Breżniew byłby skłonny cokolwiek zapłacić, choćby w niewymiernych rublach nie mówiąc już nawet o prawach człowieka, który brzmi dumnie. Oczywiście, trzeba było, i słusznie Goldberg czynił, bić się o każdy przecinek, ale biorąc pod uwagę szkody, jakie „trzeci koszyk” w prawach człowieka już wyrządził na Wschodzie nie można było się spodziewać dalszych ustępstw tej władzy sowieckiej w tej właśnie sprawie, w tym właśnie momencie i w tym właśnie miejscu. W sumie można było mieć tylko komunikat znacznie gorszy, a nie znacznie lepszy. Znacznie lepszemu spodziewać mogli się jedynie hipokryci albo niefachowcy.

Jak każdy totalitaryzm

Niefachowcy, albowiem było jasne, że Belgrad stanowi jedynie fragment większej całości. Od traktatu brzeskiego w 1918 roku nikt nie ma wątpliwości, że sowiecka polityka zagraniczna stanowi jedynie przedłużenie sytuacji wewnętrznej. Otóż, Kreml uważa, że z punktu widzenia tej sytuacji wewnętrznej, ZSSR wypłacił już wszystko co miał do zapłacenia za Helsinki. Prawa człowieka, mówi Kreml — *nie znaju*, przeszły do kategorii *un-things* Orwella. Kreml ma poważne wewnętrzne zmartwienia. Z grubsza biorąc: 1) wśród sowieckich dzieci poniżej lat 10 większość ma dziś skośne oczy i smagłą azjatycką cerę; 2) kryzys gospodarczy już także oficjalnie dopadł ZSSR. Podwyżka cen na benzynę („na prośbę obywateli”, powiedział minister), kawę itd., mimo, iż wyrównana szaloną obniżką cen obuwia gumowego, jest operacją klasycznie inflacyjną i kapitalistyczną; 3) pu-

kanie dochodzi spod dna ideologicznego. Po 60 latach władzy ustrój sowiecki ciągle nie zapuścił prawdziwych korzeni, stanowi, jak to ktoś kiedyś (znowu nie pamiętam kto i kiedy) powiedział, system bez żadnej przyszłości, ale za to bardzo długowieczny. Kreml nie mógł pozwolić, aby aluzje do praw ludzkich, aby humanitarny opad zagraniczny jeszcze bardziej zatruł i tak niespokojną atmosferę ZSSR. Odwrotnie, jak każdy totalitaryzm, Kreml zwrócił się w stronę nacjonalizmu i szowinizmu. 6.000 oficerów z elity sowieckiej oklaskiwało w pałacu zjazdów przez kilka minut imię Stalina, znanego obrońcy praw ludzkich, przerywając dwukrotnie przemówienie marsz. Ustinowa, wygłoszone w okazji 60-tej rocznicy armii czerwonej. To nie przez pomyłkę telewizja sowiecka nadała te oklaski na cały kraj Rad. Kreml jest ostrożny, stara się nie przeciągnąć struny, ale nie zawahał się załatwić Angoli, Etiopii, ingerować bezczelnie w zachodnie dyskusje na temat bomby neutronowej (czy zauważyliście jak spokojnie potraktowała list Breżniewa w tej sprawie prasa zachodnia, czy wyobrażacie sobie co by się działo gdyby list taki napisał Carter...).

W ramach ogólnej strategii zaostżenia i ekspansji Belgrad nie mógł przejść pod hasłem „ogólnego buzi”.

Jak na garbatego

Otóż, jeżeli to wszystko wziąć pod uwagę, to z przeproszeniem ślepych, głuchych, naiwnych i niefachowych, Belgrad należy uznać za względny sukces. Pewien ksiądz katecheta opowiadał dzieciom o tym jak piękny jest człowiek, którego Bóg stworzył na swe podobieństwo. — „A ja, proszę księdza, spytało pacholę nieco garbate, czy ja też jestem piękny?”. — „No cóż, moje dziecko, odpowiedział mądry katecheta, jak na garbatego, to ty jesteś bardzo piękny...”.

Jak na garbatego, to Belgrad jest nawet piękny. A oto dlaczego.

Po pierwsze, Belgrad stanowi całkowitą kłeskę prestiżową ZSSR. Tak jak cała prasa się pomyliła w ocenie Helsinek, głosząc kapitulację, zdradę i poróbstwo Zachodu, tak dziś się myli siląc się na najczarniejsze barwy w redagowaniu nekrologów po Belgradzie. Tak jak nie była zdolna przewidzieć w 1975 roku siły bumerangu „trzeciego koszyka” z Helsinek, tak dziś nawet nie stara się poważnie ocenić szans opadu pobelgradzkiego. Nigdy jeszcze, *en effet*, prasa demokratyczna tak fatalnie nie obsłużyła wielkiej konferencji międzynarodowej. A przecież był to nieustający festiwal strachu. Tutaj dopiero pasują aluzje pogrzebowe. Nieboszczyk, jak mawiają Francuzi tkwił cały czas w szafie delegacji sowieckiej. Moskwa tak bardzo się bała ujawnienia nieboszczyka, inaczej mówiąc aluzji do praw człowieka, że odrzuciła wszelkie propozycje kompromisowe nie tylko państw zachodnich (Breżniew zlekceważył ostentacyjnie list prezydenta

Giscard d'Estaing, chociaż do Francji ZSSR żywi — rzekomo — uczucia specjalne, ale także wszystkie „otwarcia” państw neutralnych. Oczywiście, państwa neutralne nic Rosji zrobić nie mogą, ale z punktu widzenia tzw. prestiżu — jeżeli to słowo ma jeszcze jakiś sens w odniesieniu do super-mocarstwa sowieckiego — jest to całkowita klęska. „Belgrad miał przynieść potwierdzenie szacunku supermocarstw dla krajów małych i średnich, miał potwierdzić nasze prawo i naszą możliwość współdziałania w decydowaniu o przyszłości Europy — powiedział mi pewien dyplomata neutralny. — Do tego wszak służy zasada jedności. A tymczasem Moskwa to wszystko podeptała. Rosja nie ma prawa nas tak traktować. Teraz już — powiedział ów polityk — król jest ostatecznie nagi”.

Odpowiedziałem mu na to, że Rosja nie ma prawa, ale ma siłę, ale, że — co jest ważniejsze — ten król nigdy nie był tak przepięknie ubrany, tylko że Zachodowi wzrok się psuł.

Kropkę nad i, postawił mój znajomy obserwator z Warszawy. „Zdumiona reakcja Zachodu na moskiewskie *niet* w sprawie praw człowieka — powiedział ów przenikliwy człowiek — przypomina reakcję owej damy, która ujrawszy pierwszy raz nagość nie króla a swego przyszłego kochanka wykrzyknęła: „Mój drogi, ja wiedziałam, że ty jesteś obrzezany, ale nie wiedziałam, że do tego stopnia...”. Otóż, sowiecki opór wobec wszelkich prób wzmiankowania praw ludzkich wywołał taki właśnie efekt. Jest to koniec mistyfikacji. Kreml jest ostatecznie nagi. Wynik: 29 państw wyraziło zdumienie stopniem okaleczenia Kremla (i komunikatu końcowego), tylko 6 państw (wschodnioeuropejskich) ciągle zachwyca się jego kształtami. Nie jest to ogromny sukces *superman*ów z Moskwy.

Niech pan się nie krępuje

Po drugie — o czym prasa milczy, tak bardzo jest zafascynowana nagością Kremla — w Belgradzie, choć obrzezany komunikat o tym nie wspomina, dokonano pełnego przeglądu sposobu w jaki państwa wschodnie ze Związkiem Sowieckim na czele, gwałciły przez dwa lata przepisy aktu, który tak solennie 1 sierpnia 1975 roku w Helsinkach podpisały były. O niczym innym właściwie nie mówiono. Jasne, od czasu do czasu próbowano omawiać inne sprawy, ale w wyniku brutalnej sowieckiej kontry okazało się, że tak jak w dowcipie o małżonku, który dopiero po ślubie przekonał się, że ożenił się nie dla pieniędzy a z miłości, okazało się więc, że Belgrad zebrał się właściwie tylko w celu zebrania materiałów niezbędnych dla wyszykowania wszechstronnego i bezlitosnego aktu oskarżenia przeciwko wszystkim rodzajom KGB. Akt ten nie został wydrukowany, ale Woroncow dostawał codziennie swoją porcję wstydu. Nie próbował nawet odpierać zarzutów, zwłaszcza, że nie był niepokojony przez międzynaro-

dową prasę, twierdził tylko, że krytyka ta stanowi niedopuszczalną ingerencję w wewnętrzne sprawy suwerennego ZSSR.

Otóż, i to jest kolejny sukces Belgradu, argument o ingerencji nie robi już na nikim wrażenia. Od Helsinek każde państwo ma prawo interesować się losem człowieka w innym kraju. Belgia nie może naturalnie narzucić Rosji monarchii, nie może także nauczyć niektórych „dziennikarzy” pisujących w *Życiu Warszawy* dobrych obyczajów prasowych a nie szukania bezkarności i ukrywania się za murem policyjnych pałek strzegących ich i ich bagroty od polemik czy sprostowań. Ale ta sama Belgia może w Belgradzie, nie mówiąc już o belgijskiej prasie nie pytającej MO o zdanie, interesować się stanem praw człowieka w Polsce w ogóle, a np. Michnika w szczególności.

Pewnie, nie jest to zupełnie jasne dla osób „stamtąd”. Niedawno wydrukowałem artykuł o tym jak Ceausescu maltretuje Węgrów w Transylwanii. Była na to interwencja dyplomatyczna. Naturalnie mój rozmówca nie wspomniał nawet o losie przesładowanych Węgrów, nie zdementował ani jednego słowa, protestował tylko, bo takie miał instrukcje, przeciw krytykowaniu szefa partii i państwa. „Niech wasza prasa krytykuje w zamian szefa naszego rządu i naszych partii i będziemy kwita”, odpowiedziałem na to.

Tak samo było w Belgradzie. Kiedy Woroncow skarżył się na „ingerencję”, Goldberg powiedział: „Niech pan się nie krępuje, niech pan ingeruje. Niech pan nie myśli, że jeżeli pan przestanie kłamać na mój temat, to ja przestanę mówić prawdę na pański temat...”.

Woroncow znalazł na to paradę. Typowo sowiecką: nazwał Goldberga pogardliwie „sędzią”. Tylko w ZSSR, państwie klasowej sprawiedliwości, słowo „sędzia” może być obelgą. Woroncow zdawał się żałować czasów kiedy to nie sędziowie a prokurator Wyszynski załatwiał kwestie praw człowieka w ZSSR ale nie udało mu się wprowadzić na salę w Belgradzie nastroju procesów moskiewskich. Nie udało mu się także — mimo zakneblowania komunikatu — zatrzeć precedensowego znaczenia Belgradu, gdzie po raz pierwszy przedstawiciele nie opinii publicznej, a rządów tak dokładnie i tak długo omawiali problemy praw człowieka. Prasa o tym nie donosiła, bo konferencja była „nudna”, jak mi to pewien kolega powiedział, ale wniosek trwały brzmi: począwszy od Belgradu żadna poważna konferencja międzynarodowa nie potrafi wyeliminować problemu praw człowieka z porządku dziennego. Nie jest to dla ZSSR perspektywa zabawna, ani zwycięska, i to mimo, że prasa sowiecka po Belgradzie triumfuje, a prasa zachodnia rozdziera szaty.

Delegaci w toalecie

Po trzecie, w Belgradzie nastąpiło to, co pewien dyplomata nazwał „erozją mentalności blokowej na Wschodzie”. Jest to

pogląd nieco optymistyczny, ale niewątpliwie Belgrad stanowi ważny etap w osłabieniu spójni „za wszelką cenę”. Fronda Rumunii pokazała bowiem, że można mówić i postępować inaczej niż Moskwa, i że czerwone niebo nie staje w płomieniach. Ceausescu, choć kilka razy, zwłaszcza przy końcu, manifestacyjnie się od Moskwy odciął, nie tylko Belgrad zdrowo przeżył, ale urządził sobie takie 60-lecie, że 70-lecia Stalina i Breżniewa wyglądały w porównaniu z nim na wieczorynkę św. Mikołaja w przedszkolu moich dzieci na Latawcu w Warszawie.

Jest to lekcja bardziej wymowna niż się to może na pozór wydawać. Pewien znajomy weteran helsińsko-belgradzki tak to kwieciście opisał: „Kiedy w trakcie genewskich przygotowań do Helsinek, Rumuni, wtedy jeszcze oględnie, wypowiadali się inaczej niż Rosjanie, wówczas Węgrzy byli zawsze jakby przez przypadek w toalecie, a Polacy, Czesi, Bułgarzy i NRD-owcy brali natychmiast i bez szemrania stronę Rosji. Kiedy jednak w Belgradzie Rumun zupełnie otwarcie kontrował Kreml, Węgrzy, nie protestując, zostawali na sali, Polacy bywali przypadkowo w toalecie, i Woroncowa mógł naprawdę liczyć już tylko na Czechów, Bułgarów i Honneckera”.

Powoli, po cichu, KDL'ele nauczyły się manewrować na fali wielkich konferencji międzynarodowych. Jest to technika specjalna, może być korzystna. Delegat polski pozornie suwerennie zaproponował np. w kulisach Belgradu aby rozważyć ideę zwołania następnej konferencji do Warszawy. Pomysł natychmiast upadł, ale w opinii dyplomatów belgijskich zostało wrażenie „odwagi” ich polskich kolegów. Gorsze wrażenie zrobiły próby rozbrajania Zachodu przez niektórych wschodnich dyplomatów, w tym PRL'u. Wyraźnie inspirowani, przestrzegali zachodnich negocjatorów, aby postępowali nader ostrożnie, tak aby nie zaszkodzić Breżniewowi, który — szczerzy demokraci i miłośnik pokoju — musi odierać ataki twardego skrzydła kremłowskiego, w związku z czym nie należy kłaść specjalnego nacisku na prawa ludzkie, kwestię na Kremlu specjalnie drażliwą.

Najgorsze zaś wrażenie zrobiły argumenty dyplomatów i dziennikarzy z Warszawy (nie tylko w Belgradzie), kiedy dowodzili wobec rozmówców zachodnich, zafascynowanych działalnością opozycji w Polsce, że dysydenci np. z KOR'u to grupka bez znaczenia, wyobcowana z narodu, o czym najlepiej świadczy niearyjskie rzekomo pochodzenie większości przywódców opozycji czy profesorów uniwersytetu latającego. Pewien zachodni dziennikarz udający się do Polski otrzymał zaskakujący *briefing* od polskiego dyplomaty: wynikało z niego (z *briefingu* a nie z dyplomaty), że z Kurońiem np. nie warto się zadawać, bo zmienił nazwisko i naprawdę nazywa się Apfelbaum czy Rosenstein, już nie pamiętam... Zdumiony żurnalista zapytał mnie dlaczego Kuroń zmienił nazwisko (Rosenstein to też ładnie, powiedział), ale przede wszystkim w jakim stopniu brzmienie nazwiska wpływa na powagę programu opozycji lub uzasadnia represje oraz dlaczego polski dyplomata uważał, że ze z wszystkich po-

trzebnych mu i użytecznych informacji przed wyjazdem do Polski właśnie ta miała być najważniejsza...

Przykład polskiego dyplomaty mógłby świadczyć, że za wcześniej aby mówić o „erozji”, ale w strategii zachodniej utrwała się przekonanie o potrzebie zróżnicowania stosunku wobec poszczególnych KDL'i. Jeżeli Zachód właściwie to zrozumie, to nie umocni to wrażenia o niezmiennym charakterze obecności wojsk sowieckich między Sanem a Łabą.

U bram Łubianki

Nikt rozumny nie spodziewał się, że zwołanie Belgradu czy repliki Goldberga otworzą bramy Łubianki. Nawet gdyby Belgrad zakończył się całkowitym sukcesem i kolosalnym komunikatem pełnym paragrafów o prawach człowieka, nie przeszkodziłoby to w zaciśnięciu śruby w Moskwie, gdyby Kreml uznał to za potrzebne. Odwrotnie nawet, zgodnie z logiką marksistowską takie zaciśnienie śruby powinno właśnie nastąpić, aby udowodnić, że nie ma to nic wspólnego z gaworzeniem w Belgradzie czy gdzie indziej.

Dlaczego przyjemnie zdziwił mnie fakt, iż Belgrad miał pewien wpływ hamujący a może nawet „liberalizujący” (*pardonnez l'expression*) na zachowanie się władz na Wschodzie. W czasie konferencji nie odbył się ani jeden poważniejszy proces polityczny w Moskwie, chociaż więźniowie czekają na składzie w Lefortowie. Rosjanie podjęli jedną tylko próbę, nakazując Husakowi przeprowadzenie procesu Lederera i Karty 77. Próba się nie powiodła, reakcja była za ostra, Rosjanie sami procesów nie podjęli, chociaż wielokrotnie je zapowiadali.

To nie jest przypadek, że właśnie w czasie Belgradu uchwalono amnestie w Polsce, Rumunii, w Jugosławii. To prawda, że w czasie konferencji belgradzkiej Rosjanie podjęli absolutnie kompromitującą ich (jeżeli to jeszcze możliwe) decyzję o odebraniu obywatelstwa gen. Grigorence, ale zniemny jest fakt, iż ogłosili ją dopiero po zamknięciu obrad. Opowiadał mi pisarz rumuński Paul Goma, że kiedy był w ciupie w Bukareszcie, chociaż absolutnie odcięty od świata, natychmiast odczuwał zmiany na Zachodzie. Kiedy było cicho i nikt się o więźniów politycznych, a w tym i o niego, nie dopytywał, wtedy dostawał w zęby od towarzyszy z bezpieczeństwa, kiedy zaś jego nazwisko padało w Belgradzie czy gdzie indziej i szło w eter Wolnej Europy, wtedy zamiast bicia towarzysze przynosili kawę z mlekiem.

Przepraszam, ja nie jestem wariat. Ja wiem, że procesy mogą się lada chwila rozpocząć, że kiedy ten numer *Kultury* dojdzie do czytelników, to może już być po wyrokach na Szczarańskiego czy Orłowa. Ja wiem także, że żaden Belgrad nie wystarczy i że gdyby nie było robotników Ursusa czy Kościoła katolickiego w Polsce, gdyby nie było strajku górników Jiu w Rumunii oraz

w ogóle pospolitego ruszenia sumień na Wschodzie i na Zachodzie, to KOR'owcy nie wyszliby z kryminału, a Goma nie popijałby ze mną piwa w brukselskim bistro.

Otóż, i tu dochodzimy do piątego sukcesu Belgradu, wyrzucenie punktu o prawach człowieka było jednym z najbardziej krótkowzrocznych posunięć Kremla. Nie wiem czy był to personalnie pomysł, ale było to najgorsze zagranie z wielu ostatnich partii Kremla. Widać, że arcymistrzowie Korcznoj czy Spaski wybrali wolność. Rezultat jest odwrotny. To co Rosjanie chcieli za wszelką cenę usunąć z pola widzenia Belgradu, to znaczy prawa ludzkie, stało się tam najbardziej widoczne. Ceną za usunięcie tego punktu z komunikatu końcowego stała się jego niepisana ale powszechna obecność. Usuwając prawa człowieka z komunikatu, Rosjanie umieścili je na porządku dziennym sytuacji światowej w ogóle. To też nie stanowi wielkiego zwycięstwa strategii socjalistycznej.

Oczywiście, zgoda rządów zachodnich na pominięcie w komunikacie końcowym wszelkiej aluzji do praw człowieka ociera się o granicę moralnej kapitulacji. Można było na pewno zręcznie lawirować, mniej się skompromitować, ale nie należało sądzić, że w imię obrony jednego tylko paragrafu rządu zachodnie pójdą na ryzyko zerwania konferencji, zaostrożenia stosunków z ZSSR, unieruchomienia procesu *détente*, który obejmuje znacznie szerszy front niż tylko prawo do opozycji czy do sprawiedliwego procesu. Belgrad nie został zwołany wyłącznie dla obrony dysydentów, nie należało przypuszczać, że mógłby eksplodować tylko z ich powodu. Po rządach, a te przecież reprezentowane były w Belgradzie, należało oczekiwać wyłącznie szacunku dla *real*-polityki. Fakt, że w tych warunkach rządy zachodnie musiały położyć tak ostry nacisk właśnie na prawa ludzkie, kategorię rzadko obecną w *real*-polityce, też nie pozostanie pod czerwoną datą w historii sukcesów dyplomacji kremlowskiej.

Reszta należy i zależy od nas, jest w naszych rękach. Nekrologami nic się nie wygra. Cynizm *real*-polityki powinien skłaniać nas nie do zawrozenia, a do przelicytowywania go, do stawiania tej polityce większych wymagań. To przecież ten cynizm sprawił, że właśnie na belgradzkiej fali zrodziły się znakomite pomysły, zdolne do wyrwania ze zubożenia nawet zmęczoną i znudzoną wschodnią martyrologią opinię zachodnich intelektualistów.

Narodziły się inicjatywy, mogące po raz pierwszy okazać się naprawdę skuteczne. Prof. Lwoff, francuski laureat Nobla, pojechał do Belgradu aby przekonać konferencję o celowości powiązania kwestii praw człowieka ze współpracą naukowców. Nie udało mu się dostać do p. Woroncowa (on z byle kim nie rozmawia), ale prof. Lwoff zdołał, mimo opozycji jugosłowiańskich gospodarzy, rzucić właśnie z Belgradu hasło naukowego bojkotu krajów, które gwałcą prawa człowieka. Prof. Lwoff, który przemawiał w imieniu czterech wielkich organizacji międzynarodowych

wych zrzeszających ponad 7.000 uczonych wymienił przykładowo, ale nie przypadkowo, Argentynę i ZSSR, proponując aby uczeni zbojkotowali światowy kongres onkologów w Buenos Aires i aby zerwali kontakty z uniwersytetami i placówkami badawczymi w ZSSR, a przede wszystkim aby nie dopuszczali badaczy sowieckich do korzystania z laboratoriów zachodnich. „Rosja nas potrzebuje, a nie my Rosji — powiedział prof. Lwoff — taki bojkot może okazać się skuteczny. Sowiecka Akademia Nauk zdaje sobie z tego sprawę, jej członkowie pamiętają ile kosztowała i ciągle kosztuje, i nie tylko w rolnictwie, afera Łysenki i zerwanie z nauką zachodnią”.

Równie niebezpieczny dla Kremla pomysł rzucił znany dziennikarz i pisarz francuski Jean François Revel, autor słynnej „Pokusy totalitarnej”, o której Broński niedawno pisał w *Kulturze*. Revel, który zna bolesne punkty Kremla, zaproponował także bojkot, ale nie naukowy a sportowy: bojkot tegorocznych mistrzostw świata w piłce nożnej też w Argentynie i Olimpiady roku 1980 też w Moskwie.

Komunikat końcowy w Belgradzie ogłoszony został dokładnie w 40 lat po *Anschluss*'ie i prawie dokładnie w 40 lat po *Monachium*... Jest to zestawienie spektakularne, ale nie jest trafne. Pewnie, samo zestawienie już nie przysparza nam dumy, ale 1978 nie jest 1938, świat nie jest skazany na bezradność. To znaczy, mam nadzieję, że nie, bo np. pismo codzienne *Le Monde* wysnuło z belgradzkiego komunikatu najgorszy chyba wniosek, kończąc swój — zły zresztą — wstępniak pytaniem: „Madryd, po co?”.

Odpowiedź jest prosta. Po pierwsze, komunikat końcowy to nie cały Belgrad i duże pismo codzienne absolutnie obiektywne powinno o tym wiedzieć i o tym pisać. Po drugie, Madryd jest po to aby Zachód mógł się inaczej — nie po monachijsku — zachować. Po trzecie, akt z Helsinek przewidywał jedną jedyne konferencję „egzaminacyjną”. Madryd został więc wymuszony na Moskwie. Belgrad nie tylko nie zamknął, ale stworzył nowe drzwi. Od nas, a także od pism codziennych, zależy aby tę szaloną okazję we właściwy sposób wykorzystać. Sacharow, Kuroń, Dżilas i Mihajlov uznali Belgrad za pożyteczną imprezę. Niech pisma codzienne nie będą bardziej dysydenckie niż dysydenci. Jeżeli nie mogą pomóc, niech przynajmniej nie szkodzą. Głupie pytania nie przyniosą postępu...

Kiedyś (znowu nie wiem kiedy) do Talleyrand'a zwrócił się pewien karciarz skarżąc się, że jego partnerzy po złapaniu go na oszustwie, wyrzucili go przez okno z drugiego piętra na bruk. Talleyrand poradził mu wtedy: „Skoro musi pan oszukiwać, to niech pan grywa na parterze...”.

Kreml musi oszukiwać, gra już tylko na parterze. Skoro nie można go wyrzucić przez okno, należy nauczyć się z nim grać...

Eurokomunizm i Europa Wschodnia

Mediolański *Il Giornale* ogłosił 25 lutego obszerny artykuł Gustawa Herlinga-Grudzińskiego na ten temat. Autor zaczyna go od wiadomości o zatrzymaniu w Krakowie i pobiciu przez UB Adama Michnika. „Dokładnie rok temu — pisze — miałem z Michnikiem dialog o eurokomunizmie, wydrukowany najpierw po polsku w *Kulturze*, a potem po francusku w *Cahiers de l'Est*. Jedną z wypowiedzi Michnika w tym dialogu brzmiała tak: „Trudno przewidzieć dalszą ewolucję Berlinguera czy Carrilla, ale równie trudno było przewidzieć ewolucję Dubczeka. Dlatego też, choć nie utożsamiam się z eurokomunizmem, spoglądam na eurokomunistów z nadzieją”.

Powstaje pytanie — czytamy dalej w artykule — jak dalece uzasadniona jest „nadzieja” Michnika, czego mogą oczekiwać kraje Wschodniej Europy (albo ściślej mówiąc: ruchy opozycyjne we Wschodniej Europie) od eurokomunizmu? Wielu rzeczy — daje do zrozumienia przy byle okazji Ugo La Malfa (przywódca włoskiej partii republikańskiej, jeden z kandydatów na Prezydenta Republiki w nadchodzących wyborach). Niczego — twierdzi Enzo Bettiza w swojej książce *Il comunismo europeo*. Luciano Pellicani mówi o „rewizjonizmie przepołowionym” PCI, wysuwając formułę: „Maksimum dozwolonej autonomii, lecz bez zerwania z Moskwą”. Alberto Ronchey, w recenzji z książki Bettizy, zarysowuje „podwójną osobowość: Berlinguera Wschodniego i Berlinguera Zachodniego” na podobieństwo „podwójnego miasta, Berlina Wschodniego i Zachodniego”.

„Skierowałem w Londynie w imieniu *Giornale* — pisze Herling-Grudziński — pytanie o którym wyżej do dwóch cenionych ekspertów problemu. Obaj odpowiedzieli na piśmie. Pierwsza odpowiedź pochodzi od Leopolda Łąbędzia, redaktora *Survey*, członka komitetu doradczego *Encounter* i publicysty *Times'a*. Druga od profesora Leszka Kołakowskiego, niegdyś wykładowcy w Warszawie (pozbawiono go katedry w związku z fermentami studenckimi) a obecnie w Oxford, autora trzynomowej historii marksizmu w trakcie wydawania po polsku przez *Kulturę* paryską i w trakcie tłumaczenia na szereg innych języków”.

Zdaniem Łąbędzia „wszystko co zostało dotychczas zrobione przez eurokomunistów dla poparcia praw człowieka i ruchu dysydenckiego na Wschodzie, jak również w obronie dysydentów zmuszonych do emigracji, jest rzeczą mizerną; i, z wyjątkiem hiszpańskiej partii komunistycznej, w stadium przyciszania. Czy istnieją jakiegokolwiek podstawy do wiary że to poparcie wzrośnie, gdy komuniści włoscy dojdą do władzy? Wprost przeciwnie.

Jeśli komuniści włoscy tak się pilnują by nie zantagonizować Wielkiego Brata dzisiaj, jeśli przy każdej sposobności w której mogliby zmanifestować swoją solidarność z dysydentami na Wschodzie — jak szczyt eurokomunistyczny w Madrycie czy *Biennale del dissenso* w Wenecji — unikali starannie zajęcia stanowiska i podtrzymywali wyrachowaną dwuznaczność, to bez wątplenia zachowają więcej jeszcze względów dla uczuć ZSSR w dniu wejścia do rządu. Ostatecznie jeśli demochrześcijaństwo włoscy nie przejawili nadmiernego entuzjazmu dla *Biennale del dissenso*, to jak można realistycznie oczekiwać że komuniści staliby się *plus catholiques que le pape*, porzuciliby swoją skrupulatnie wypracowaną dwulicowość aby narazić się na zarzut „nieodpowiedzialności” u władzy przez sprowokowanie rządu sowieckiego? Łąbędz twierdzi dalej, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat przywódcy PCI starali się zawsze „dogodzić” przywódcom sowieckim; wchodząc do rządu, wzmogliby jeszcze swoje wysiłki. Jedną z głównych przyczyn ich łagodnej krytyki pod adresem praktyk sowieckich, krytyki która nigdy nie przybrała charakteru jasnego i zdecydowanego potępienia, jest potrzeba przystrojenia się w piórka „demokratyczne”; odmienny obraz partii zredukowałby jej sukces wyborczy i możliwości wejścia do rządu. Dysydenci na Wschodzie nie mają zatem co liczyć na pomoc ze strony komunistów włoskich u władzy; mają natomiast wszelkie powody, by się takiego obrotu rzeczy obawiać; przyczyniłby się on do dalszego osłabienia NATO, do wojskowej i politycznej erozji zachodniego systemu obronnego. „Przypuśćmy jednak — konkluduje Łąbędz — że eurokomunizm ewoluować będzie w kierunku schizmy wobec ZSSR, chociaż taka ewolucja wydaje się w najwyższym stopniu nieprawdopodobna, zwłaszcza jeśli komuniści staną się partią rządową w stosunkowo słabym kraju europejskim. Otóż następstwa herezji przeistoczonej w schizmę byłyby takie, że komuniści nie tylko wystrzegaliby się, jak dzisiaj, udzielania skutecznego poparcia dysydentom na Wschodzie, ale nie byłiby nawet w stanie go udzielić, gdyż musiałyby to być poparcie podobne do pocałunku śmierci. Schizmatycy nie wpływają na procesy rozwojowe kościoła, wspomagając swoich braci heretyków w jego łonie. Poparcie tego rodzaju uważane jest wówczas nie tylko za bezprawne, ale przeobraża się w cel dla ataków Inkwizycji”.

Opinia Kołakowskiego: „Pytając o znaczenie schizmy eurokomunistycznej dla protektoratów sowieckich we Wschodniej Europie, musimy odróżnić sam fakt schizmy od jej treści ideologicznej. Obie okoliczności są znaczące, ale każda na inny sposób. Wszystkie schizmy, poczynając od jugosłowiańskiej i chińskiej, przyczyniają się oczywiście do rozkładu sowieckiej hegemonii i osłabiają możliwości ekspansywne sowieckiego imperializmu. Sam fakt istnienia różnych niezależnych czy choćby częściowo niezależnych ośrodków komunistycznych rozszerza pole manewru, którym dysponują przywódcy partyjni Wschodniej Europy, i w pewnym stopniu hamuje możliwość całkowitej sowietyzacji krajów,

znajdujących się w bezpośredniej strefie panowania Moskwy. Gdyby nie tylko Chiny, Albania i Jugosławia, ale także zachodnie partie komunistyczne znajdowały się pod nieograniczonym zwierzchnictwem sowieckim, sytuacja całej Europy Wschodniej byłaby z pewnością znacznie gorsza jeszcze, niż jest; rozkład sowiectwu dokonuje się na mocy dodatniego *feed-back'u*: im więcej różnorodności w komunizmie działającym poza zasięgiem sowieckich czołgów, tym jej więcej wewnątrz tego zasięgu i odwrotnie. Zupełnie inną sprawą jest ideologiczna treść owej różnorodności. Nie trzeba dowodzić, że tendencja do uwolnienia się od sowieckiej kontroli oraz tendencja do „deleninizacji”, tj. do złagodzenia despotycznej natury komunizmu, nie rozwijają się bynajmniej *pari passu*: komunizm chiński jest, jeśli to możliwe, bardziej od sowieckiego totalitarny, a Rumunia (nie mówiąc o Albanii) należy do najbardziej opresywnych krajów Wschodniej Europy. O ile z punktu widzenia partyjnych wodzów, którzy pragnęliby częściowego rozluźnienia kontroli Moskwy nad krajami Wschodniej Europy, eurokomunizm ważny jest nade wszystko ze względu na sam fakt schizmy, to z punktu widzenia antytotalitarnej opozycji ważny jest on również przez swoją treść. Bez względu na to czy ludzie, którzy tę opozycję prowadzą, wierzą w to iż rzecz taka jak „demokratyczny komunizm” jest w ogólności możliwa (ja sądzę, że jest ona całkowicie możliwa pod warunkiem, że jednemu z tych słów: „demokracja” lub „komunizm” nadaje się sens dokładnie przeciwny do sensu historycznie ustalonego), sama próba zaszczepienia wewnątrz komunizmu demokratycznej gangreny sprzyja oczywiście rewidykacjom antytotalitarnym w strefie rublowej. Próby te mogą odgrywać tę rolę tak długo, dopóki eurokomuniści nie zerwali z sowiectwem ostatecznie i tolerowani są, choćby ze zgrzytaniem zębów, przez Kreml. Dlatego proces desowietyzacji komunizmu zachodnio-europejskiego nie ma jednoznacznego sensu. Całkowita desowietyzacja z jednej strony zwiększyłaby szanse demokratycznych tendencji wewnątrz partii komunistycznych, z drugiej strony zmniejszyłaby szanse ich oddziaływania na przemiany we Wschodniej Europie i na dezintegrację sowieckiego imperium, gdyż umieściłaby je całkowicie na zewnątrz tego imperium. Przykładów analogicznej dwuznaczności można znaleźć bez liku w historii: w „ideologicznych” organizmach proces dezintegracji jest skuteczniejszy, jeśli może być prowadzony od wewnątrz, ale nie można pozostawać wewnątrz bezpłatnie i bezkarnie. W tej chwili, z punktu widzenia doraźnej sytuacji, dla krajów Europy Wschodniej jest korzystniejsze, by partie eurokomunistyczne utrzymywały swoją dwuznaczną pozycję; czy jest to również korzystniejsze dla tych partii, i czy opłacalne w perspektywie bardziej rozległej, to kwestia całkiem odrębna”.

Herling-Grudziński podsumowuje i komentuje obie odpowiedzi: „Jeden punkt łączy Łabędzia i Kołakowskiego — przekonanie że otwarta i definitywna schizma eurokomunizmu, czyli zerwanie z Moskwą, zredukowałaby radykalnie jeśli nie prze-

kreśliła możliwości wywierania wpływu przez schizmatyków na Wschodzie. Natomiast obaj interpelowani różnią się w ocenie obecnej dwuznaczności eurokomunizmu. Łabędź nie tylko nie widzi jej użyteczności, lecz piętnuje ją w niewielu ostrych słowach. Kołakowski, postępując się subtelnym *distinguo*, zdaje się doceniać obecną dwuznaczność ze względów taktycznych i ubolewać równocześnie nad niedostateczną wyrazistością jej „treści ideologicznej”. Nie zapomina przy tym o zaznaczeniu, że chodzi tu o ocenę sformułowaną w ramach „sytuacji doraźnej”. Uważam opinię Kołakowskiego za pozornie logiczną i pełną zdrowego rozsądku, lecz skażoną pod spodem nadmiernym „taktycyzmem”. Bezpośrednie rezultaty dwuznacznego postawy eurokomunistów wobec Europy Wschodniej wydają mi się (gdy przykładać do nich miarę użyteczności) co najmniej dyskusyjne, jeśli nie prawie nieistniejące: zarówno dla przywódców partyjnych, jak dla opozycji antytotalitarnej. Cóż dopiero na dalszą metę! Nie ma potrzeby koncentrować się zbyt na miejscu i wadze ideologii w strefie panowania Moskwy, więcej — można śmiało uznać że ideologia jest martwa i na Wschodzie i na Zachodzie, aby mimo to zdawać sobie sprawę ze znaczenia treści ideologicznej w rozgrywce która się toczy. Co jest istotne, na dalszą metę, to jasność i konsekwencja. Tę jasność i konsekwencję widać u Carrilla, nie u Berlinguera, a tym mniej u Marchais”.

Warto przy okazji dodać, że komuniści włoscy szykują się jakby do postawienia następnego kroczku. W *Unità* z 5 marca dwudziestą piątą rocznicą śmierci Stalina zajął się znany komunistyczny historyk i publicysta Giuseppe Boffa. Odróżnił w stalinizmie „aberracyjne metody gwałtu i terroryzmu” oraz ogólne „koncepcje” budowy społeczeństwa socjalistycznego (nieubłagany monolityzm, militarystyka partii, nacjonalizm itd.). Według niego „metody zostały zlikwidowane, a koncepcje przetrwały”; te „koncepcje stanowią nadal podstawę życia publicznego w ZSSR i we Wschodniej Europie”. Eurokomunizm odrzuca „w sposób całkowity i rozumowany nie tylko zwyrodnienia stalinizmu, lecz jądro jego koncepcji które okazały się bardziej trwałe”. Jest to pewien postęp w stosunku do ulubionej przez Berlinguera definicji ZSSR: „Społeczeństwo socjalistyczne o cechach nieliberalnych”.

Ze sfer dyplomatycznych

W Warszawie z mieszanymi uczuciami odnotowuje się odwołanie po czteroletniej kadencji ambasadora Stanów Zjednoczonych, Richarda T. Daviesa, który piastował to stanowisko po wytrawnym dyplomacie Walterze Stoessel'u (późniejszym podsekretarzu Stanu oraz ambasadorze w Moskwie

i Bonn). Richard T. Davies znany był w Warszawie jeszcze z bardzo dawnych czasów powojennych, kiedy to w „epoce Mikołajczyka” pełnił przy ambasadzie USA funkcje innego typu. W swej kadencji ambasadorskiej, przy niewątpliwych walorach towarzyskich i dobrym opanowaniu języka, odznaczył się dużą uległością wobec władz PRL oraz niechęcią dla wszelkiej opozycji. W swej lojalności wobec władz posuwał się wręcz do oportunistu i zaniedbania oczywistych, wydawałoby się, moralnych i propagandowych interesów USA. Dopuszczał np. aby prasa polska przemilczała zupełnie fakt udzielenia przez Stany Zjednoczone Polsce 500-milionowej w sumie pożyczki na zakup zboża. Zarówno pierwszą fazę tej pożyczki opiewającej na 300 milionów dolarów (jak się zdaje negocjacje prowadził w tej sprawie bawiący w sierpniu 1977 w Warszawie Senator McGovern), jak i drugą fazę, realizowaną przez panią wiceminister Juanitę Creps, przygotowującą na przełomie listopada i grudnia warszawską wizytę Cartera, prasa polska pokwitowała całkowitym milczeniem, a wzmiankę o drugiej fazie pożyczki, zrobioną przez Prezydenta na znanej konferencji prasowej zamaskowano tak, aby nikt się nie mógł domyśleć o co chodzi. Ambasador Davies jednakże absolutnie nie przejął się tym bojkotem ze strony polskiej, jak również nie przywiązał wagi do ujawnienia rewelacyjnych akt cenzury, gdzie m.in. widniał zakaz pisania... o 200-jej rocznicy niepodległości Stanów Zjednoczonych.

Już wiedząc o swym odwołaniu ambasador Davies postanowił jednak wykazać godność i sztywny kręgosłup, co uczynił podczas składania noworocznych życzeń przewodniczącemu Rady Państwa w Wilanowie. Ambasador USA opuścił przedwcześnie uroczystość, motywując to faktem, iż noworoczne przemówienie dziekana Korpusu Dyplomatycznego, ambasadora ZSSR Stanisława Piłotowicza zacząć się miało (co uwidoczniło w wyłożonej do wglądu różnojęzycznej wersji) od słów „Droży towarzysze!”. „Jam nie towarzyszył”, dumnie oświadczył ambasador Davies, opuszczając wraz z Małżonką wilanowski pałac. Nie był to zaiste najważniejszy z możliwych protestów.

Następą Richarda Daviesa w warszawskiej ambasadzie będzie William Schaufele, człowiek jak słyhać dużej inteligencji, który jednak nie otrzymał akredytacji w... Grecji, gdyż w nieostrożnym przemówieniu przyznał jedną z greckich wysp Turcji. Richard T. Davies natomiast podobno stara się usilnie i nie bez szans o prezesurę radia „Wolna Europa” i „Swoboda”, których działalność na swym warszawskim stanowisku wielokrotnie demontował i potępiał. Byłaby to jeszcze jedna kłeska prestiżu USA we Wschodniej Europie, czerpiącej z tych rozgłośni jedyny, dostępny na co dzień, obiektywny materiał informacyjny.

(WK) SPECTATOR

Komitet Wolności w Paryżu

21 lutego br. odbyło się w Paryżu pierwsze zebranie członków-założycieli Komitetu Intelktualistów na rzecz Europy Wolności (*Le Comité des Intellectuels pour l'Europe des Libertés*). W jego skład wchodzi już ponad 140 intelektualistów francuskich i emigrantów z Europy Środkowo-Wschodniej. Komitet stawia sobie za zadanie obronę wolności intelektualnych i twórczych tam wszędzie, gdzie są one w Europie zagrożone. Przy krainowej

polityzacji życia intelektualnego we Francji godnym podkreślenia jest fakt, że w komitecie znajdują się ludzie reprezentujący często kranicowo odmienne poglądy. W skład komitetu wchodzi m.in.: R. Aron, F. Arrabel, J. L. Bar rault, R. Boudon, R. Bresson, C. Chabrol, M. Crozier, G. Depardieu, J. M. Domenach, J. Ellul, F. Fejtő, J. Fourastie, P. Goma, E. Ionesco, J. Kristeva, E. Leroy Ladurie, C. Mauriac, P. Nora, J. d'Ormesson, K. Pomian, J. F. Revel, A. Rubinstein, M. Schumann, P. Słonimski, A. Smolar, P. Tigris, D. Tzepenag.

W trakcie pierwszego swego posiedzenia Komitet uchwalił m.in. rezolucję następującej treści:

„Komitet Intelktualistów na rzecz Europy Wolności wyraża swój podziw, solidarność i poparcie dla Uniwersytetu Latającego działającego w Warszawie i w innych miastach Polski. Władze PRL zdają się prowadzić akcję ustawicznych szykan by uniemożliwić działalność tej uczelni. Komitet protestuje przeciw tym posunięciom. Zamierza on nawiązać kontakt z Towarzystwem Kursów Naukowych utworzonym przez 58 wybitnych profesorów, pisarzy i artystów polskich, którzy kierują działalnością Uniwersytetu Latającego. Komitet pragnie poprosić Towarzystwu z pomocą i nawiązać z nim współpracę. Komitet z naciskiem zwraca też uwagę na niebezpieczeństwo, na jakie narażone są nauka i kultura z chwilą ich opanowania przez czynniki polityczne. Wreszcie przypomina, że odprężenie ma właściwy sens i prawomocność tylko wtedy, gdy opiera się na inicjatywie jednostek i prywatnych organizacji przeciw monopolowi organów państwowych”.

Ponadto w numerze *Figaro* z 25-26 lutego 1978 roku ukazała się notatka następującej treści:

„Od października 1977 roku działa w Warszawie i w innych miastach polskich niezależny uniwersytet. Program jego wykładów obejmuje nauki humanistyczne i społeczne. Odpowiedzialność za poziom wykładów przyjęło na siebie Towarzystwo Kursów Naukowych, utworzone przez 58 wybitnych polskich uczonych, pisarzy i artystów; jest wśród nich wielu członków Polskiej Akademii Nauk, sekretarz generalny polskiego PEN-Clubu, były minister oświaty PRL, redaktorzy czołowych czasopism katolickich. Uzasadniają oni potrzebę niezależnego od państwa nauczania w Polsce podkreślając więzy łączące ducha obywatelskiego z ciągłym poszukiwaniem prawdy, wykraczającym poza sferę ścisłej specjalizacji oraz niebezpieczeństwa jakie dla wiedzy i kultury polskiej stanowi dominacja nad nimi monopolu państwa.

Władze PRL zdają się prowadzić akcję nieustannego nękania Uniwersytetu Latającego, by uniemożliwić jego działanie. Ostatnio policja w Krakowie użyła w prywatnym mieszkaniu gazów łzawiących, by rozproszyć studentów uczestniczących w wykładzie z współczesnej historii Polski prowadzonym przez Adama Michnika. On sam był kilkakrotnie zatrzymywany i brutalnie traktowany.

Komitet Intelktualistów na rzecz Europy Wolności protestuje przeciw tego rodzaju praktykom. Chcemy by rząd polski zrozumiał, że przyjęcie przezeń pozytywnej postawy wobec akcji Towarzystwa Kursów Naukowych przyczyniłoby się do promieniowania kulturalnego Polski i do jej dobrej reputacji w Europie”.

W imieniu Komitetu Intelktualistów na rzecz Europy Wolności podpisali *Eugène Ionesco, François Fejtő, Pierre Hassner i Alan Ravnnes*.

Kraj

Nieudany manewr

Nie będziemy mówić tu o tak zwanym manewrze gospodarczym w PRL, choć jest on z pewnością głównym tematem środków masowego przekazu w kraju. Usiłują one przekonać społeczeństwo, że dokonuje się manewru polegającego na zmniejszeniu inwestycji i przeznaczeniu maksimum środków inwestycyjnych i dewizowych na lepsze zaopatrzenie rynku. O „manewrze” słyszemy już od półtora roku na kolejnych posiedzeniach Komitetu Centralnego partii, słyszeliśmy na II-giej Konferencji partyjnej i słuchamy codziennie i do znudzenia w radio, prasie i telewizji. Ale skutków manewru nie odczuwamy jakoś na rynku. I nie będziemy go odczuwać, gdyż osławiony manewr jest w dużej mierze zabiegiem propagandowym. Przeprowadzenie go w gospodarce wymagałoby zaniechania w połowie budowy licznych fabryk, co oznaczałoby nieprawdopodobne straty. Wyobraźmy sobie tylko mury wzniesione do połowy i porzucone, maszyny przywiezione z zagranicy i złożone w nieodpowiednich magazynach, lub pozostawienie bezczynnie części importowanych urządzeń i nie zakupywanie pozostałych, koniecznych do uruchomienia całego obiektu przemysłowego. Manewr gospodarczy chwilowo nie jest poważniej przeprowadzany, a kierownicy polskiej gospodarki znaleźli się w niewoli własnej strategii i błędów gospodarczych popełnionych na początku rządów ekipy Edwarda Gierka.

W kraju dokonuje się jednocześnie coś na podobieństwo drugiego manewru w dziedzinie tak zwanej „nadbudowy”. Manewr ten zmierza do sparaliżowania świadomości społeczeństwa, do izolowania opozycji demokratycznej i przeciwstawienia jej za wszelką cenę największej siły społecznej w Kraju, jaką jest bez wątpienia Kościół katolicki.

Wbrew pozorom stwarzanym przez propagandę partyjną, która starała się maksymalnie wyzyskać wizytę Gierka u papieża i jego wcześniejszą rozmowę z kardynałem Wyszyńskim stosunki między Kościołem i państwem w PRL wcale nie są w tej chwili dobre.

Partia zdając sobie sprawę ze złych nastrojów w społeczeństwie usiłowała stworzyć pozory, że jest przeciwnie. Kardynał Wyszyński nie zadowolili się jednak spektakularnymi gestami i spotkaniami. Uważał on, że nie wolno dopuścić do nie mającego szans powodzenia wybuchu społecznego i z pewnością obawiał się interwencji sowieckiej na wypadek takiego wybuchu, ale nie zamierzał bynajmniej dawać ekipie Gierka w nieskończoność jednostronnych świadczeń.

Toteż Episkopat Polski w komunikacie ze swego grudniowego posiedzenia, odbytego niemal zaraz po powrocie Gierka z Rzymu i Watykanu, wysunął konkretne żądania wobec władz. Żądania te nie dotyczą tylko sytuacji Kościoła, ale także wiążą się z katastrofalnym stanem zaopatrzenia rynku, nędznym poziomem życia społeczeństwa, a także — co było dla partii naturalnie najmniej przyjemne dotyczą moralnych praw opozycji demokratycznej, a konkretnie niezależnego ruchu studenckiego. Partia ocenia niezależny ruch studencki jako najbardziej dla siebie niebezpieczną, bo stosunkowo najliczniejszą część opozycji. Jednocześnie wiadomo, że ruch ten znajduje swe główne oparcie w duchowieństwie, m.in. w duszpasterstwach akademickich, a ostatnio znalazł także oparcie w oficjalnym dokumencie kościelnym, jakim jest komunikat uchwalony przez wszystkich biskupów polskich.

Władze państwowe ukrywają starannie swoją wściekłość z tego powodu, ale w kołach zbliżonych do Komitetu Centralnego partii mówi się już głośno o fiasku manewru Gierka w „nadbudowie”. Są nawet koła partyjne, w których mówi się o możliwości nowego zaognienia stosunków między Kościołem i państwem. Być może zresztą, że niektóre odłamy aparatu partyjnego, będące w ogóle w opozycji do wyznaniowej polityki Gierka, w gruncie rzeczy dążą do wywołania nowego napięcia z Kościołem.

Pewne jest, że ani kardynał Wyszyński, ani szef partii Gierk nie chcieliby nowego konfliktu, ale obaj podlegają pewnym uwarunkowaniom obiektywnym. Kardynał nie może pozwolić sobie na dalsze spektakularne przejawy dialogu świadczące pozornie tylko o złagodzeniu stosunków kościelno-państwowych, podczas gdy żadne postulaty kościelne nie są w gruncie rzeczy realizowane, a nieistniejące w rzeczywistości zbliżenie z Kościołem partia wykorzystuje dla izolowania opozycji demokratycznej, a także do ograniczania działalności katolików świeckich skupionych w środowiskach ZNAK'u. W polskiej społeczności katolickiej, w szeregach duchowieństwa, a także w samym Episkopacie bardzo silne jest przekonanie, że „nowa” polityka wyznaniowa partii jest tylko manewrem, dokonywanym w celu ułatwienia walki z opozycją demokratyczną i ujarzmienia społeczeństwa. Kardynał doskonale wyczuwa nastroje społeczeństwa i duchowieństwa i bierze je pod uwagę. Widać to na podstawie wszystkich listów pasterskich Episkopatu z 1977 roku, a także kolejnych komunikatów z posiedzeń biskupów polskich.

Taktykę partii na wbicie klina między społeczeństwo a Kościół między Episkopat i siły demokratyczne w kraju „kupują”

tylko fantacji w rodzaju Jędrzeja Giertycha, zniewoleni analogią nieistniejącej już sytuacji historycznej, lub też zęcnie zapędzeni przez partię w ślepią uliczkę taktycy w rodzaju pośta Zabłockiego z neo-Znaku lub spalonego na emigracji Konrada Sieniewicza, którzy nie chcąc przyznać się do błędnej kalkulacji politycznej skreślają ze swych rachub nastroje i wolę społeczeństwa polskiego. Przysłany właśnie do kraju dokument Sieniewicza pt. „Les catholiques polonais vis-à-vis de droits de l'homme”, w rzeczywistości podyktowany przez Zabłockiego podczas jego pobytu w Rzymie w październiku 1977 roku, nie jest niczym innym, jak owocem inspiracji pewnych czynników państwowych, którym powierzono dokonanie manewru przeciwstawienia Kościoła katolickiego opinii demokratycznej. Przeciwstawienie to zresztą nie jest możliwe, bo Kościół brał pośredni lub bezpośredni udział we wszystkich wysiłkach po wojnie zmierzających do zwiększenia wolności, zabezpieczenia moralnych praw człowieka i narodu. Realizatorzy partyjnego manewru w stosunku do polskiej opinii publicznej wiedzą o tym dobrze i dlatego chcieliby sprawę opozycji demokratycznej w kraju sprowadzić do kwestii „dysydentów”, o których pisze także w *résumé* swego osobliwego dokumentu Konrad Sieniewicz. Należałoby go więc zapytać, czy ks. Jan Zieja, O. Ludwik Wiśniewski, ks. Zbigniew Kamiński, O. Salij, czy wreszcie znany chrześcijański demokrat i przywódca chadeczek związków zawodowych adw. Kaczorowski z Łodzi i setki innych znanych duchownych i świeckich katolików w opozycji demokratycznej są także dysydentami?

Bezwolni krajowi i emigracyjni wykonawcy „manewru” partii wobec opinii publicznej nie zasługują zresztą na większą uwagę. Przejdą do historii jako zwykli dywersanci wobec sprawy narodowej. Najgorsze jest jednak to że, powołując się nieustannie na kardynała Wyszyńskiego, w jakimś stopniu rzucają cień na jego linię. Nikt nie ma wątpliwości, że kardynał Wyszyński bardzo poważnie ocenia obecną sytuację w Polsce, że obawia się nieobliczalnych następstw nieopanowania przez ekipę Gierka sytuacji ekonomicznej, że liczy się nawet — jak podałem wyżej — z możliwością interwencji sowieckiej w wypadku poważnych zaburzeń w kraju. Troska ta jest naturalnie także udziałem wszystkich odpowiedzialnych środowisk i osobistości polskiej opozycji demokratycznej. Są one także za umiarem i ostrożnością, choć uważają, że obecność czynników sowieckich w polskim życiu politycznym jest tak wszechstronna i głęboka, iż interwencja sowiecka jest faktem już dzisiaj, a nawet w wypadku społecznego wybuchu wojska rosyjskie wcale nie musiałyby wkraczać do kraju. Nie zmienia to naturalnie faktu, że nieskuteczny wybuch jest niepożądany, że opozycja musi zachować i zachowuje nadal idące poczucie odpowiedzialności.

Konieczna ostrożność nie ma jednak nic wspólnego z kapitalacją, z wyrzeczeniem się narodowych i humanistycznych celów opozycji demokratycznej. W gruncie rzeczy nie ma takich spraw wolnościowych, które nie znalazłyby swego odbicia w odpowied-

nich dokumentach kościelnych. Ale partia przyjęła taktykę robienia dobrej miny do złej gry. To za co chce ona zniszczyć katolicką grupę ZNAK nie różni się niczym od postulatów wyrażanych przez Episkopat. Ale postanowiono wbić klin i dzielić. Każdy nawet najostrzejszy dokument Episkopatu przyjmuje się z przymrużeniem oka jako umiarkowany, zaś ZNAK jest represjonowany za łagodniejsze nawet wystąpienia w tych samych sprawach. Przykładem mogą tu być tak drastyczne sprawy, jak zmiana konstytucji PRL, kiedy przechodzono do porządku nad bardzo stanowczymi wypowiedziami Episkopatu, a oburzano się na nader ostrożne wystąpienia ZNAK'u. Naturalnie jedynym wyjściem jest tu pełne wzięcie w obronę ZNAK'u przez Episkopat, co wydaje się sprawą pilną, bo partia dąży akurat do ostatecznego rozprawienia się z tą grupą. Drastycznym sygnałem tego zamiaru było pobicie ks. prałata Andrzeja Bardeckiego.

W połowie stycznia właściwy sąd rejestrowy wyznaczył trzech likwidatorów Spółki „Libella”. Wszyscy trzej są funkcjonariuszami grupki ODISS p. Zabłockiego, mającego tylko trzy z trzynastu udziałów spółki. W ten sposób podstawy materialne „Więzi” i Klubów Inteligencji Katolickiej zostały zagrożone w sposób bezpośredni, a poseł Zabłocki wziął na siebie odium ich likwidatora. Jak dotąd Episkopat nie zareagował jeszcze publicznie na to drastyczne posunięcie władz.

Wbicie klina między biskupów i katolików świeckich jest tylko ubocznym fragmentem „manewru”, którego istota polega na przeciwstawianiu Kościoła całej opozycji demokratycznej w Polsce. Partia liczy tu na „konserwatyzm” Kościoła, kardynałowi Wyszyńskiemu przypisuje nacjonalizm, a nawet antysemityzm, co wydaje się jedną z najbardziej cynicznych i podłych praktyk, zastosowanych w opisywanym przez nas „manewrze”, w oszukańczej grze prowadzonej przeciw społeczeństwu.

Wszystko to nie dało jak dotąd rezultatu. Łatwo można wykażać zbieżność moralnej orientacji sił demokratycznych i Kościoła w sprawach kluczowych, a więc praw człowieka, prawa do niezawisłości narodowej i niezależnego rozwoju kultury polskiej. Funkcja Kościoła i opozycji demokratycznej jest naturalnie odmienna i jedyna wspólna płaszczyzna między nimi może mieć właśnie charakter moralny. Kościół nie zamierza politycznie angażować się i broniąc od lat swej niezależności od rządzących nie może sprowadzić się także do roli i pozycji jednej z instytucji opozycyjnych. Misja jego jest religijna, a politycznie musi pozostać niezależny. Być może rzutuje to na inną optykę w państwie na sprawy aktualne. Najważniejsze jest jednak, że panuje absolutna wspólnota celów wolnościowych między Kościołem i siłami demokratycznymi. Kościół nie zamierza zastępować ich roli i funkcji narodowej. Opozycją demokratyczną zaś ani myśli postulować udziału Kościoła w polityce. Obie strony, jak mamy prawo i podstawy przypuszczać, cenią sobie wysoko fakt zbieżnego pojmowania zasad moralnych życia narodowego.

List Otwarty do Heinricha Bölla

Szanowny Panie Böll,

Przeczytałem Pański wywiad udzielony p. Adamowi Krzemińskiemu z Warszawy i zamieszczony w nr. 11/1978 polskiego tygodnika *Polityka*. Niech mi Pan wybaczy, że nie będę rozpatrywał Pańskiego wywiadu jako całości, choćby dlatego, że wywiad z natury rzeczy jest płataniną wielu wątków, niekoniecznie spójnych, a także i dlatego, że pewne z tych wątków interesują mnie szczególnie.

Zacytuję trzy zdania (tłumaczę je z polskiego, nie znam Pańskich sformułowań niemieckich):

1) „Prasie zagranicznej mogę powiedzieć to, czego nie powiedziałbym prasie krajowej, ponieważ za wiele by mnie to kosztowało”.

2) Na pytanie, kończące się zdaniem: „Pańskie bohaterki protestują z bronią w ręku” — odpowiedź Pana brzmi: „...co do tych strzelających kobiet, to chyba nie chce mi Pan zasugerować współodpowiedzialności za rozpaczliwy czyn Ulriki Meinhof czy Gudrun Esslin?”.

3) Na poprzedniej szpalcie przeczytałem Pańską opinię o zagrożeniu w Republice Federalnej demokracji: „Może być zagrożona chociażby przez ustawę zabraniającą zatrudniać radykałów na stanowiskach państwowych, to najgorsza ustawa w naszej powojennej historii...”.

Pozwoli Pan teraz, że przeredaguję te trzy zdania — bo są to zaledwie trzy zdania, ale dotyczą w sposób istotny tego właśnie, co mnie zajmuje szczególnie — tak mianowicie, aby stanowiły wypowiedź obszerniejszą oraz zborną całość. Myślę, że jest to dopuszczalne, gdyż znam inne Pańskie enuncjacje, przynależne do tego kręgu tematycznego, śledzę dość dokładnie scenę polityczną w Republice Federalnej i nie wątpię, że to, co za chwilę sformułuję, jako Pański czytelnik, mający prawo do własnych interpretacji, jest zgodne z Pańskimi intencjami:

„Różne ugrupowania i osoby w Republice Federalnej od lat zarzucają określonemu gronu intelektualistów i pisarzy, w tym i mnie, że żywią sympatię dla terrorystów i że dostarczają im, mówiąc metaforycznie, duchowej amunicji. Ponoszę więc, zdaniem moich oskarżycieli, moralną odpowiedzialność za tragiczne wydarzenia; według nich bowiem także i relacja o strzelających kobietach w mojej powieści, a więc w fikcji literackiej, należy również do tych przejawów sympatii. I z tym właśnie polemizować w prasie krajowej nie mam zamiaru, psychiczne koszty tego byłyby zbyt wielkie; o tym wszystkim, jak również o tej

nieszczęsnej ustawie, zabraniającej zatrudniać radykałów w służbie publicznej, wolę dać wyraz w prasie zagranicznej”.

Sądzę, że mimo wszystkich uproszczeń, lojalnie zredukowałem Pański tok myślenia do najprostszego wzoru. *Deinde ira vostra*; rozumiem, i, powiedzmy, akceptuję. Akceptuję, a myślę przy tym swoje i snuję analogie wobec własnych doświadczeń.

Mam oto przed sobą tekst artykułu, jaki został wydrukowany w grudniu 1968 roku w centralnym organie Stowarzyszenia Prawników Polskich *Prawo i Życie* z okazji zakończenia w Warszawie, wyrokiem skazującym, procesu karnego przeciwko dwóm studentom polskim, oskarżonym o działalność antypaństwową, polegającą na agitacji przeciwko zdjęciu z repertuaru Teatru Narodowego „Dziadów” Adama Mickiewicza, na proteście przeciwko relegacji kolegów oraz na manifestowaniu solidarności z pisarzami, występującymi w obronie kultury polskiej, a czynili to wszystko, organizując znowę przestępczą. Artykuł zawiera tezę, że wprawdzie studenci zostali ukarani, ale moralnie odpowiedzialni za ten stan rzeczy chodzą wolno.

Oto cytaty:

1) „... (Studenti)... Poprawiają marksizm. Z głowami zadartymi do góry, nie dostrzegając otaczającej ich rzeczywistości, z której biorą tylko to, co utwierdza ich w słuszności działania, patrzą w rewizjonistyczne niebo, na którym pełnym blaskiem błyszczą gwiazdy pierwszej wielkości: prof. Adam Schaff, prof. Włodzimierz Brus, oraz Kołakowski, Bauman, Baczek, Morawski, a także twórcy kultury polskiej (?), mocarze słowa: Jerzy Andrzejewski, Stefan Kisielewski, January Grzędziński, Paweł Jasienica (Lech Beynar), J. J. Lipski, Antoni Słonimski, Witold Wirpsza i inni”.

2) Autor artykułu cytuje zeznania, złożone rzekomo w śledztwie przez jednego z oskarżonych studentów: „Kilkusobowe delegacje studentów udały się do poszczególnych osób ze środowiska literackiego i naukowego i przekazują te fotokopie (petycji do Sejmu — W.W.): Prof. Marii Ossowskiej, Prof. Leszkowi Kołakowskiemu, Mieczysławowi Jastrunowi, Witoldowi Wirpszy, Jerzemu Andrzejewskiemu, J. Bocheńskiemu, P. Jasienicy, J. J. Lipskiemu, K. Brandysowi i Antoniemu Słonimskiemu”. — Tu uwaga: do mnie delegacja taka nigdy nie przyszła i o ile mi wiadomo, nie przyszła także do nikogo z wymienionych. Inna sprawa, że wszyscy wymienieni czuli się z pewnością solidarni z postawą studentów, z ich protestem i ich postulatami.

3) Artykuł kończy się konkluzją: „(...) To oni (pisarze i uczeni — W.W.) i ich polityczni sojusznicy (...) są moralnymi współoskarżonymi w tej sprawie. Proces Dajczgewanda i Kretkowskiego był procesem przeciwko antysocjalistycznym grupom politycznych rozbitków, przeciwko określonym postawom i działaniom, godzącym w socjalizm, w Polskę. Ten proces trwa”.

Dodam, że autorem tego artykułu jest niejaki p. Ryszard Gontarz, nie tyle prawnik, co oficer policji politycznej. Czy

kiedykolwiek atakował Pana w prasie zachodniemieckiej policjant? I to na rozkaz? Służbowo?

Pora teraz na analogie:

1) Zakaz uprawiania zawodu. Wszyscy wymienieni w artykule Gontarza pisarze i naukowcy — a także wiele innych osób, niekoniecznie pisarzy i naukowców — mieli w owym czasie zakaz wykonywania zawodu: zakaz publikacji, zakaz nauczania i ile tych zakazów jeszcze było. Różnica między Republiką Federalną a Polską Rzeczpospolitą Ludową jest pod tym względem taka, że w Republice Federalnej istnieje odnośna ustawa (o której można mieć różne zdanie), w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej natomiast ustawy takiej nie ma — traci się możliwość wykonywania zawodu na zasadzie samowoli administracyjnej. Tak było dziesięć lat temu i tak jest dzisiaj. W roku 1976 zakazem publikacji było objętych 37 pisarzy. Nie wiem, jak jest z innymi zawodami.

2) Solidarność z grupami przestępczymi; odpowiedzialność moralna; koszta. Panu i Pańskim przyjaciółom stawiano (a może i wciąż się stawia) zarzut, że tak czy inaczej sprzyjał Pan kryminalnym stowarzyszeniom. Dziesięć lat temu stawiano moim przyjaciółom i mnie ten sam zarzut; znany to od czasów Sokratesa zarzut: demoralizowania młodzieży. To podobieństwo zarzutów jest jednak w pewnej mierze pozorne. Zarzuty stawiane nam były prawdziwe: solidaryzowaliśmy się — w poczuciu własnej bezszy — z młodzieżą, której działalność uznać należało za gęboko moralnie ugruntowaną i co w krajach o cywilizowanym ustroju z samej zasady nie bywa kwalifikowane przez kodeksy karne; przeciwnie — uznawane jest jako przejaw dojrzałości obywatelskiej. Panu i Pańskim przyjaciółom stawiano zarzuty fałszywe, ale czyny, popełniane przez podziemie terrorystyczne w Republice Federalnej — zabójstwa i rabunki — są niezależnie od motywacji na całym świecie ścigane przez prawo. Pan i Pańscy przyjaciele możecie się bronić publicznie i skutecznie. Nam możliwość skutecznej i publicznej obrony naszego stanowiska w kraju została przemocą odebrana, obrona zaś w prasie zagranicznej poczytywana być może za przestępstwo (uwłaczanie władzy) i ścigana na podstawie odpowiednich ustaw. Koszta ponoszone przez Pana i Pańskich przyjaciół sprowadzają się w istocie do drobnych przykrości; koszta nasze były (i są nadal w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej) nieporównywalnie wyższe, sięgają od zakazu wykonywania zawodu, poprzez zmuszanie w ten czy inny sposób do emigracji, aż po aresztowanie pod fałszywym zarzutem.

3) W wywiadzie mówił Pan o zagrożeniu demokracji w Republice Federalnej. Że staje Pan w jej obronie, zasługuje na szacunek. W Polsce demokracji po prostu nie ma, nie mamy czego bronić, a zaprowadzić jej z powodów oczywistych się nie da.

Tyle więc analogii, które okazały się w gruncie rzeczy przeciwstawieniami. *Et deinde ira mea*. Bo jakąż to czytelnik polski dostał lekturę z okazji Pańskiego wywiadu? Oto skarży się Pan, że w Republice Federalnej istnieje możliwość zakazania pew-

nym osobom wykonywania zawodu, z którym to zakazem (bezprawnym) styka się w Polsce i robotnik, i intelektualista. Skarży się Pan, że niektóre rzeczy może Pan powiedzieć jedynie prasie zagranicznej, i że nie ma Pan zamiaru mówić ich prasie niemieckiej — a skarży się Pan czytelnikowi, dla którego cenzura i dezinformacja jest chlebem powszednim i który, jeśli chce wiedzieć, co się dzieje w jego własnym kraju, musi nasłuchiwać radia obcego. Skarży się Pan temuż czytelnikowi na to, że spotkają Pana krzywdzące zarzuty, czytelnikowi, powtarzam, dla którego fałszywy zarzut jest rzeczą aż nudną w swej monotonii. Czy nie zastanowił się Pan nad tym, że jakaś fałszywa nuta zakradła się do Pańskiego wywiadu, ponieważ ogłosił go Pan w półoficjalnym piśmie państwa totalitarnego i zarazem zniewolonego? Ważne bowiem jest nie tylko to, co się mówi i co może być słuszne, ale i to, jaką trybunę się po temu wybiera.

Kilka miesięcy temu odpowiedział Pan na list otwarty, skierowany do Pana przez pisarza polskiego Wiktora Woroszyńskiego. Czytałem tę odpowiedź i dziwiłem się: napisał Pan mianowicie, że trudności i *quasi*-represje, jakie spotykają Woroszyńskiego w Polsce, są podobne do tych, jakie mogłyby Pana w pewnych okolicznościach spotkać w Republice Federalnej; są one i tu i tam powodowane aktywnością hierarchii biurokratycznej, której członków nazywa Pan umownie i przenośnie prałatami. — Mimo wszelką dobrą wolę nie zdołał Pan dostrzec różnicy między hierarchią kościelną i pseudokościelną a hierarchią policyjną. A różnicę tę łatwo można odczytać na otwartej ku górze skali Richtera, na której mierzy się ruchy sejsmiczne.

Łączę wyrazy szacunku,

Pański

Witold WIRPSZA

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ
Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.

Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00

Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Sprawy i troski

Liczebność Polonii Kanadyjskiej

Powszechne spisy ludności są jedynym obiektywnym materiałem dla ustalenia stanu liczebnego zamieszkałych w poszczególnych państwach Polaków, względnie osób pochodzenia polskiego. Ale i te spisy mają pewne braki czy luki i dlatego dane te nie są idealnie ściśle. Tylko urzędy statystyczne, przeprowadzające pełne spisy, dysponują odpowiednim personelem, podczas gdy dane liczebne różnych organizacji czy przedstawiciele grupy etnicznych (mniejszościowych) są raczej wyrazem pobożnych życzeń, a nie stanu faktycznego.

Arkusze spisowe nie są we wszystkich państwach identyczne i dlatego uchwycenie przynależności narodowościowej opiera się na różnych czynnikach. W jednych państwach odpowiednia rejestracja nie napotyka na trudności, wynika jednoznacznie z odpowiedzi na określone pytania, zawarte w arkuszu, podczas gdy w innych trzeba kilku pytań, odbywa się niejako konfrontacja danych, która powinna doprowadzić do uzyskania najbardziej ścisłych danych liczbowych.

Arkusze spisowe w Kanadzie w dziale *Ethnic origin* (więc pochodzenie etniczne) zawiera pytania:

- 1) *To what ethnic or cultural group did you or your ancestor (on the male side) belong on coming to this continent?*
- 2) *Mother tongue language first spoken and still understood?*
- 3) *Language spoken at home — what language do you most often speak at home now?*

Jak z tego wynika spis kanadyjski nie zadowala się odpowiedzią na pytania odnośnie przynależności do grupy etnicznej czy kulturowej, wychodząc ze słusznego założenia, że nie jest ona wystarczająca. Ograniczenie pochodzenia do linii męskiej jest

oczywiście raz zawężeniem, to znów rozszerzeniem, bez możliwości ustalenia liczebności i na czyją „korzyść”. Przynależność etniczna nie musi pokrywać się z przynależnością do odpowiadającej jej grupy kulturowej. W spisach brak rubryki pozwalającej identyfikować się z Kanadą, gdyż nie przewiduje odpowiedzi *Canadian* na pytanie odnośnie przynależności do grupy etnicznej lub kulturowej.

Rząd konserwatywny premiera Johna Diefenbakera zamierzał w spisie z 1961 roku uwzględnić narodowość kanadyjską, ale spotkawszy się z silnym protestem Quebecu oraz rzeczników niektórych grup etnicznych, zrezygnował z tego. Nie ulega jednak wątpliwości, że możliwość określania przynależności narodowościowej *Canadian* spowodowałaby silny spadek liczebności grup etnicznych.

Dane liczbowe oparte na odpowiedziach na pytanie 1) w żadnym wypadku nie dają prawdziwego, realnego obrazu grupy etnicznej, natomiast pozwalają na ustalenie stopnia asymilacji danej grupy do grupy dominującej. Najbardziej jednak miarodajne dane o stanie grupy etnicznej wynikają z odpowiedzi na pytanie 3), a więc odnośnie języka ojczystego, którym posługuje się *nadal w domu*.

Ale i odpowiedź na to pytanie nie przesądza w 100% przynależności do grupy narodowościowej, jak to można stwierdzić na podstawie spisu powszechnego z 1971 roku. Analiza Henry Radeckiego, dotycząca grupy polskiej, jest tu aż nazbyt przekonująca. I tak w polskiej grupie etnicznej językiem ojczystym były, poza polskim, także angielski i francuski oraz *jeszcze kilkanaście innych*, w tym chiński, fiński, grecki, indiański, eskimoski, no i niemiecki oraz ukraiński. Języki te są ojczystymi i używanymi w domu. Liczebnie to tylko 8,3% — gdy chodzi o język ojczysty, a 3,5% jeśli chodzi o język używany w domu, ale niemniej jednak wskazuje na niebezpieczeństwo uogólnień, generalizowania danych statystycznych. Radecki stara się ustalić skąd się te języki znalazły jako ojczyste w grupie polskiej, wskazując dalej — na podstawie innej tabeli — że podobne zjawisko występuje i w innych grupach. I tak np. 15.135 osób należących do różnych grup etnicznych, w tym chińskiej i japońskiej, podało w 1971 roku język polski, jako ojczysty, z czego 8.115 posługiwało się językiem polskim w domu. (*Cultural Mosaic — A micro View*, w pracy zbiorowej „Topics on Poles in Canada”, Toronto, 1976).

W miarę zwiększania się ilości osób urodzonych w Kanadzie automatycznie spada w każdej grupie etnicznej — a więc i w polskiej — ilość osób posługujących się językiem ojczystym w domu, zmniejsza się też ilość osób uważająca dany język za ojczysty, za będący ich pierwszym językiem.

Jest zbyt dużym uproszczeniem twierdzenie, że zmniejszanie się ilości osób uznających polski za język ojczysty, a następnie jesz-

cze większy spadek ilości osób posługujących się nim w domu, są dowodem asymilacji. Nie miejsce tutaj na podjęcie dyskusji na temat asymilacji w krajach imigracji — w krajach masowego osiedlania się przybylszy z różnych państw, ale należy wskazać, iż na pewno niecisłe jest używanie terminu *asymilacja* w odniesieniu do osób już urodzonych w kraju osiedlenia — w danym wypadku w Kanadzie — osób tutaj wychowanych i pracujących. W jeszcze większym stopniu odnosi się to do dzieci z małżeństw mieszanych, w których jeden ze współmałżonków pochodzi z grupy dominującej.

Gdy arkusz ewidencyjny wypełniają rodzice, to odpowiedzi na pytania wypadają inaczej, niż gdy odpowiadają same dzieci imigrantów opuszczając dom rodzinny. Rdzenni Kanadyjczycy pochodzenia polskiego mają tendencje silnego identyfikowania się z Kanadą i znaczna ich ilość podawałaby jako przynależność kulturową — „kanadyjską” (gdyby taka możliwość istniała).

Analizując dane Spisu Powszechnego z 1971 roku zwróciliśmy uwagę na tak zwane „przepływy międzyetniczne”, to jest na zmienianie przynależności narodowościowej, co może być „wynikiem warunków zewnętrznych, czy nieprzyjaznego zbiegu okoliczności” (*Kultura* nr 5/320, 1974, str. 110).

Odpowiedź na pytanie 3) — jakim językiem najczęściej mówisz w domu — zapewne można uważać za najściślejszy probierz przynależności do grupy etnicznej, ale niestety jednocześnie zwiężający jej liczebność. Jak bowiem już wskazaliśmy, w małżeństwach mieszanych dominować może język inny nawet niż ojczyste obu małżonków. W tym stanie rzeczy odpowiedź na pytanie 2) — jaki język był pierwszym językiem mówionym, który nadal rozumiesz — jest niejako kompromisem między odpowiedzią na pytanie 1) i 3). Naturalnie i ta odpowiedź ma cienie. Nie określa bowiem stopnia znajomości danego języka ojczystego. Wiadomo, że sporo urodzonych w Kanadzie dzieci imigrantów lepiej lub gorzej rozumie język ojczysty, ale nie jest w stanie nim się posługiwać. Odpowiedzi na pytanie odnośnie języka ojczystego nie dają wobec tego ścisłego obrazu żywotności danego języka, to jest posługiwania się nim w życiu codziennym.

W spisach pięcioletnich, przeprowadzanych w połowie każdej dekady, ilość pytań jest ograniczona, chodzi bowiem o uzyskanie danych najbardziej istotnych dla administracji państwowej jak: stan ludności, jej rozmieszczenie geograficzne, struktura wieku i płci. W ostatnim takim spisie, tj. z 1976 roku, po raz pierwszy wprowadzono pytanie odnośnie przynależności do grup językowych. Nie ulega wątpliwości, iż nastąpiło to ze względów czysto politycznych, a mianowicie w następstwie nacisków grupy francuskiej. Spis ten posłużył się pytaniem 2) Spisu Powszechnego, a więc: język ojczysty. Możemy wobec tego prześledzić zmiany zaszłe w grupie polskiej.

Ilość osób wskazujących język polski jako ojczysty
w spisach 1941-1976

R o k	Ludność Kanady	Język polski ojczysty	Proporcja w sto- sunku do ogółu ludności Kanady %
1941	11.506.655	128.711	1,1
1951	14.009.429	129.238	0,9
1961	18.238.247	161.720	0,9
1971	21.568.310	134.780	0,6
1976	22.992.605	99.855	0,4

Jak więc z powyższego zestawienia wynika w czerwcu 1976 roku tylko 99.855 osób zadeklarowało język polski jako ojczysty — jako język który rozumieją. Jest to najniższa liczba notowana od spisu z 1941 roku i to zarówno w danych absolutnych, jak procentowych.

Analizując dalej dane powyższej tabeli stwierdzamy, że w stosunku do danych z 1976 roku ilość osób podających język polski jako ojczysty była najwyższa w 1961 roku. Notujemy tu spadek o 61.865 osób, czyli o 38,3 % — ale w proporcji do ogółu ludności Kanady spadek ten wynosi 55,5 %. Notujemy więc również przyspieszenie spadku — gdyż w okresie 1961-1971 wyniósł 16,6 %, a więc rocznie 1,6 %, podczas gdy w okresie 1971-1976 tempo spadku wzrosło do 25,9 % — zatem rocznie 4,7 %. Świadczy to o niemal trzykrotnym przyspieszeniu.

Jeśli założymy, że tempo spadku nie zmieni się i utrzyma na poziomie 5 % rocznie, to w 2001 roku ilość osób posługujących się językiem polskim, określających go jako ojczysty i jako pierwszy używany, wyniesie około 28.000. To jest platforma optymistyczna. Natomiast wchodząc na pesymistyczną i zakładając przyspieszenie spadku do 10 % — w roku 2001 język polski, jako ojczysty poda już tylko 14.000 osób. Ilustruje to poniższa tabela:

Język polski jako ojczysty w okresie 1976-2001

R o k	Ilość osób przy jedno- stajnym spad- ku 5 % rocznie	Proporcja do ogółu lud- ności Kanady %	Ilość osób przy spadku jedno- stajnie przy- spieszonym z 5% do 10%	Proporcja do ogółu lud- ności Kanady %
1976	99.855	0,4	99.855	0,4
1981	77.300	0,3	75.500	0,3
1986	59.800	0,2	54.400	0,2
1991	46.300	0,1	37.200	0,1
1996	35.800	0,1	23.800	0,1
2001	28.000	0,1	14.000	0,05

Szacunkowy stan ludności Kanady w tym okresie przedstawia się następująco:

1976	22.992.605
1981	24.041.400
1986	25.382.900
1991	26.591.400
1996	27.569.700
2001	28.369.700.

Ze szczegółowych danych spisowych wynika, że w okresie 1961-1976 najwyższy spadek znajomości języka polskiego nastąpił w prowincjach wschodnich oraz w Manitobie i Saskatchewan i wyniósł tam łącznie 52,2 % czyli o 3 % rocznie. Jeśli to tempo zostanie tam utrzymane, to znajomość języka polskiego w 2001 roku spadnie niemal do zera. W prowincjach Alberta i Quebec łączny spadek wyniósł 41,5 %, a więc rocznie 2,3 %, w Brytyjskiej Columbii — 36,9 % — rocznie 2,1 %, a w Ontario był najniższy — 31,4 % — a w skali rocznej 1,8 %.

W Ontario znajduje się największa ilość ludności pochodzenia polskiego, która mieszka w wielkich i mniejszych miastach. W prowincji tej działa najwięcej organizacji polonijnych, jest — jak dotychczas — najbardziej atrakcyjna dla imigrantów i dlatego nowi polscy przybysze tu się osiedlają. Nowi imigranci z Polski siłą rzeczy przyczyniają się do lokalnego ożywienia języka i przynależności do grupy polskiej.

Byłoby jednak naiwne nie pamiętać, że każda emigracja kończy się — to znaczy traci swoją identyczność narodowościową i staje się częścią grupy dominującej, częścią społeczeństwa. Oczywiście hipotetyczny obraz grupy polskiej, jej stanu liczbowego, jeśli idzie o język ojczysty, może okazać się błędny, gdy nastąpi nagły przyływ imigrantów. Jakies nieznanne wypadki zewnętrzne mogą wpłynąć na wzrost świadomości i na utrzymanie języka polskiego. Ale nie można na tym opierać prognoz.

Dane obiektywne wskazują jednak, że Polacy znacznie szybciej zatracają znajomość języka ojczystego niż inne grupy. Znajdują się w skali strat na czwartym miejscu. Ilość osób deklarujących język angielski jako ojczysty w okresie 1961-1976 wzrosła o 32,5 %, a jeśli chodzi o język francuski — o 15 %.

Z tabeli ilustrującej podział ludności według języka ojczystego, obejmującej 22 rubryki, wynika że w okresie 1971-1976 nastąpił spadek we wszystkich grupach, z wyjątkiem angielskiej. Tabela zawierająca dane dotyczące naturalnego przyrostu ludności oraz imigracji wykazuje, że wzrost grupy angielskiej wyniósł 5,2 %, oraz że grupa portugalska z powodu napływu imigrantów nie poniosła żadnych strat. W tym zestawieniu grupa polska znajduje się na 6 miejscu w skali od najwyższych do najniższych strat — wyrażającymi się prawie w 30 %. Dla ilustracji podajemy dane odnośnie grupy słowiańskiej:

Grupa	procent
rosyjska	30,3
polska	29,7
czechosłowacka	26,1
ukraińska	11,4
jugosłowiańska	9,4

Wysoki procent strat grupy rosyjskiej jest zrozumiały. Liczebnie jest słaba, a do tego bardzo rozproszona. Dalej, w odróżnieniu od innych grup słowiańskich, nie ma żadnego napływu nowych imigrantów. Co prawda w takiej samej sytuacji znajduje się grupa ukraińska, ale jest o wiele większa, ma doskonałą sieć organizacyjną: kościelną i świecką oraz została ożywiona narodowo pod wpływem aktualnej sytuacji na Ukrainie.

Proces kurczenia się grupy polskiej jest wysoce znamieny i nie łatwo jest go wyjaśnić. Przyływ nowych imigrantów jest nieznaczny. W ostatnich latach nie sięga 1.000 osób rocznie: W tej grupie — obok starszych członków rodzin — znajduje się kilkuset przybyszy — ludzi młodych — z wyraźną tendencją do asymilacji. Grupa polska ma w Kanadzie wielkie możliwości zachowania języka, ponieważ sieć organizacyjna jest dostatecznie rozbudowana, a w publicznych bibliotekach są polskie książki, czasopisma, itp.

Różne ankiety i badania terenowe, prowadzone przez ośrodki uniwersyteckie, wskazują że w grupie polskiej bardzo silnie występuje tendencja odłączenia się. Jak już powiedzieliśmy, jest to zjawisko charakterystyczne i złożone, wymagające szczegółowego zbadania.

W badaniach nad językami nieoficjalnymi, przeprowadzonymi w 5-ciu największych miastach kanadyjskich, w których mieszka znaczny procent ludności etnicznej tj. w: Montrealu, Toronto, Winnipegu, Edmontonie i Vancouverze — badaniami objęto 40,9 % ludności pochodzenia polskiego według spisu z 1971 roku. Język polski jako ojczysty podało 63,8 % ale płynną znajomość tego języka zadeklarowało tylko 35,8 %. Dalsza analiza wykazała, że płynną znajomość języka zadeklarowało 64,6 % imigrantów (w liczbach absolutnych 44.115 osób); drugie pokolenie — 9,8 % (37.261 osób); trzecie pokolenie — 4,9 % (9.039 osób). Ustalono dalej, iż poziom wykształcenia czy wysokość dochodów nie stanowi czynnika odrywania się od grupy.

Znamienne jest, że wszystkie grupy polskie — a więc imigranci i następne pokolenia — w 80 % wypowiedziały się za zachowaniem języka polskiego, uczeniem go w szkołach. W grupie osób wykształconych procent był najniższy. (K. G. O'Bryan, J. G. Reitz, O. Kupłowska — *non-official languages — A Study in Canadian Multiculturalism*, Ottawa, 1975).

Analiza danych statystycznych odnośnie profilu językowego ludności w 1976 roku zdaje się nie potwierdzać optymizmu grup etnicznych co do polityki wielokulturowości rządu kanadyjskiego.

Benedykt HEYDENKORN
Rudolf KOGLER

Studium Spraw Polskich

W dniu 26 listopada ub. roku w Chicago, w ramach zebrań zorganizowanych wspólnie przez Komisję Spraw Polskich przy Kongresie Polonii Amerykańskiej i przez Północno-Amerykańskie Studium Spraw Polskich, prof. Andrzej Ehrenkreutz wygłosił referat omawiający dotychczasowe osiągnięcia Studium. Oto fragmenty z tego referatu:

... Niepodległościowa działalność powinna mieć miejsce w każdym kraju osiedlenia emigrantów politycznych i ich duchowych spadkobierców. Trudno jednak byłoby zaprzeczyć twierdzeniu, iż oprócz Europy Zachodniej, Stany Zjednoczone i Kanada są szalenie ważnym strategicznym odcinkiem działalności niepodległościowej. Rozważając półtoraroczną działalność Studium będziemy mieli na myśli wyłącznie ten strategiczny odcinek.

Głównymi torami akcji niepodległościowej na północno-amerykańskim kontynencie winny być: 1) działalność propagandowa i 2) działalność polityczna.

1. Jeżeli chodzi o działalność propagandową to przedmiotem jej zabiegów powinny być: a) prasa obcojęzyczna i polonijna, jak i inne środki masowego przekazu, b) uświadomione elementy opinii publicznej (np. kongresmani, polityczni liderzy, wychowawcy oświatowi, specjaliści od nauk politycznych, przedstawiciele kleru), c) ośrodki naukowe, badawcze i dydaktyczne o uniwersyteckim poziomie.

2. W sferze działalności politycznej akcja niepodległościowa powinna się skupiać na: a) nawiązywaniu „odpowiednich” kontaktów w ośrodkach dyspozycji politycznej, b) na wywieraniu presji na wrażliwe elementy wpływów politycznych.

Założywszy, iż przynajmniej te dwa tory wymagają akcji — wymagają rozumnych, przemyślanych, pragmatycznych wysiłków ze strony politycznej emigracji — to spojrzawszy na sytuację panującą jeszcze półtora roku temu na naszym kontynencie, a więc w 31 lat po zaistnieniu teźże emigracji, musimy wysnuć wniosek, że takowa akcja została zredukowana do sporadycznych kroków, poczynanych przez pojedyncze osoby lub przez mniej lub więcej zorganizowane stowarzyszenia, przy nieomalże całkowitym braku środków finansowych.

Nie będę tu wchodził w przyczyny tego letargu czy paraliżu, jaki obezwładnił emigrację polityczną; nie osmielę się też stwierdzić, że Studium stało się czy to instrumentem, czy też panaceum, czy też vademecum zdolnym do uzdrowienia tej sytuacji — tej sytuacji, która wręcz kompromituje uchodźstwo polityczne, a kto wie czy kiedyś badania uczonych nie wykażą, że bezczynność ta była hańbiącą plamą na historii emigracji XX-go wieku.

Natomiast pozwolę sobie na kilka uwag ilustrujących dotychczasową działalność Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich. Jak dotąd Studium skoncentrowało swoje wysiłki na akcji propagandowo-uświadamiającej i na akcjach politycznych. I. W akcji propagandowo-uświadamiającej Studium zastosowało wielorakie środki działania: 1) Stworzenie tzw. *Instant Reply Service*, której zadaniem jest możliwie natychmiastowe wysłanie odpowiednio merytorycznie i stylistycznie skomponowanych listów do redakcji dzienników i czasopism, w których ukazały się artykuły szkodliwe dla sprawy polskiej. Wynikiem działania IRS było np. ukazanie się szeregu listów

w *Christian Science Monitor*, w *New York Times*, w *Detroit Free Press*, w *Ann Arbor News*. 2) Studium rozprowadzało również pewne biuletyny informacyjne i artykuły wśród anglosaskich organów prasowych, agencji prasowych i głównych kompanii telewizyjnych. 3) Studium wydaje kwartalnik w języku angielskim, zatytułowany *Studium News Abstracts*. Kwartalnik ten jest rozsyłany do wyżej wymienionych organów prasowych, do reprezentantów uświadomionej części opinii publicznej, do naukowców specjalizujących się w zagadnieniach historii i polityki Środkowej i Wschodniej Europy a wreszcie do bibliotek i ośrodków o podobnej specjalizacji. Należy podkreślić, że *Studium News Abstracts* cieszą się naprawdę międzynarodowym powodzeniem, gdyż zamówienia na nie wpływają nie tylko ze strony naukowych instytucji w Stanach Zjednoczonych, ale i z kilku krajów Europy Zachodniej. 3) Studium wydaje również specjalne opracowania w języku angielskim, tzw. „Blue Books” o bieżącej polskiej politycznej, społecznej i ekonomicznej tematyce. Wydawnictwa te są rozsyłane podobnie jak *Studium News Abstracts* i cieszą się również dużym powodzeniem. Między innymi opracowanie zatytułowane „Polish Trade Union and the Right to Strike” zostało przetłumaczone na język duński i wydane przez dwutygodnik kopenhaski *Minut* o nakładzie stu tysięcy egzemplarzy. Niektóre materiały, przetłumaczone przez Studium, zostały przedstawione na forum Senatu Stanów Zjednoczonych i wydrukowane w *Congressional Record*. Inne „Blue Books” zostały rozprowadzone wśród wszystkich członków parlamentu kanadyjskiego, dzięki współpracy jednego z kanadyjskich senatorów. 5) Studium uczestniczyło również w organizowaniu sympozjów ogólnokrajowych lub regionalnych zjazdów naukowych i odczytów uniwersyteckich, których tematy służyły sprawie polskiej. Dodać należy, że poszczególni członkowie Studium brali udział w tych imprezach, jak również i w dyskusjach uniwersyteckich, a i w programach telewizyjnych. Najlepszym dowodem skuteczności tego rodzaju poczynań był odzew uczonych anglosaskich, w tym kilku laureatów nagrody Nobla, co do zbierania podpisów pod apelem odnośnie losu uwięzionych robotników i członków KOR’u. Według opinii wyrażonej w miarodajnym *Washington Post*, błyskawicznie zorganizowany protest 126 przedstawicieli amerykańskiej nauki, prasy i sztuki a nawet i prezydenta potężnego związku zawodowego *United Auto Workers* o czym pisała prasa amerykańska, przyczynił się do uwolnienia więźniów politycznych w PRL’u. 6) Studium podjęło się również zadania obsługi prasy polonijnej w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie rozsyłając 40 organom prasowym nieoficjalne biuletyny i wiadomości otrzymywane z Polski, jak też artykuły i opracowania z prasy francuskiej, niemieckiej i włoskiej, każdorazowo tłumaczone przez Studium na język polski.

II. Jeżeli chodzi o dokonania polityczne to Studium starało się o nawiązywanie kontaktów: 1) z Białym Domem, 2) z członkami Senatu i Izby Reprezentantów, 3) z urzędnikami Departamentu Stanu, 4) z ośrodkami o podobnej lub równoległej ideologii, 5) ze związkami zawodowymi. Akcja ta poprzedzona była oczywiście wytypowaniem kluczowych jednostek i ośrodków.

... Najwymowniejszym przykładem skuteczności naszych politycznych kontaktów było zorganizowanie wystąpienia polskiej niepodległościowej delegacji przed Komisją Helsińską Kongresu Stanów Zjednoczonych. Jak ogólnie wiadomo komisja ta zajmuje się zbieraniem dokumentacji dotyczącej szanowania lub łamania uchwał porozumienia helsińskiego przez jego sygnatariuszy. Natomiast mniej znanym jest fakt, że ta komisja wysyłała swych delegatów do Europy w celu przesłuchiwania świadków lub rzeczoznawców odnośnie wyżej wymienionego problemu. Co zaś nas najbardziej zaszokowało to to, że ci delegaci w czasie swojej europejskiej misji nie otrzymali czy nie uzyskali żadnych materiałów ze strony naszych polskich

ośrodków niepodległościowych w Londynie lub Paryżu. Inaczej mówiąc, komisja ta zbierając materiały do przedstawienia na zjeździe w Belgradzie nie miała i nie miała żadnych materiałów krytykujących postępowanie władz komunistycznych w PRL'u gdyby nie aktywność Studium. Dzięki bowiem czujności i kontaktom Studium zainicjowane zostało wystąpienie polskiej niepodległościowej delegacji przed tą komisją. Delegacja ta zmontowana przez Kongres Polonii Amerykańskiej i zaopatrzona w dokumenty rzeczowe — w dużej mierze przygotowane względnie przetłumaczone przez Studium — liczyła w swym gronie redaktora Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, którego sprowadzenie zostało w poważnym stopniu sfinansowane przez Studium. Dodać należy, że większość materiałów przedstawionych przez naszą delegację została opublikowana w *Congressional Record*.

...Rozszerzający się stale zakres istotnych kontaktów politycznych potwierdził potrzebę stworzenia stałej placówki niepodległościowej na terenie stolicy Stanów Zjednoczonych, co zresztą było jednym z programowych celów Studium. Niestety, dotychczasowe środki finansowe nie pozwoliły na pełne, całkowite urzeczywistnienie tego celu. Wobec tego Studium postanowiło uciec się do innego środka. Oto w wyniku pertraktacji z prezesem Mazewskim i Głównym Zarządem KPA stworzona została zupełnie nowa pozycja przy biurze KPA w Waszyngtonie. Wybitny dziennikarz i radiowiec, red. Zdzisław Dziekoński, przeszedłszy na emeryturę, zgodził się oddać swój czas dla pracy na terenie stolicy. Koszta jego działalności są pokrywane w 2/3 przez KPA a w 1/3 przez Studium — przynajmniej na najbliższy, próbny, jednoroczny okres... Redaktor Dziekoński wnosi do tej pracy olbrzymie doświadczenie, jego emerytura warta jest wiele tysięcy, dom w jakim rezyduje jest też sporo wart — w sumie więc chodzi tu o kilkadziesiąt tysięcy stanowiących bazę finansową dla działalności specja, którego wyłącznym zadaniem jest orędownie w sprawach polskich (a więc nie polonijnych) w stolicy Stanów Zjednoczonych.

Dotychczas omawiałem bieżącą działalność dostosowaną, albo raczej reagującą na bieżący tok wydarzeń. Można by określić tę działalność jako akcję poziomą — szeroką akcję, obejmującą wiele odcinków chwili obecnej — czasu teraźniejszego.

Studium jednakże nie może ograniczyć się do takiej płaszczyzny poziomej. ...I tu chcę przejść do pozycji pionowej — w odniesieniu do działalności Studium. Chodzi mi tu o sięganie w przyszłość. Moim zdaniem — choć nie zapominając o dawnej i niedawnej naszej bojowej przeszłości, musimy patrzeć w przyszłość. Ten pionowy punkt widzenia jest ważny ze względu na kilka szalenie istotnych wymogów działalności niepodległościowej.

Po pierwsze musimy wypracować plany naszej polityki niepodległościowej w celu dopomagania narodowi polskiemu w jego walce o zachowanie postawy i tęsknot niepodległościowych, po drugie, musimy się przygotować *à la longue* do odpowiedniego zareagowania na sytuację, w której warunki międzynarodowe pozwolą na przywrócenie Polsce politycznej niezawisłości, po trzecie, musimy dołożyć wszelkich starań, ażeby zapewnić kontynuację, czy też ciągłość naszej działalności niepodległościowej. Chodzi mi tu o wciąganie i przekazywanie naszej roli przedstawicielkom i przedstawicielom młodszych pokoleń, a poprzez nich i dalszym, następnym, które będą musiały czuć i działać w obronie niepodległościowych interesów narodu polskiego.

Jeżeli chodzi o ten ostatni dezyderat, to dokonać tego zdołamy tylko wtedy kiedy nasza działalność, nie ograniczy się jedynie do wspomniania i czczenia przeszłości, lecz wykaże praktyczne skutki, poważnie, bieżąco, na międzynarodowym, a więc nie na polonijnym polu jedynie osiągnęte. Jeżeli w tym zakresie nie wykonamy naszego zadania, wówczas nad obecną naszą działalnością, a raczej nad jej wynikami, zawiśnie wielki znak zapytania!

Przejść wreszcie muszę do bardziej prozaicznego, lecz tym niemniej

kluczowego zagadnienia. Sama jakość działalności Studium nie wystarczy. Potrzeba nam i siły, a żyjemy w kraju, gdzie siły mierzy się, czy wykazuje się wartością dolarową. Wniosek więc z tego prosty: musimy mieć więcej pieniędzy, ażeby z rozmachem i gatunkiem naszych akcji bardzo, bardziej i coraz bardziej się liczono. A wiemy, że nie chodzi tu o jakieś zakamuflowane fundusze o niewiadomym pochodzeniu, lecz o fundusze składające się ze składek członkowskich, z wpłat osób inwestujących w interes niepodległości Polski. Czym więcej członków — tym więcej składek, tym więcej funduszy.... Sądzę, że nie będę naiwnym optymistą twierdząc, że Studium może i powinno pozyskać 1.000 członków — powiedzmy 500 emerytów, co da sumę \$ 12.500 rocznie i 500 pełnopłatnych członków — co da sumę \$ 50.000, razem \$ 62.500 rocznie. To da nam — w porównaniu z obecną sytuacją i w połączeniu z jakością członków — ideową i fachową, prawdziwą potęgę. I nie trzeba tego zagadnienia w bawelnę owijać. Niepodległościowa Polonia skazana jest na wielkość albo na zagładę. A od istnienia i przyszłości Studium los niepodległościowej Polonii w dużej mierze zależy. Musimy więc się starać o drastyczne powiększenie ilości członków. A więc do dzieła!



Roczna składka Studium wynosi \$ 100,00, którą można wpłacić jednorazowo lub ratami. Składka ta, pozornie wysoka, stanowi tylko wyrzeczenie się dwu dolarów tygodniowo. Niepracujący i emeryci płacą składki w granicach swych możliwości, nie mniej jednak niż \$ 25,00 rocznie. Deklarację członkowską można dostać od każdego członka Studium lub pisząc na adres: P.O. Box 7392, Ann Arbor, Mich. 48107, The North American Study Center for Polish Affairs. Podpisaną deklarację członkowską należy kierować na ten sam adres. Czeki proszę wystawiać na: Studium c/o Polcyn.

Prof. dr A. S. EHRENKREUTZ

Spotkanie z przedstawicielami Polonii Amer. w Białym Domu

6 lutego br. prezydent Carter zaprosił do Białego Domu przedstawicieli Polonii amerykańskiej. Cel przyjęcia miał charakter wyłącznie symboliczny i świadczyć miał zapewne o tym, że Prezydent nie zapominał o istnieniu poważnej liczby wyborców polskiego pochodzenia. Państwo Carter, którym asystował prof. Zbigniew Brzeziński, zmanifestowali swą życzliwość dla Polonii uściskiem dłoni oraz czysto polskim poczęstunkiem.

Ponieważ wśród zaproszonych gości znaleźli się zarówno przedstawiciele Polonii, o zdecydowanie negatywnym stosunku do władz PRL, jak i szereg miejscowych dziennikarzy i działaczy, będących przyjaciółmi reżimu należy przypuszczać, że w wyborze gości starano się zadowolić zarówno Ambasadę PRL jak i postępową, tzn. antysowiecką i antykomunistyczną, część Polonii.

Dzień spotkania z przedstawicielami Polonii amerykańskiej zbiegł się dokładnie z 30-letnią rocznicą egzekucji Eddie Slovika, Amerykanina

pochodzenia polskiego — jednego z dezertów Drugiej Wojny Światowej — który został skazany na śmierć za dezercję i na którym wyrok wykonano. Wybór daty przez prezydenta Cartera nie był przypadkowy. Właśnie z okazji tej rocznicy prezydent Stanów Zjednoczonych zakomunikował polonijnym gościom, że przychylił się do prośby p. Antoinette Slovik — wdowy po Eddie Sloviku — i wystąpi z wnioskiem do Kongresu o wypłatę zaległej renty w sumie 70 tysięcy dolarów. Renta ta przysługuje wdowom po żołnierzach amerykańskich, którzy utracili życie w Drugiej Wojnie Światowej. Wszystkie dotychczasowe prośby p. Slovik zostały odrzucone przez Pentagon. Oświadczenie Prezydenta, które przyjęte zostało oklaskami zaproszonych reprezentantów Polonii, wywołało natomiast ostupienie wśród publiczności polonijnej, która o owym przyjęciu dowiedziała się z TV i gazet. Na uwagę zasługuje opublikowany w *Nowym Dzienniku* felieton redaktora Zdzisława Baua („Boba”). Zdzisław Bau — zaproszony na przyjęcie w Białym Domu — nie mógł w nim uczestniczyć tak jak i wiele innych osób — z powodu zawiei śnieżnej. Oto kilka jego refleksji:

„... Wiemy przecież, jacy jesteśmy: Wychowani na Sienkiewiczu, Matejce, batalistycie Kossaków, na legendach Somosierry, legionów Dąbrowskiego, skoku do Elstery księcia Józefa Poniatowskiego, szarży pod Rokitną, dziewicy-bohater Emilii Plater; nie jesteśmy przygotowani na antybohatera w swoich szeregach...

Koncepcja antybohatera jest nam prawie genetycznie obca. Stanęliśmy w połowie drogi, przy Konradzie Wallenrodzie. Być może dlatego, że historia nas tak ciężko doświadczyła, ogalającą prawie z wszystkiego. Trzymamy się kurezowo takiego romantyczno-patriotycznego wyobrażenia o sobie...

... wszyscy pytają, dlaczego Carter nadał temu (sprawie Slovika) akcent symbolu, ogłaszając to w scenerii pierwszego pobytu Polamerykanów w siedzibie prezydentów Stanów Zjednoczonych. Przy czym zbieg wydarzeń — 33-ta rocznica egzekucji z dniem przyjęcia — dodaje temu specjalnej pikanterii. Można nas zrozumieć. Żal nam Slovika, ale nie obarcza on naszego sumienia. Nie na naszym forum trzeba było ogłaszać jego amnestię.

Może to przypadek, a może nie. Nie wiem, nie wiemy i prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Istnieją — tak jak ja to widzę — dwie możliwości. Albo doradcy Cartera zupełnie się nie orientują w naszych tradycjach, kompleksach, wizjach, czasami śmiesznych, ale — cóż zrobić — naszych.

Nawet nie można powiedzieć, że było to nietaktem, gafą albo *faux-pas*. Bo jest to w innym wymiarze. Chwilami mam wrażenie, że gdybyśmy w rozmowie z Carterem starali się mu udowodnić niefortunnosć tej gali, nie rozumieliby, o co nam chodzi. A może się mylę, może po prostu była to bezmyślność. Bo z drugiej strony, właśnie na Południu, z którego pochodzi Carter i jego „mafia”, zachowały się po wojnie secesyjnej poglądy do naszych podobne...

Tyle p. Zdzisław Bau. Od siebie możemy zadać tylko jedno pytanie: jeśli prezydent Carter nie orientuje się w naszych „kompleksach” — czy „przestarzałym” kulcie dla „bohaterszczyzny”, czy równie słabe pojęcie ma o nich prof. Brzeziński, który przecież w owym spotkaniu uczestniczył już chyba nie w charakterze doradcy do Spraw Bezpieczeństwa?

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Prasa sowiecka, która tak lubi jubileusze, kiedy są jej potrzebne — odnotowująca dziesięciolecia, dwudziestolecia, trzydziestolecia, jakiegokolwiek daty — przemilcza 25-lecie śmierci genialnego Wodza i Nauczyciela. I tylko w przemówieniu marszałka Ustinowa na uroczystym zebraniu z okazji 60-lecia Armii sowieckiej został wspomniany „Towarzysz Stalin”. Usłyszawszy drogie im nazwisko, sześć tysięcy generałów i starszych oficerów przez szereg minut nie pozwoliło marszałkowi kontynuować przemówienia, entuzjastycznie oklaskując. *Prawda*, publikując przemówienie ministra Obrony, z lekka je ocenzurowała: zamiast „Towarzysz Stalin” podała po prostu J.W. Stalin. Nie myślę jednak, by generalissimus się obraził — wielokrotnie sam podkreślał jak lubi skromność.

Przeszło ćwierć wieku od tego marcowego dnia, kiedy sowiecki naród, a razem z nim cały świat dowiedział się, że mimo „iż leczenie Stalina było prowadzone pod stałym nadzorem KC KPZS i Rady Ministrów” — Wódz zmarł. Albo — jak krzyczał w tych dniach jego syn Wasilij Stalin — „Ojca zamordowano”. Przeszło ćwierć wieku, i dziś można sporządzić coś w rodzaju bilansu. A raczej można szereg rzeczy ustalić. Jedną z nich, ale ważną: to ćwierćwiecze przekonywująco pokazało, że systemowi sowieckiemu potrzebny jest Stalin. System nie może się bez niego obyć. I wobec tego stwarza niezbędnego dla siebie Stalina. Chruszczow w pierwszych latach swego panowania próbował zmodyfikować rolę i obraz Wodza. Potem chciał wrócić do normalnych sztańc, ale było już za późno. Nie przebaczone mu samowoli i bluźnierstw. W kolejnym tomie „Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej” poświęcono Chruszczowowi 30 linijek — akurat tyle, ile było potrzeba dla potępienia jego „woluntaryzmu”.

Teśknota za Stalinem szarpie dusze przywódców sowieckich. Jest on potrzebny i w kraju i dla prowadzenia polityki zagranicznej. Nienawiść do Chruszczowa nie ma granic, gdyż zadał

ciężki cios wierze w Stalina. W ostatnich 13 latach zdziałano bardzo dużo, aby załatać dziury, jakie zrobił „car Nikita” w aureoli zdobiącej głowę generalissimusa.

Chruszczow oskarżał Stalina o dwa grzechy: morderstwo komunistycznych urzędników i nieudolne prowadzenie wojny. Setki pamiętników — w tej liczbie wspomnienia dwóch marszałków, które ukazały się po obaleniu Chruszczowa — przekonywująco udowodniły fakt, który dzisiaj jest jasny dla wszystkich obywateli sowieckich: Stalin był geniuszem wojskowym, gdyż wojna skończyła się zwycięstwem ZSSR. A ponieważ jest to bezsporny fakt, jasne że rozmowy o kosztach tego zwycięstwa, o milionach bezmyślnych i niepotrzebnych ofiar, prowadzić mogą tylko wrogowie Związku Sowieckiego i całej postępowej ludzkości.

Trudniejsze okazało się oczyszczenie Stalina z grzechu terroru. Proponowano szereg wariantów: niektórzy udowadniali, że likwidacja „piątej kolumny” była niezbędna, a możliwe że po drodze trafiali się i niewinni, ale — jak wiadomo — gdzie rąbią las, tam drwa lecą; drudzy przyznawali, że być może Stalin czasami przesadzał; wreszcie inni podkreślali, że Stalina oszukiwali ludzie z jego otoczenia, jak np. Beria. Żadna jednak z tych teorii nie była w pełni wystarczająca.

Nowa teoria, całkowicie wybielająca Stalina, została wyłożona w kolejnym arcydziele literatury sowieckiej, w kolejnym *best-sellerze* pt. „Wieczny zew”. Autor tej powieści, Anatolij Iwanow, już 20 lat temu wziął pióro do ręki i napisał szereg powieści (to jego ulubiony *genre* — najbardziej poważny w literaturze). W tej liczbie, opublikował 8 lat temu I-szy tom „Wiecznego zewu”. Teraz ukazał się tom II-gi — z miejsca w nakładzie 1.600 tysięcy egzemplarzy (nie licząc druku w prasie). W przedmowie powiedziano, że „ideowa i filozoficzna dojrzałość” stawia powieść w „rzędzie najwybitniejszych osiągnięć literatury sowieckiej”. Autor przedmowy ma całkowitą słusność, jeśli myśli o literaturze aprobowanej „z góry” (a innej oczywiście nie może brać pod uwagę).

Analizą literackiej wartości powieści Iwanowa może się zająć tylko człowiek w przystępie ostrego masochizmu. Jednakże nie wartości literackie przyciągają uwagę, a interpretacja historii.

W nr. 3/366 *Kultury* (marzec 1978) przeczytałem („Salon i kuchnia PRL”), że w polskiej telewizji pokazywane są filmy na temat historii Polski, w których pewnym postaciom pozwala się na wypowiedzenie jednego na film prawdziwego zdania. Czytając tę wzmiankę, przypomniałem sobie list Wałłama Szałamowa do Sołżenicyna. Autor „Opowiadań kołymskich”, który przesiedział na Kołymie 17 lat, pisał do autora „Jednego dnia Iwana Denisowicza”: A co to za kot chodzi u was po szpitalnym podwórku? Dlaczego go dawno już nie zjedzono? Łagier, w którym męczył się Iwan Denisowicz wydawał się więźniowi Kołymy kurortem.

W powieści A. Iwanowa dawno został zjedzony nie tylko kot,

ale i myszy. Iwanow twierdzi spokojnie i z pełnym przekonaniem, że nikt mu nie zaprzeczy, iż terror lat 30-tych został zorganizowany przez Trockiego przy współpracy Gestapo. Uczciwi sowieccy czełkiści okazali się marionetkami w rękach trockistowskich gestapowców. A reszta morderstw uczciwych komunistów, i uczciwych obywateli sowieckich, odbywała się pod bezpośrednim kierownictwem Trockiego. To on właśnie opracował taki „strategiczny plan działania”: „Będziemy wyniszczać fizycznie ludzi najbardziej oddanych ideologii sowieckiej... cywilów, wojskowych — wszystkich! We wszystkich dziedzinach” (*Roman Gazieta*, nr 2, str. 47 z 1978 r.). W czasie wojny trockista, który został gestapowcem (jak wszyscy trockiści!), wspomina: „To była ogromna siła! Wy wiele gadacie o trockizmie, ale nie wiecie i nawet sobie nie wyobrażacie, jaka to była siła... i jaki odwet czekał Rosję!” (str. 75). Kto uratował Rosję przed tym strasznym wrogiem? Anatolij Iwanow chętnie daje nam na to odpowiedź: Stalin!

No, jakby to nie było smutne, umarł obrońca Rosji. Ale niebezpieczeństwo nie minęło. Trockista i esesman, widząc że Niemcy hitlerowskie wojnę przegrały, nie wpada jednak w panikę — wie co będzie dalej. Walka będzie trwała: „Pójdziemy inną drogą. Będziemy wyrwać duchowe korzenie bolszewizmu, zniesławiać i niszczyć główne zasady moralne narodu... będziemy zajmować się ludźmi od ich dzieciństwa i lat młodzieńczych, naszą główną stawką będzie młódzież, będziemy ją rozkładać, deprawować, demoralizować!”. Ponieważ trockista-esesman jest już cały w przyszłości, nie krępuje się: „Cała prasa reszty świata, wszystkie środki ideologiczne są praktycznie w naszej dyspozycji”. Iwanow mówi to już o dniu dzisiejszym. Przestrzega przed niebezpieczeństwem, mówi o niezbędności Stalina, gdyż Anglia i Ameryka są spadkobiercami Hitlera, kontynuatorami dzieła trockistów, esesmanów i gestapowców.

Nie ma potrzeby dowodzić, że A. Iwanow wygłasza nie tylko swoje własne poglądy. Zresztą nie jest w stanie posiadać swoich własnych poglądów. 21 grudnia 1977 roku w Moskwie, w Centralnym Domu Literatów, odbył się „Wieczór literacki” pod niewinną nazwą „Klasyki i my”. Na tym wieczorze występowali ci, którzy uformowali poglądy Iwanowa. Czołowym wystąpieniem było przemówienie krytyka literackiego, Piotra Palijewskiego, zastępcy dyrektora Instytutu Literatury Światowej im. Gorkiego. Przemówienie Palijewskiego i wystąpienia jego towarzyszy broni sprowadzały się do jednego: literatura rosyjska, i w ogóle kultura rosyjska w latach 20-tych, znajdowała się w stanie dekadencji pod wpływem pozbawionych talentu żulików i oszustów — Picasso, Strawińskiego, Chlebnikowa; znajdowała się w rękach „elementów nierosyjskich”. W latach 30-tych, a specjalnie 40-tych, tj. w okresie rządów stalinowskich, sowiecka sztuka otrzymała warunki rozwoju, jako sztuka „czysto rosyjska”. W latach 70-tych znów nad kulturą rosyjską zawisło niebezpieczeństwo w pierwszym rządzie zagraża jej reżyser Anatolij Efros, który mimo

żydowskiego pochodzenia pozwala sobie wystawiać „rosyjskich klasyków”. Wieczór literacki zamienił się w oplakiwanie Stalina. Placz był tym bardziej rozdzierający, że miał miejsce 21 grudnia, w dniu urodzin Nauczyciela i obrońcy.

Powyżej napisałem, że 25-lecie śmierci Stalina nie było odnotowane w prasie sowieckiej. Ale nigdy jeszcze wrażenie, że duch Stalina jest żywy, nie było tak silne jak w wilię tej rocznicy. Pisma i gazety sowieckie z lutego-marca 1978 roku były jak dwie krople wody podobne do pism i gazet sowieckich z lutego-marca 1953 roku. Tylko że dzisiaj zamiast portretu przystojniaka z wąsami, ozdabiał je portret piękniśia bez wąsów. Reszta jest jak poprzednio, tj. piękny mundur, kremowy ze złotem, medale i ordery do pasa. W lutym-marcu 1978 roku Leonid Iljicz Breżniew był wielkim wodzem, zbawcą świata w drugiej wojnie światowej, zbawcą świata po wojnie i wielkim pisarzem. Został namaszczone na Stalina.

Uroczystości rozpoczęły się od publikacji utworu L. I. Breżniewa „Mała ziemia” w lutymowym numerze miesięcznika *Nowyj Mir*. Są to wspomnienia z działań wojennych, w których brał udział pułkownik Breżniew, naczelnik oddziału politycznego 18-tej Armii. W centrum opowiadania znajduje się historia desantu w Noworosyjskiej Zatoce, na obszarze niewielkiego *place d'armes* znanego pod nazwą „Mała ziemia”. Cały *place d'armes* obejmował tylko 20 km. kwadr. i wiązał siły jednej, i tylko jednej dywizji 17-tej armii niemieckiej. Historia „udziału” Breżniewa w tych walkach była już szczegółowo opisana, ale bez powołania się na źródła, przez dziennikarza Jona Andronowa w długim artykule opublikowanym w końcu 1971 — na początku 1972 w *Nowoje Wriemia*. Do tego czasu o wojennych przewagach Breżniewa było głucho. Obecnie artykuł Andronowa został powtórzony przez Breżniewa (albo podpisał on powtórkę). Jego wspomnienia były na prośbę mas pracujących przedrukowane w *Niedieli* (dodatku do *Izwestii*) i w *Literaturnoj Gaziecie*. Wspólny nakład przewyższa 10 milionów egzemplarzy. Ale to tylko początek, gdyż są wspaniałe recenzje. „Wspomnienia są przeniknięte zdumiewającym wyczuciem ludzkiego ciepła, miłości do towarzyszy broni” (*Literaturnaja Gazieta* nr 6) — pisze Witalij Ozierow. „Znaczenie tej pracy jest nieocenione — twierdzi Anatolij Ananijew — notatki są pełne historii i głębokich uogólnień” (*Prawda* z 16. 2. 1978 r.). „Przepiękne linijki w opowiadaniu L. I. Breżniewa...”, rozczuła się B. Gałanow (*Literaturnaja Gazieta* nr 7), itd., itp.

Breżniew opowiada o swoich wojennych sukcesach, o tym że przed wojną był jednym z tych, którzy zrozumieli sens układu z Niemcami „zabezpieczającego nam niezbędny oddech”, a „nie wszyscy to zrozumieli”. Wyjaśnia dlaczego tak się stało, że prawie do samego końca wojny był tylko w stopniu pułkownika, a dopiero jesienią 1944 roku otrzymał od dawna oczekiwane

generalskie szlify. Okazuje się, że sam nie chciał żadnego awansu — nie chciał się rozstawać z towarzyszami broni.

Zresztą zostawmy w spokoju tekst tych wspomnień, które nie mają żadnego znaczenia. Znacznie ciekawsze są przyczyny ich ukazania się.

L. Breżniew (którego prasa sowiecka wymienia nie inaczej, jak ze wszystkimi tytułami tj. Generalny Sekretarz KC KPZS, Przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSSR) przedstawił swoje wspomnienia tak jak podanie w celu otrzymania orderu. 20 lutego na Kremlu — w komunikacie z tej okazji, dodano mu jeszcze dwa tytuły: Przewodniczący Rady Obrony ZSSR, Marszałek Związku Sowieckiego — Breżniew otrzymał najwyższe odznaczenie wojskowe — Order Zwycięstwa.

Odznaczenie to zostało ustanowione w 1943 roku dla nagrodzenia dowódców armii, którzy przeprowadzili zwycięskie operacje wojenne o charakterze strategicznym. Nagrodzonych było bardzo mało. Zdaje się, że nikt z nich już teraz nie żyje. Jedy-nym posiadaczem Orderu Zwycięstwa stał się Breżniew.

Nadał on sobie Order Zwycięstwa, gdyż posiadał go również Stalin. Możliwe, że w przyszłości wszyscy generalni sekretarze będą odznaczani takimi orderami, stanowiącymi symbol władzy i dowód, że są wodzami¹. Zresztą oficjalni historycy sowieccy już wyjaśniają, że jeśli od „Małej ziemi” zależały losy Kaukazu, skąd Hitler mógł przedostać się na Bliski Wschód i do Indii, a następnie przenieść działania wojenne na teren USA, to właśnie Breżniew zapewnił zwycięstwo sojuszników. Zresztą dla tych, którzy mogliby odnieść się sceptycznie do takiej interpretacji historii, sam Marszałek Breżniew podaje jeszcze jeden powód do nagrodzenia samego siebie Orderem Zwycięstwa. 9 maja 1945 roku — oświadczył przyjmując odznaczenie — Związek Sowiecki odniósł zwycięstwo. „Jednakże — kontynuował Marszałek — aby zabezpieczyć zwycięstwo, tak drogo okupione, potrzebne były kolosalne wysiłki. Potrzeba było trzech dziesięcioleci, żeby nienaruszalność powojennych granic została uznana przez Europę oraz przez Stany Zjednoczone i Kanadę”. Jak się okazuje, druga wojna światowa w rzeczywistości zakończyła się dopiero w Helsinkach. Breżniew otrzymał swój order za zwycięstwo na konferencji w Helsinkach. Po zakończeniu konferencji w Belgradzie delegat szwajcarski obliczył, że dla Zachodu była ona klęską w 99% — a zwycięstwem tylko w 1%. Trudno dyskutować o cyfrach z przedstawicielem najsilniejszego pieniądza na świecie. Czyż więc nie zasługuje na najwyższą nagrodę wódz, który odniósł 99-procentowe zwycięstwo²?

1. Nie wykluczone, że w przyszłości nazwisko Stalina stanie się tytułem — jak stało się to z imieniem Cezara. I jeśli był Cezar August, Cezar Neron, Cezar Tyberiusz — to dlaczego nie miałyby być: Stalin Breżniew, Stalin Kułakow, Stalin Andropow?

2. Ze stuprocentową ścisłością wiadomo, że Związek Sowiecki jest jedy-

Breżniew zakończył pracę Stalina w polityce zagranicznej. W Związku Sowieckim polityka zagraniczna była zawsze ściśle związana z polityką wewnętrzną i bardzo często pierwsza przychodziła z pomocą drugiej. Obecnie również, w warunkach wewnętrznego kryzysu gospodarczego, zewnętrzne zwycięstwa polityczne podtrzymują politykę Breżniewa. 1 marca 1978 roku rząd sowiecki podał do wiadomości podniesienie cen benzyny o 100 %, a kawy o 445 %. Jednocześnie ogłoszono, że podwyżka ta nastąpiła „na prośbę pracujących”.

Jeśli nawet pracujący nie prosili o podniesienie tych cen, to bardzo wątpliwe, czy mogliby protestować w obliczu świetnego zwycięstwa broni sowieckiej w Ogadenie. Sowieccy korespondenci wojenni w Etiopii opisują w prasie wspaniałe sukcesy rewolucyjnej armii etiopskiej, nie wspominając o kubańskim korpusie ekspedycyjnym i o sowieckich specjalistach. Ale na niezliczonych zebraniach partyjnych i innych — jakby w tajemnicy — mówi się z dumą o wybitnych działaniach wojsk sojuszniczych pod kierownictwem generała Wasilija Pietrowa, rozgrywających, jak na manewrach, operacje z udziałem artylerii czołgów i desantów powietrznych. Sowieccy wojskowi są szczęśliwi: nawet w 1968 roku, z powodu odmowy ze strony Czechosłowacji wzięcia udziału w grze, nie mogli wypróbować swojej strategii i broni w warunkach bojowych. W Etiopii próba wypadła doskonale. Teraz można przenieść doświadczenie na inne miejsce: do Afryki, albo na inny kontynent.

Czy warto przy takim zwycięstwie martwić się kawą czy benzyną?

Sukcesy zagraniczne są cenne i z innych powodów. Wzmacniają na Zachodzie miłość do Związku Sowieckiego. Wyjaśnienie dlaczego tak się dzieje może mogliby dać psychiatrzy. Ale to jest fakt. Nikołaj Tołstoj, potomek Lwa Tołstoja i nauczyciel w Anglii, napisał książkę pt. „Ofiary Jałty”.

O „Ofiarach Jałty”, o przeszło dwóch milionach obywateli byłego imperium rosyjskiego, wydanych przez Anglików Stalinowi, po raz pierwszy pisał, już bardzo dawno temu, Józef Mackiewicz w swojej powieści „Kontra”*, ale nikt na to na Zachodzie nie zwrócił uwagi. Zwrócono uwagę dopiero wtedy, gdy

nym państwem, które po drugiej wojnie światowej powiększyło swoje terytorium. W „Podsumowaniach wszechzwiązkowego spisu ludności z 1959 r.” jest powiedziane: „Terytorium ZSSR w obecnych jego granicach, oprócz terytorium byłego imperium rosyjskiego, z wyżej wymienionymi wyjątkami (Polska, Finlandia, Kars) obejmuje terytoria byłej Buchary i Chiwy, a także Galicji i północnej Bukowiny, które weszły w skład ZSSR w 1939 roku, Tuwy przyjętej do Związku Sowieckiego w 1944 roku, Zakarpackiej Ukrainy, miasta Königsberg (obecnie Kaliningrad) z przylegającym do niego rejonem, Południowego Sachalinu i Wysp Kurylskich, okręgu Klajpedzkiego — które weszły w skład ZSSR w 1945 roku”.

* „Biblioteka Kultury”, tom 20, Paryż, 1957.

wspomniał o tym Sołżenicyn. Następnie napisał o tym Lord Bethell („Ostatni sekret”). Nikołaj Tołstoj przystąpił do napisania tej książki z dwóch powodów: po pierwsze, właśnie otworzono archiwa angielskie; po drugie, decyzję powzięte w Jałcie przez Stalina i Churchilla nosiły kodową nazwę „Tołstoj”.

Nie zdziwię się, jeśli się dowiemy, że tę nazwę — nazwisko pisarza wzywającego do nieprzeciwstawiania się złu siłą — zaproponował Stalin.

W książce „Ofiary Jałty” jest mało nowych faktów, ale po raz pierwszy zostało pokazane jak i dlaczego Anglicy stali się pomocnikami katów. Główną przyczyną tego był zachwyty Edena nad Stalinem, autentyczna miłość jaką angielski minister spraw zagranicznych zapalał do „moskiewskiego górala”.

Miłość Edena do Stalina to dziś historia. Natomiast w marcu 1978 roku angielskie pismo *Encounter* zamieściło artykuł dziekana amerykańskiego korpusu dyplomatycznego i najstarszego sowietologa — George F. Kennana. „Reżym — pisze on, mając na myśli współczesny reżym sowiecki — jest kierowany przez umiarkowanego, a w rzeczy samej konserwatywnego człowieka... człowieka, o którym wszyscy ci, którzy go znają, są przekonani że miłuje pokój”.

George Kennan kocha Breżniewa głównie za to, że „dziś w Związku Sowieckim mało zostało z terroru czasów stalinowskich”. Kennan jest historykiem i nie może nie wiedzieć, że tylko tyran całkowicie oszalały może permanentnie wyniszczać ludzi na skalę stalinowską. W skali terroru 1937-38 roku, ludności sowieckiej starczyłoby Stalinowi zaledwie na kilka lat. Studiujący Iwana Groźnego Kennan wie, że nawet Car Iwan na przestrzeni 30 lat nie zabijał ludzi bez przerwy. A Breżniewowi całkowicie wystarcza „pełzający terror”, który krzepnie z dnia na dzień.

Zresztą zachodni mężowie stanu kochali Stalina nawet w okresie „wielkiego terroru”, znajdując dla niego najbardziej przekonujące usprawiedliwienia. Jakże zatem nie kochać Breżniewa, jeśli nie mordując ludzi w takich ilościach jak Stalin, stał się od niego silniejszy. I na znak miłości Breżniewowi płaci się jeszcze więcej niż Stalinowi. Obecnie Zachód w znacznym stopniu finansuje sowiecki budżet wojskowy.

W jakiejś więc mierze zwycięstwa Breżniewa, np. w Ogadenie, są zwycięstwami Zachodu. I nie jest na przykład dziwne, że gdy sowiecki satelita-szpieg spadł w kanadyjskich śniegach, na dziesiątki kilometrów rozrzucając odłamki atomowego reaktora, w USA zaczęto się zastanawiać nad tym, czy Związkowi Sowieckiemu dać informację i technologię, które pozwoliłyby mu zaopatrzyć sputniki-szpiegi w bardziej pewną instalację.

W powodzi książek o Stalinie, stalinizmie i tzw. destalinizacji wyraźnie wybijają się pamiętniki byłego posła Jugostawii w Moskwie, Vjelko Mićunovića. Reprezentował on w ZSSR swój kraj w 1956-1958, a potem ponownie w 1959-1971. Wspomnienia — to jest dziennik, który prowadził w Moskwie — odnoszą się

do jego pierwszego pobytu w stolicy Związku Sowieckiego. Znaczenie tej książki staje się jasne, jeśli zestawia ją z pamiętnikami amerykańskiego ambasadora Charles Bohlena, który był akredytowany w Moskwie w tym samym okresie. Amerykański dyplomata i znawca ZSSR niczego nie widział i jego prognozy, przewidywania, oceny z reguły były błędne. Zresztą — z godną pochwałą szczerością — przyznaje się do tego. Mićunović — komunista, partyzant, człowiek z otoczenia Tito — bardzo dużo zobaczył i bardzo wiele zrozumiał. W pierwszym rzędzie rozumiał, że tzw. destalinizacja nie dotyczy „wiodącej roli” ZSSR w „obozie” krajów socjalistycznych. Chruszczow, który często i z zaufaniem rozmawiał z jugosłowiańskim pośłem, tak wyjaśnił mu m.in. interwencję wojsk sowieckich na Węgrzech: „Bo inaczej powiedziano by, że przy Stalinie było wszystko spokojnie, a teraz, po jego śmierci...”.

Mićunović szczegółowo odnotowuje w swoim dzienniku kręte ścieżki *destalinizacji* — dostrzega jak każdy krok wstecz — oddalający od Stalina jest zastępowany dwoma krokami w przód — z powrotem w jego kierunku; każde słowo osadzające Wodza — dziesięciu słowami pochwalnymi. Opowiada o tym, jak Chruszczow i jego współtowarzysze próbowali wykorzystać Tito w charakterze pośrednika między ZSSR a „podnieconymi satelitami” — Polską i Węgrami, mając nadzieję skompromitować Tito i uspokoić Polaków i Węgrów.

Dwa wydarzenia zwróciły szczególną uwagę jugosłowiańskiego pośła: próba obalenia Chruszczowa w czerwcu 1957 roku, zakończona pełnym zwycięstwem Chruszczowa i rozbiciem tzw. antypartyjnej grupy, oraz zlikwidowanie marszałka Żukowa w październiku 1957 roku. Chruszczow, podniecony zwycięstwem nad zwycięzcą Hitlera, wyjaśnia Mićunovićowi że Żukow, który jesienią 1957 roku osiągnął szczyty władzy, został usunięty za to, że w czerwcu pomógł Chruszczowowi w walce z „antypartyjną grupą”, rzuciwszy na szalę cały ciężar armii sowieckiej. Dzisiaj — tłumaczył Chruszczow Mićunovićowi — Żukow pomógł mnie, a komu pomoże jutro?...

Sens szczegółowego opisu dwóch przewrotów w Moskwie, których jugosłowiański pośel był świadkiem, staje się jasny w krótkim rozdziale — gdzie Mićunović pisze już nie jako świadek, a jako historyk — o trzecim przewrocie, o obaleniu Chruszczowa. Zauważa po pierwsze, że technika obalenia Chruszczowa była taka sama jak ta, którą zastosowano do obalenia Żukowa. I zauważa ponadto, że po każdym z tych przewrotów z referatem na Plenum KC występował zawsze z podsumowaniem i wnioskami ten sam Michaił Susłow, depozytariusz stalinowskiego ducha i stalinowskiego spadku.

Wątpliwe, czy można zwykłym przypadkiem tłumaczyć, że Order Zwycięstwa wręczył Breżniewowi właśnie Michaił Susłow — sekretarz KC od 1947 roku.

Adam KRUCZEK

„Kontinent” i jego krytycy

W *Frankfurter Allgemeine Zeitung* z 17 grudnia ub. roku ukazał się bardzo powierzchowny i niesprawiedliwy artykuł krytyczny Andreea Razumowskiego o *Kontynencie*. Główny zarzut Razumowskiego sprowadza się do „nietolerancyjności” kwartalnika rosyjskiego i „dyktatorskich metod” jego redaktora Maksimowa. Imieniem i w obronie *Kontynentu* wystąpili na łamach dziennika niemieckiego Maksimow, Niekrasow, Gorbaniewska i Bukowski. Krytyczną ocenę Razumowskiego poparli Siniawski i Amalrik.

W poprzednim numerze *Kultury* ogłosiliśmy list, jaki Maksimow otrzymał od Sacharowa z okazji trzylecia *Kontynentu*. Sacharow wyznaje otwarcie, że „nie zawsze podoba mu się” w piśmie to czy tamto, „nie zawsze zgadza się” z tym czy owym, „nie zawsze wydają mu się sprawiedliwe” takie czy inne sądy, aby w zakończeniu podsumować „główny dorobek tych trzech lat”: „*Kontinent* stał się najbardziej interesującym, najbardziej czytany w ZSSR ze wszystkich pism rosyjskich wychodzących na Zachodzie. Ukazanie się każdego numeru *Kontynentu* jest zawsze dla nas wydarzeniem, pociągającym za sobą spory i dyskusje. Takie podejście czytelników jest najlepszym dowodem żywotności i znaczenia pisma”. Każdy redaktor pisma wychodzącego od trzech zaledwie lat — wydawanego na emigracji, ale przeznaczonego głównie dla kraju — miałby pełne prawo być z tego listu dumny. Czytelnicy, dla których *nie zawsze* kolejny numer pisma jest przedmiotem zachwytów i przytakiwań lecz *zawsze* jest wydarzeniem, wystawiają mu dobre świadectwo. I trudno zaiste zrozumieć jak ta pochwała, przy równoczesnych naturalnych zastrzeżeniach, da się pogodzić z „nietolerancyjnością” i „dyktatorskimi metodami” redaktora, o których mowa w wystąpieniach krytyków *Kontynentu*. Zresztą także Siniawski, mimo zarzutów jakie stawia *Kontynentowi*, przyznaje że jest on pismem „dobrym a nawet najlepszym”. Więc? Czy przypadkiem krytycy *Kontynentu* nie przeocząją faktu, że jest on pismem redagowanym (raz lepiej, raz gorzej, jak wszystkie na świecie pisma), a nie sklecanym z numeru na numer almanachem?

Trzy osoby z *Kultury* wchodzi w skład międzynarodowego komitetu redakcyjnego *Kontynentu*. Nie znaczy to, rzecz jasna, że bierzemy udział w bieżących pracach redakcyjnych kwartalnika rosyjskiego. Ale nasze rady i sugestie są uważnie wysłuchiwane i najczęściej przyjmowane. I nie zdarzyło nam się, jak dotąd, nigdy spotkać z przejawami „nietolerancyjności” ze strony

redaktorów *Kontynentu* nawet w licznych drażliwych kwestiach jak np. problem ukraiński. W rozmowie z nimi, drukowanej w zeszłym roku w *Kulturze*, wspomnieliśmy m.in. o konieczności odzyskania Siniawskiego dla pisma. Wkrótce potem zostaliśmy powiadomieni, że Siniawskiemu zaofiarowano pięćdziesiąt stron w każdym numerze do własnego „zagospodarowania”, nie licząc jego utworów poza tym działem wyłączonym. Jeśli Siniawski woli mimo to wydawać własne pismo, nie można mu tego prawa odmówić, można jedynie (i należy) życzyć mu powodzenia w niełatwym na emigracji przedsięwzięciu. Można jednak (i też należy) wezwać krytyków *Kontynentu*, by przestali szkodzić nieuzasadnionymi pomówieniami pismu, którego rolę i znaczenie w Rosji Sacharow potrafi chyba lepiej ocenić od publicysty *Frankfurter Allgemeine Zeitung*.

Ukraina-60 lat po tragicznej niepodległości

To co się obecnie dzieje na Ukrainie ma charakter złożony. W warunkach permanentnego terroru, trwającego już od początku lat 70-tych i powszechnego zakłamania w oficjalnych środkach informacji, trudno przedstawić całościowy obraz rzeczywistości. Wiele faktów, zwłaszcza tych, które szczególnie wyraziście kompromitują system ucisku kolonialnego, ukrywa się starannie. Mało tego: urzędowa propaganda dba o stałą dezinformację społeczeństwa drogą prasy, radia i telewizji i poprzez system agitatorów, propagandystów i polit-informatorów — instytucji, która została dodatkowo utworzona pod władzą Breżniewa. Cała ta potężna armia ludzi żyjących z zawodu szerzenia urzędowego kłamstwa utrzymuje nie tylko własny naród w niewiedzy o tym co się dzieje u siebie, w innych republikach i za granicą, lecz przyczynia się też do zaciemnienia rzeczywistości w oczach obcych obserwatorów. Podwójny kamuflaż sprawia, że systematyczne wytrzebienie kultury z pierwiastków narodowych i obniżanie jej wartości — spychanie literatury i sztuki na stopień prymitywnego folkloru — staje się dla ludzi w tych sprawach niewyspecjalizowanych procesem niedostrzegalnym. Świadomie kulturowany prowincjonalizm i postępujący proces ograniczenia wymiany kulturalnej z zagranicą prowadzi do zaniku krytycznej oceny życia umysłowego we własnym kraju. Izolacja Ukrainy staje się coraz bardziej hermetyczna. Dotyczy to nie tylko związków z Zachodem, które właśnie w okresie „odprężenia” i po Hel-

sinkach uległy gwałtownemu ograniczeniu. Wyjazdy na konferencje, wystawy, festiwale, stypendia zepchnięto na nieistotny margines. Prezentację kultury i sztuki z zagranicy poddano ostrym sankcjom i niwelującej selekcji. Również w odniesieniu do krajów sąsiednich w Europie Wschodniej i Środkowej stosuje się politykę izolacji. Istnieje przy tym swoista gradacja. Najostrzejsze restrykcje wszelkich kontaktów w sferze kultury, sztuki i nauki panują w stosunkach Ukrainy z Polską, Węgrami i Rumunią. W nieznacznym stopniu toleruje się wymianę z Czechosłowacją i z Niemcami wschodnimi. Jedynie w kontaktach z Bułgarią pozostaje uczonym, pisarzom i artystom ukraińskich stosunkowo szerokie pole do działania, ale właśnie ten wyjątek ilustruje wymownie znaczenie zastosowanej metody celem sprowincjonalizowania życia umysłowego Ukrainy. Bo, nie ubliżając Bułgarii, wiadomo że nowymi wartościami kulturowymi specjalnie nie promieniuje, a w polityce — jako jedyny kraj w obrębie imperium moskiewskiego — odznacza się szczególną prawowiernością wobec Kremla i wciąż jeszcze głęboko zakorzenionym rusofilizmem. Todor Żiwkow sformułował niedawno swe credo polityczne dobitnie: „Z Moskwą łączy nas obecnie wspólne krążenie krwi, mamy to same serce, i oddychamy tymi samymi płucami”.

Następstwa takiego kursu obliczonego na degradację Ukrainy do form „małoruskich” z okresu carskiego widać już obecnie. Karłowacieje wszelka twórczość. Myśl polityczna kiełkuje jedynie w konspiracji, w kółkach samokształceniowych, prześladowanych i tropionych jak przed wiekiem, w coraz rzadszych „samowydawnictwach” i na zesłaniu, a więc w łagrach i więzieniach. Literatura i sztuka staczają się po równi pochyłej na poziom nudnej agitacji w prozie, wierszach i obrazach. Zaś system kulturalnej blokady prowadzi do zaniku skali porównawczej. Razem z tym idzie w parze tendencja do wyjąłowania substancji drogą wyciągania talentów z Ukrainy do Moskwy i Leningradu, gdzie władza centralna w imię swych ambicji stosuje inną marżę kryteriów. Dotyczy to pewnych wybranych sfer twórczości jak np. muzyki i dyscyplin naukowych. Ponętne oferty, wspierane często naciskami administracyjnymi, połączone z zamykaniem dróg do kariery w skali międzynarodowej, na skutek nasilenia represyjnej i jednocześnie restrykcyjnej polityki kulturalnej na Ukrainie, sprawiają, że w ostatnich latach nastąpił odpływ wybitnych indywidualności na Północ.

Drugim z kolei elementem kompleksowości współczesnej sytuacji Ukrainy jest wzmożona rusyfikacja. Intensyfikacja metod w tej dziedzinie różni się od okresu stalinowskiego przede wszystkim tym, że metody stały się bardziej przebiegłe. Polega to na dwóch zasadach konsekwentnego pochodu biurokracji rosyjskiej, jako siły napędowej i kontrolującej, bez triumfalnego ogłaszania rezultatów jej działalności oraz używania na niespotykaną dotąd skalę oportunistów ukraińskich do wykonywania programu rusyfikacyjnego. Ofensywa ta rozpętana została pod osłoną polityki

odprężeniowej, która dała Moskwie szansę na przyspieszenie tempa realizacji procesów asymilacyjnych wszelkimi dostępnymi środkami. Doświadczenia, jeśli idzie o reakcję zagranicy, przede wszystkim oficjalnej polityki państw zachodnich i w ogóle opinii publicznej świata zachodniego, musiały Moskwie nadać optymistycznie. Musiano dojść na Kremlu do wniosku, że Zachód jest co prawda bardzo czuły na to, co się dzieje w Afryce Południowej, ale sprawa odbierania całym narodom tożsamości narodowej, językowej i kulturowej w łonie wielonarodowościowego imperium Moskiewskiego jest mu zupełnie obojętna. Referując „Biennale protestu” w Wenecji publiczności ukraińskiej na Zachodzie, Leonid Pliuszcz wytknął organizatorom i uczestnikom tego spotkania, że tak kapitalna sprawa jak kwestia wynarodowienia, rusyfikacji i tępienia kultur nierosyjskich została podczas tej imprezy zarówno w obradach jak i na różnego rodzaju wystawach zupełnie pominięta. Dodajmy od siebie, że i tak zwani „eurokomuniści” unikają systematycznie najmniejszych choćby akcentów w tej sprawie. Jedynie pewna część najnowszej emigracji rosyjskiej zdobyła się na odwagę rewizji dotychczasowej strategii milczenia na ten temat, które charakteryzowało w przeważającej mierze stanowisko tzw. białej emigracji z wyjątkiem takich ludzi jak Sawinkow, Fiłosofow, Bierdiajew, Fedotow i Aleksinskij, lub następnej fali po drugiej wojnie światowej. Ale stało się to nie we wszystkich wypadkach z własnej woli i spontanicznie, lecz zazwyczaj pod niemałą presją emigracyjnej publicystyki ukraińskiej, polskiej, litewskiej. Mimo to, generalnie rzecz traktując, dochodzi do takich paradoksów historii, że nie Europejczycy i Amerykanie — którzy wyszli ze wspólnej nam cywilizacji — piętnują rusyfikację, lecz Chińczycy, którzy czynią to chyba nie tylko z pobudek humanitarnych w imię ratowania obcych im kultur i narodów.

Rusyfikacja w jej współczesnej odmianie to cały system rozmaitych mechanizmów, często nie sprzęgniętych z sobą instytucjonalnie, a mimo to obiektywnie działających w tym samym duchu i kierunku. Nie ma też jakiejś nadrzędnej, wyspecjalizowanej agendy partyjnej czy rządowej, która ustalałaby instrukcje i wykonywała kontrolę nad procedurą wykonawczą. Nie ma zresztą też żadnego organu który regulowałby istniejące lub dojrzewające konflikty narodowościowe. Jest to zjawisko absurdalne w warunkach państwa wielonarodowościowego, ale tkwi w tym wyrachowanie, gdyż tego rodzaju stan bezinstytucjonalny pozwala na wszelkiego rodzaju nadużycia i bezprawia. Popiera też kłamliwą tezę o rzekomym równouprawnieniu i o niby to niekonfliktowym charakterze federacyjnego związku narodów i republik sowieckich. Kamuflażowi służy wreszcie „konstytucyjnie” zagwarantowane prawo równości i dobrowolności układu związkowego włącznie z przepisami o możliwości secesji czyli wystąpienia z federacji.

Nieśmiałe próby ukrócenia centralizmu i szowinizmu rosyjskiego w okresie destalinizacji po XX-tym Zjeździe ustąpiły

w kadencji rządów Breżniewa-Susłowa nowej i wzmożonej nawałe rusyfikacji. Wszystkie opory w republikach nierosyjskich zostały brutalnie zmiążdżone. Na czołowe pozycje w aparatach partyjnych i rządowych wysunięto ludzi jak najściślej związanych z kliką sekretarza generalnego, ludzi bez twarzy i nazwiska. Nie oni rządzą republikami, lecz ich zastępcy, którzy z reguły są narodowości rosyjskiej. Ci sekretarze są właściwą transmisją dla realizacji postanowień rusyfikacyjnych władzy centralnej. Pomaga im w tym liczna grupa rosyjskich biurokratów, zajmująca za plecami autochtonicznego aparatu kluczowe stanowiska dyspozycyjno-kontrolujące. Znaleźć ich można we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Doniosłą funkcję pomocniczą odgrywa w tym kontekście rosyjska mniejszość narodowa na Ukrainie. Polakom zjawiska te są mało znane, gdyż skupisko Rosjan w „Kraju Prywisłańskim” po powstaniu styczniowym nie dało im się tak w znaki jak koloniści rosyjscy na Ukrainie od czasów carycy Katarzyny.

Stosunek tej grupy ludnościowej wobec narodu, kultury i języka Ukrainy jest podobny do stanowiska jakie zajmowali Francuzi w Algierze dopóki nie runął kolonializm francuski i nie wyrzucono kolonów po stuletnim pobycie w tamtych stronach. Ale w Rosji będzie trzeba chyba jeszcze długo na to czekać, aby władza moskiewska z własnej woli przystąpiła do likwidacji następstw kolonializmu. A do tego czasu kwestia Rosjan na Ukrainie będzie należała do najtrudniejszych problemów, obciążających rozwój i układ stosunków rosyjsko-ukraińskich. Na razie wyspy rosyjskie w ukraińskim morzu stanowią główny instrument rusyfikacji. Pyszałkowatość i arogancja wobec elementarnych postulatów narodowych ukraińskich wykopały pomiędzy tą mniejszością a narodem ukraińskim przepaść, przez którą trudno będzie przeskoczyć bez katastrofalnych skutków dla jednej i drugiej strony.

Ważnym instrumentem polityki rusyfikacyjnej jest armia. Jest ona dzisiaj główną chyba rzeczniczką bezkompromisowej walki o zruszczenie mas. Przedłużonym ramieniem o podobnym duchu reakcyjnym są wszelkiego rodzaju związki i towarzystwa kombatanckie, nadzór oficerów rezerwy nad patriotycznym, w istocie szowinistycznym, wychowaniem.

I wreszcie dalszym instrumentem rusyfikacji jest szkolnictwo i rosyjskie prawosławie. Wypieranie języka ukraińskiego ze szkolnictwa wszystkich typów i szczebli jest podstawową zasadą polityki wynarodowiania młodych pokoleń. Zakusy rusyfikatorów są tu najdokładniej przemyślane i drobiazgowo realizowane. Łączy się to z nagminnym fałszowaniem historii Ukrainy. Nauki historyczne znajdują się w stanie zupełnego upadku. Historię się przeinacza lub po prostu przemilcza. Na 60-lecie tragicznej niepodległości Ukraińskiej Republiki Ludowej fetowano rzekome narodziny władzy sowieckiej w Charkowie, w grudniu 1917 roku. Nawet fakt inwazji rosyjskiej i zniszczenia suwerenności państwa

wydaną w Paryżu książkę Adama Michnika *Kościół, Lewica, Dialog* (Instytut Literacki, Paryż, 1977). ■ Inna radiostacja *Deutschlandfunk*, również w Kolonii, nadała godzinną audycję dokumentalną Drozdzińskiego, poświęconą Januszowi Korczakowi. Słuchowisko nadane było z okazji *Tygodnia Braterstwa*. Zostało powtórzone przez rozgłośnie *Freies Berlin*.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Jednym z dysydentów przybyłych w ostatnich latach z Litwy jest dr praw Aleksander Stomas, b. kierownik laboratorium kryminalistyki i autor prac naukowych. W ramach „Dni Studiów”, zorganizowanych przez Litwinów w Londynie, wygłosił odczyt pt. „Światopoglądy na Litwie i wynikające z nich wizje przyszłości kraju”. Powiedział w skrócie co następuje: — „W czasie ostatniej wojny część inteligencji, proletariatu i mniejszości narodowych sympatyzowała z Sowietami, natomiast ogromna większość konserwatywna była nastawiona wrogo. Terror lat powojennych nie przysporzył Sowietom sympatyków. Aktywni przeciwnicy zaczęli stopniowo zdawać sobie sprawę, że opór jest beznadziejny i zbyt kosztowny. Włączyli się więc w najliczniejszy odłam, trzymający się taktyki przetrwania. Rząd z czasem zaczął opierać się na karierowiczach. 30-letnie rządy nie skomunizowały jednak mieszkańców Litwy. Obecny światopogląd można by określić następująco: dążenie do niepodległości w granicach etnograficznych z ustrojem odpowiadającym zaistniałym warunkom, w oparciu o tradycje narodowe i umożliwienie prywatnej i grupowej inicjatywy; nawiązanie ścisłych związków z Zachodem; eliminowanie rasyfikacyjnych i innych tendencji asymilacyjnych; przywrócenie wolności religii, twórczości itd. w ramach narodowo jednolitego społeczeństwa. — Odnosić taktyki na dzień dzisiejszy istnieje podział na: 1) konformistów, 2) konserwatystów i 3) aktywistów. Samospalenie Kallanty spowodowało rozdźwięk między tymi grupami. Aktywiści uważali to za historycznie doniosłe pobudzenie ruchu oporu, konserwatyści wolą nadal się nie wychylać i uprawiać pracę organiczną, obliczoną na przetrwanie. Niegodzenie się z istniejącym stanem rzeczy wytwarza odruchy negatywne: nienawiść, ksenofobię, supernacjonalizm itd., co często bywa podkładem do powstawania tendencji faszystowskich. — Jakże wpływają z tego wnioski dla emigracji? Nie należy mieszkańców Litwy identyfikować z komunizmem czy sowietyzmem, gdyż rządowa indoktrynacja całkowicie zawiodła. Uświadomienie polityczne jest bardzo słabe, można powiedzieć że pod tym względem istnieje *vacuum*. Zadaniem emigracji jest więc uświadamianie kraju wszelkimi dostępnymi środkami, jak kontakty osobiste, radio itp. — Nastawienie kraju jest bardzo nacjonalistyczne (co ma strony dodatnie), ale raczej instynktowne, co czasem przejawia się w sowiecko-niecywilizowanych formach. Emigracja nie może nic krajowi narzucać, powinna jednak wytworzyć koncepcje światopoglądowe w rozmaitych wariantach, według zasad pluralizmu, w formie sugestii i projektów, które, naturalnie, kraj może przyjąć lub odrzucić. Kraj bowiem przy braku informacji i obfitej dezinformacji, w sowieckich warunkach sam nie posiada danych do wypracowania koncep-

cji. Jest to akcja długofalowa, ale należy ją rozpocząć już teraz. — Ze streszczenia tego referatu w prasie litewskiej odnosi się wrażenie, że dr Stomas ogólnie daje do zrozumienia, że dążenie do zwartego narodowo społeczeństwa, ksenofobia itd. nie wrożą zgodnego współżycia nie tylko z Rosjanami, ale i z innymi mniejszościami narodowymi. ■ W związku z konferencją w Belgradzie litewska akcja prowadziła na różnych poziomach: na emigracji — memoriały Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy, łącznie z przedstawicielem ciągłości państwowej ministrem Łozoraitisem i litewskimi konsulami. W innych wypadkach wystąpienia były w imieniu grupy etnicznej wyborców, lub też współpracy z Organizacją Narodów Ujarzmionych, grupą współpracy narodów bałtyckich, Amnesty International, jak również w formie masowej demonstracji przed ambasadą sowiecką (24. 9. 77) w Waszyngtonie. Wystąpienia miały miejsce w USA, Anglii i Kanadzie, a memoriały zostały rozesłane do licznych rządów państw europejskich. Litwini brali też udział w kilku konferencjach międzynarodowych w sprawie obrony praw człowieka m.in. w maju 1977 roku w Niemczech i w USA. Litewskie organizacje katolickie i kobiece wystosowały apele do pokrewnych im organizacji w różnych krajach. Na Litwie natomiast działał nadal komitet nadzoru wykonania uchwał w Helsinkach nieco zdekompletowany, gdyż jeden z jego członków wyjechał do Ameryki, a inny został aresztowany. Prasa podziemna nadal dostarcza informacji, np. konferencji psychiatrów dostarczono dokładną recepturę lekarstw, którymi „leczy się” politycznych rzekomych wariatów. ■ Z wypowiedzi w prasie, które odzwierciedlają poglądy miarodajnych czynników litewskiej emigracji, godne podkreślenia są pewne nowe wytyczne. Np. należy przeciwstawiać się rasyfikacji Litwy, ale na wychodźstwie należy kontaktować się z Rosjanami, wypowiadającymi się za udzieleniem wolności ujarzmionym narodom i wskazywać im, że w przyszłości dla Rosji bardziej korzystnym będzie sąsiedztwo wolnej i nie zrusyfikowanej Litwy. Można spodziewać się, że pomiędzy wszystkimi czynnikami zwalczającymi ustrój komunistyczny w Sowietach, najdonioślejsza rola przypada rasyfikacji inteligencji. W tych zaleceniach o Polakach nie ma wzmianki, ale dość charakterystyczna jest lista zaprojektowanych, potrzebnych prac naukowych: 1) Granice Litwy, 2) Specjalnie granice na Wileńszczyźnie, 3) Problem Żydów na Litwie (w historii, specjalnie w czasie okupacji hitlerowskiej), 4) Problem trójkąta suwalskiego, jego litewskości itp. ■ W końcu listopada odbyło się w Chicago kilkudniowe sympozjum litewskiej twórczości i nauki, z udziałem 115 prelegentów i ponad tysiącem słuchaczy. Jest to już trzecie sympozjum organizowane łącznie przez instytut lituanistyki oraz związki litewskich lekarzy i inżynierów w Ameryce. Były referaty amerykańskiego sowietologa prof. Vardysa, dysydentów, poety T. Venclovy i przybyłego z Izraela pisarza, I. Merasa, niegdyś kowieńskiego reżysera Jarašasa i licznych Litwinów z USA i Kanady. Był też w programie odczyt prof. Ochmańskiego z Poznania, który jednak nie przybył. ■ W grudniu ub. roku na Florydzie zebrał się sejm emigracji litewskiej. Przybyło 36 delegatów 13-tu dawnych organizacji oporu, partii politycznych oraz reprezentacji terenowych (Kłajpeda i Wileńszczyzna). Sejm zaaprobował działalność Nacz. Komitetu Wyzwolenia Litwy (VLIK), współpracującego z szefem dyplomacji min. Łozoraitisem, który się włączył do akcji politycznej. Ze sprawozdania warto podkreślić, podpisanie paktu przyjaźni z Ukraińcami, uzyskanie zwiększenia personelu litewskiego w Radio Liberty, akcję w związku z konferencją w Belgradzie, oraz rozwinięcie akcji wydawniczej w języku angielskim informującej o Litwie. Stwierdzono słuszność zaleceń dr. Stomasa, że nadszedł czas, by wychodźstwo stało się aktywną siłą polityczną i odegrało konstruktywną rolę w rozwoju sytuacji politycznej w kraju. W obradach czynny udział brali ostatnio przybyli dysydenci. Zalecono współpracę z narodami

ujarzmionymi, a specjalnie z Łotyszami i Estończykami. Powołano komisję dla opracowania programu, z udziałem rzeczoznawców i przedstawicieli różnych kierunków, by w ten sposób pogłębić w społeczeństwie zasady demokratyczne.

E. ŻAGIELL

Kronika białoruska

W Mińsku rozpoczęto budowę pierwszej linii metro, która ma być zakończona w 1984 roku. ■ Jak podaje rocznik Międzynarodowej Encyklopedii Przemysłu Naftowego (1977 r.), produkcja ropy naftowej w BSSR w roku 1975 wyniosła 155 tysięcy beczek, o 20 tysięcy beczek mniej, niż zaplanowano. ■ W dniach 14-21 października ub. roku odbył się w Rzymie Zjazd Białoruskich Księży Katolickich na obezwanie, któremu przewodniczył ks. biskup Czesław Sipowicz, Wizytator Apostolski dla Białorusinów. Biskup Sipowicz mówił o tragicznej sytuacji religijnej w Kraju. Na dwa miliony katolików na Białorusi jest tam zaledwie 35 księży, z których większość to niedołążni starcy. Wprawdzie władze sowieckie zezwoliły na przyjęcie do Seminarium Duchownego w Rydze dwóch Białorusinów, ale to jest przecież kropla w morzu. Zjazd postanowił prosić Stolicę Apostolską o rychłe mianowanie dla Białorusi biskupa Białorusina. Papież nadał Zjazdowi telegram, w którym udzielił swego błogosławieństwa, a później przyjął na audiencji uczestników Zjazdu. ■ W 2-gim urzędowym tomie materiałów amerykańskiej Komisji do Spraw Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie zostało zamieszczone wspólne memorandum Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Jorku i Zjednoczenia Białorusko-Amerykańskiego o gwałceniu na Białorusi praw ludzkich, narodowych i religijnych. W memorandum są wymienione nazwiska 56-ciu osób przesładowanych. W tej samej publikacji zamieszczone jest memorandum Białoruskiego Komitetu Kongresowego Ameryki o pogwałceniu na Białorusi praw narodowych i religijnych. ■ Amerykański kongresman-demokrata Christopher Dodd ze stanu Connecticut zgłosił 18 listopada ub. roku w Izbie Reprezentantów wniosek (nr 382), by Stany Zjednoczone nawiązały bezpośrednie stosunki dyplomatyczne z Ukrainą i Białoruską SSR. ■ Według niedawno zawartej umowy odpowiedzialność za zbiór wydawnictw białoruskich w konsorcjum bibliotek amerykańskich uniwersytetów Columbia, Harvard, Yale i nowojorskiej Biblioteki Publicznej wzięła na siebie Biblioteka Publiczna, która posiada najbogatszą kolekcję wydawnictw białoruskich. ■ 7 grudnia ub. roku w Queens College w Nowym Jorku odbył się wieczór literacki białoruskiego sowieckiego poety młodszego pokolenia, Anatola Wiarcinskiego. Inicjatorem wieczoru był zastępca kierownika wydziału slawistyki prof. Thomas Bird.

Włodzimierz BRYLEWSKI

Kronika kulturalna

Misjonarz z Bożej Łaski

Ks. Wojciecha Sojkę poznałem przeszło dwadzieścia lat temu dzięki interwencji redaktora Giedroycia, który nadesłał mi list brazylijskiego czytelnika, oburzonego na mój artykuł w *Kulturze*. Reakcja czytelnika należała snąć do kategorii tzw. „szlachetnego oburzenia” gdyż przyniosła dobre owoce. Nawiązała się między nami współpraca, która z czasem przerodziła się w przyjaźń, obciążoną z mej strony nieuleczalnym podziwem. Spotęgowany jest on faktem, że ciągle jeszcze nie udało mi się zaklasyfikować jego trudno uchwytnej i wielostronnej osobowości.

Kim jest ks. Wojciech Sojka? Misjonarzem w egzotycznych krajach? Nauczycielem poliglotą? Dziennikarzem? Zapewnie tak, ale zarazem czymś o wiele więcej. Zdradza pasję do dokumentacji i „szperactwa”. Jest autorem szkiców poświęconych dziejom polskiego misjonarstwa za granicą. Wtajemniczeni podziwiają jego skuteczne metody pośredniczenia między Polonią, a autochtoniczną inteligencją środowisk naszej diaspory. Jako znawca i interpretator Polonii oraz komentator pastoralnej problematyki, ks. Sojka znany jest zarówno w kołach hierarchii kościelnej, jak i w redakcjach polskich pism. Wreszcie — jak tu nie zauważyć osobliwych cech jego charakteru: maniackiej wręcz skromności, poświęcenia się dla dobra polskiej diaspory, mniszej pokory wobec samemu sobie narzuconych obowiązków.

Ale przejdźmy do dat, miejsc i wydarzeń, gdyż one składają się na mozaikę ludzkiego życia.

Przygotowania do Dalekiej Drogi

Ks. Wojciech Sojka urodził się 3 kwietnia 1911 roku w wiosce Piekiełko pod Limanową. Bielatowicz relacjonuje, że był on najstarszym synem z ośmiorga dzieci Jana i Marianny Sojków, osiadłych na sześciu morgach ziemi obsianej owsem. Ojciec

łatał finanse domowe jako wioskowy krawiec-samouk. Po ukończeniu szkoły powszechnej w sąsiadującym Tymbarku, rodzice (za namową okolicznego kleru) uradzili wysłać zdolnego ucznia do gimnazjum klasycznego im. Jana Długosza w Nowym Sączu. Utrzymujący się z korepetycji uczeń przeniósł się po kilku latach do gimnazjum do Tarnowa, gdzie zdał w roku 1931 egzamin dojrzałości. Bielatowicz pisze w swoim *magnum opus* literackim, że Sojka: „... w ósmej klasie mówił po starorzymsku tak biegle, jak my wszyscy po tarnowsku... przebywanie w jego towarzystwie zawsze onieśmiało, Wojtek, nie wiadomo dlaczego, górował już wtedy nad nami wiedzą o życiu, tak samo jak swoją łaciną. Po maturze wstąpił na teologię. Został misjonarzem, lecz nie na koszt biskupi. Przez pracę i upór własny”.

(*Księżeczka*, str. 210-211).

Po odbyciu nowicjatu u Księża Misjonarzy w Wilnie, skierowany został na dalsze studia do Instytutu Teologicznego w Krakowie, gdzie w dniu 12 września 1937 roku otrzymał święcenia kapłańskie. Po niespełna dwuletniej zaprawie pastoralnej na parafiach w Krakowie, Zakopanem i w Warszawie, ks. Sojka zgłosił się na wyjazd na misje do Chin. W marcu 1939 wraz z dwoma konfratrami opuszcza na zawsze Polskę, aby po sześciotygodniowej podróży osiedlić się na placówce misyjnej w Shuntehfu, czterysta kilometrów na południe od Pekinu.

Po dwuletnich intensywnych studiach języka chińskiego, oraz historii i kultury tego kraju, rozpoczyna pracę w terenie, najpierw jako duszpasterz w chińskich parafiach misyjnych, potem jako profesor filozofii i Pisma Św. Ostatnie lata pobytu w Chinach wpływają mu na pracy wychowawczej w Seminarium diecezjalnym Ks. Misjonarzy w Shuntehfu, gdzie zajmuje stanowisko wicedyrektora szkoły, oraz wykłada łacinę i religię. Na tym stanowisku zaskoczyła go jesienią 1945 roku komunistyczna rewolucja. Los obszedł się jednak z ks. Sojką łaskawie: skończyło się na pobiciu podczas przesłuchiwań „Sądu Ludowego” oraz na czterdziestodniowym pobycie w więzieniu Chin Ludowych.

Drugi start

W listopadzie 1948 roku ks. Sojka uzyskuje zezwolenie na opuszczenie Chin i przenosi się na Filipiny, gdzie spędza półtora roku w miastach Cebú oraz Argao, ucząc łaciny oraz religii w *Colegio Imaculada*, i u hiszpańskich misionarzy w Seminarium *San Carlos*. Na filipińskich wyspach przychodzi się dla Ojca Wojciecha pierwszy rozdział jego wielkiej misyjnej przygody. Kończy się klęską: chińska placówka misyjna została zniszczona, jego plany młodzieńcze służenia chrześcijaństwu w tym kraju obróciły się w niwecz, kilkuletnia nauka trudnego języka okazała się zbyteczną, gdyż w przyszłości nie był mu więcej potrzebny.

Zawsze frapowała mnie brutalna racja Clausewitza, uważają-

cego wojnę za sprawczą przyczynę wszystkich rzeczy; *Krieg ist der Vater aller Dinge*. Kiedy w Chinach rozpałała się rewolucja, w zgłiszczach i krwi grzebiąc stary porządek rzeczy, w teatrze europejskim wojna kończyła się, stwarzając nowe zjawiska i problemy. Miliony ludzi znalazły się nagle w drodze, wracając do starej ojczyzny, bądź szukając po świecie nowej. Przed nobilitkami polskiego duchowieństwa na obczyźnie stanęły nowe duszpasterskie zadania: odbudowanie w krajach diaspory zorganizowanych form życia religijnego według polskich tradycji, budowa szkół, domów opieki społecznej, tworzenie organizacji religijnych, i katolickiej polskiej prasy.

Gdy przełożeni zaczęli myśleć o pracy misyjnej w Australii, do której napłynęła fala kilkudziesięciu tysięcy wychodźców polskich z europejskich obozów, ks. Sojka zgłasza się do pracy na tym terenie, i w kwietniu 1949 roku osiada w Sydney, w domu Księża Misjonarzy przy kościele św. Wincentego à Paulo, w dzielnicy Ashfield. Razem z konfratrami przybyłymi wcześniej, organizuje po obozach przejściowych duszpasterstwo, zbiera składki na „Dom Dziecka”, i współpracuje, jako autor i kolporter zarazem, z *Tygodnikiem Katolickim* od początku istnienia pisma.

Z powodów osobistych opuszcza po pięciu latach Australię, by udać się do Brazylii, i w marcu 1955 roku osiąść w domu macierzystym Księża Misjonarzy w Kurytybie. Głównym zajęciem ks. Wojciecha na nowym terenie było nauczanie łaciny i greki w Seminarium Księża Misjonarzy w Kurytybie; przez jakiś czas był proboszczem parafii Contenda, wreszcie w latach 1957-1958 redagował tygodnik Polonii brazylijskiej *Lud*. Jako niewygodny dla przełożonych opozycjonista wobec władz Polski Ludowej (komunizm miał jeszcze w świeżej pamięci z Chin) zastąpiony został na stanowisku redaktora przez przybyłego z Polski misjonarza, co oczywiście nie poprawiło wzajemnych stosunków między zakonnikami, a kierownictwem placówki misyjnej, zezującej na Warszawę.

Na Ziemi Waszyngtona

Rozczarowany przeżytym doświadczeniem ks. Sojka opuścił Brazylię na dobre, przenosząc się za zgodą przełożonych do Stanów Zjednoczonych, gdzie wylądował 13 kwietnia 1960 roku. Rozpoczął pracę duszpasterską w Derby, Conn. jako asystent proboszcza tamtejszej parafii misyjnej, jednak po krótkim czasie, władze, zorientowawszy się w możliwościach przybyśza, zatrudniły ks. Sojkę w Seminarium św. Jana Kantego w Erie, Pa., w charakterze profesora łaciny, oraz języka niemieckiego i francuskiego. Z biegiem czasu do obowiązków szkolnych doszło redagowanie miesięcznika religijnego *Skarb Rodziny*. Lata 1968-70 to czasy asystentury przy wielkiej parafii św. Stanisława Kostki w Brooklynie, skąd odwołany zostaje z powrotem do zajęć szkolnych do Erie.

Podupadłszy na zdrowiu, przechodzi ks. Sojka w roku 1973 na nieoficjalną emeryturę, która daleka jest od zasłużonego odpoczynku. Spełnia nadal obowiązki duszpasterskie, zastępując schorowanych lub wczasujących konfratrów w parafiach misyjnych stanów Pensylwanii i Nowego Jorku.

W jaki sposób, i skąd bierze czas i siły, na pisanie do prasy i do licznych przyjaciół, na opiekowanie się projektami innych ludzi, i na współpracę z instytucjami — pozostanie jego tajemnicą.

Posłannictwo

Myślę, że częściowego wyjaśnienia tajemnicy szukać należy w postawie życiowej ks. Sojki, którą kształtowały w równej mierze: galicyjskie biedne dzieciństwo i młodość, przeżywane w cieniu wojny światowej, jak i wczesne zrozumienie niełatwej prawdy, że w życiu należy stawiać sobie zawczasu cele, i realizować je własną usilną pracą. Nietęgie od dzieciństwa zdrowie nieraz zamieniało mu rolę aktora na rolę widza. Lecz jako spektator, mimo wzroku zepsutego ślęczeniem nad księgami klasyków, obserwował życie bystro i wyciągał z obserwacji właściwe wnioski.

Księdzem został chyba z potrzeby czuwania nad losem bliźnich. Fakt, że do powołania kapłańskiego, już z własnej woli, dodał brzemień zawodu misjonarza, tezę tę potwierdza, i świadczy że obowiązek traktował jako posłannictwo. Zakonne *missio* brał dosłownie, i stosował je w życiu na różnych platformach swej działalności. Jedną z nich jest *dziennikarstwo*, które uprawia *con amore*, aczkolwiek były w jego życiu okresy zawodowego i fachowego redagowania pism, jak to miało miejsce z tygodnikiem *Lud* (Kurytyba, 1957-58), oraz ze *Skarbem Rodziny* (1961-64), miesięcznikiem dla rodzin katolickich z półwiekową tradycją. Ks. Sojka pisywał do kilkunastu pism emigracyjnych, takich jak: *Duszpasterz Polski Zagranicą*, *Gazeta Niedzielną*, *Głos Polski-Prąd*, *Gwiazda Polarna*, *Horyzonty*, *Kultura*, *Lud*, *Migrant Echo*, *Przemiany*, *Skarb Rodziny*, *Tygodnik Katolicki*, *Wiadomości*, oraz *Życie*. Do dziś dnia współpracuje stale z paryską *Kulturą*, *Gwiazdą Polarną*, *Migrant Echo* oraz z *Duszpasterzem*.

O czym, i jak pisał? Tematyka dziennikarska ks. Sojki jest funkcją jego działalności misyjnej, dotyczy socjologii i dziejów tych środowisk polskiego rozproszenia, które zna z autopsji. Jako przykład służyć mogą świetne reportaże sytuacyjne ogłaszane w *Kulturze*, a więc: *Uzupelnienia i uściślenia* (Nr 302, 1971), *Nowa i stara emigracja* (Nr 320, 1974), *Parafie polskie w USA* (Nr 326, 1974), a przede wszystkim, wzorowa jako ujęcie tematu, *Amerykańska Częstochowa* (Nr 333, 1975). Do tej samej kategorii należą jego analizy pastoralno-socjologiczne ogłaszane w *Duszpasterzu*.

Inny rodzaj dziennikarstwa ks. Sojki polega na popularyzacji tematów egzotycznych, głównie w zakresie dziejów i kultury Chin,

którą uprawia z powodzeniem głównie na szpaltach *Gwiazdy Polarnej*, a także w *Kulturze* (*Sinologia*, Nr. 226, 268-9, 270), i tu jest unikatem wśród piszących na emigracji. Omawia również książki, daje obszernie przeglądy prasy, oraz wiele pisze na tematy osiągnięć niektórych osób, jak Colemanowie, J. Kowalik, J. Wójcik, i inni. Nie można pominąć też jego częstych „Listów do Redakcji” w wielu pismach, które w odróżnieniu od innych tego typu elukubracji, nie są ani „osobistą wycieczką” ani popisem erudycji, lecz spokojnym i rzeczowym naświetleniem faktów czy problemów, znanych mu z racji uczestnictwa. Drukowane petitem, obejmują nieraz kilka stron, i właściwie są artykułami o ściśle określonej tematyce.

Pisarstwo ks. Sojki utrzymane jest w stylu prostym; długoletni profesor łaciny i greki, zna wartość słowa, organicznie nie znosi wodolejstwa i pustostłowa. Pisze *pod rozsądek* raczej niż pod uczucie czytelnika; wyszkolony i zdolny popularyzator, chce by go rozumiały jak najszerze warstwy czytelników.

Klasyfikacja pisarstwa ks. Sojki pod względem ilościowym jest zadaniem ponad siły, gdyż nie tylko nie prowadzi on bibliografii swoich prac, ale często nawet nie podpisuje własnych artykułów, lub ukrywa je pod pseudonimami. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że dorobek na tym polu wynosi setki pozycji.

Dokumentacja

Było do przewidzenia, że człowiek, którym rewolucje i wojny rzucały po wszystkich kontynentach, prędzej czy później odczuje potrzebę utrwalenia śladów wydarzeń, prac i przeżyć, których zarówno on sam, jak i jego zakon był uczestnikiem. Daje to początek nowemu zaangażowaniu. Ks. Sojka zaczyna szperać po archiwach i bibliotekach, i pisać przyczynki do dziejów misjonarstwa polskiego za granicą, pola leżącego właściwie odłogiem. Zaczyna biograficznymi przyczynkami w rodzaju *Kilka słów o pierwszej polskiej placówce misyjnej w Chuntehfu w Chinach* (Erie, 1964), lub *Ks. Marcin Możejewski i jego „Pamiętnik Misjonarza, 1893-1947”* (Kurytyba, 1966), lecz wkrótce przechodzi do systematycznych badań nad misjami polskimi w Południowej Ameryce, czego owocem jest pionierski traktat *Początki duszpasterstwa polskiego w Brazylii*, ogłoszony odcinkami w *Duszpasterzu Polskim Zagranicą* w latach 1960-61 oraz 1967. Do tematów brazylijskich wraca później jeszcze raz, ogłaszając w roku 1973 na łamach *Migrant Echo* szereg artykułów: 1) *Poszli w świat bez księży*; 2) *Kolonie i kapelanie 1891-1903 w Brazylii*; 3) *Jeszcze o początkach duszpasterstwa polskiego w Brazylii*; 4) *Na marginesie artykułów o duszpasterstwie polskim w Brazylii*; oraz *Początki duszpasterstwa polskiego w Paranie* (1972). Ostatnio wyśiłki swoje skierował na teren Australii, wynikiem czego nowa

praca pod tytułem *Polscy misjonarze w Australii, 1949-1961* (*Migrant Echo* Nr. 1-2, 1976).

Szkice do dziejów misji polskich ogłoszone przez ks. Sojkę, stanowią tylko jedną stronę zainteresowań, określonych tutaj z grubsza mianem dokumentacji. Nie byłby on sobą, gdyby swoich zainteresowań intelektualnych nie uzupełniał, czy jak kto chce, potwierdzał, swoistym pragmatyzmem. Będąc np. w Kurytybie uważał za swój obowiązek uporządkowanie i zreorganizowanie zakonnych archiwów. Zestawił też kompletną listę redaktorów *Ludu*, i opracował bibliografię polskiej prasy w Brazylii wychodzącej po roku 1939. Odpowiada na dziesiątki kwerend pracowników naukowych, także krajowych, podaje źródła bibliograficzne, wyszukuje żądane książki, i przesyła je zainteresowanym osobom. Zbiera po parafiach na zagładę skazane czasopisma, i własnym kosztem przesyła je właściwym użytkownikom. Niewymierną zgoła zasługą Ojca Wojciecha jest jego przeszło dwudziestoletnia, bezinteresowna współpraca z założonym przez Kowalika archiwum prasowo-bibliograficznym. Jego pomoc przy nawiązywaniu kontaktów, gromadzeniu materiałów, sprawdzaniu metryk bibliograficznych, przyczyniła się w wydatnym stopniu do realizacji wszystkich bez wyjątku projektów wydawniczych tej prywatnej instytucji.



Grubymi kreskami, na tle perspektywy naszego czasu, próbowałem naszkicować postać ks. Wojciecha Sojki, uwypuklając niektóre aspekty jego działalności wśród emigracji. Niewiele tu mowy o samym człowieku — *als solchen* — jakby powiedział mędrzec z Królewca.

Ale jak tu pisać o kimś, kto z Nowego Jorku wysyła do chorego Polaka, leżącego w dżungli brazylijskiej, paczuszkę z „Książeczką” Bielatowicza, z dołączoną prośbą-zachętą, żeby pisał, bo ma talent! A ten chory: Henryk Przyborowski, usłuchał i napisał *Raport Karny*.

A jak się to stało że australijska autorka książki o Strzeleckim, dedykuje swoją pracę „To Father Wojciech Sojka”?

A któż to na wzgórzu Cherry Hill w Cheshire puka do drzwi ubożego mieszkania, przez Polonię opuszczzonej, i właśnie owdziałej pani Coleman, ze słowami pociechy?

No i ten rozmokły dzień w Erie na lotnisku, i jego słowa: „Niech Pan się nie obraża, ale... oto bilet do Nowego Jorku. Będzie Pan tam za dobrą godzinę, zamiast tłuc się dzień i noc autobusem”.

Jak tu pisać o Człowieku, który posiadał kamień mądrości: „Samemu stojąc w cieniu uśmiechać się przez grube szkła okularów do oziminy która wschodzi w ludzkich sercach”.

Jan KOWALIK

Tłumacz „Archipelagu” - Michał Kaniowski

(Z okazji zakończenia polskiego wydania „Archipelagu GUŁag”)

— Polskie wydanie „Archipelagu GUŁag” zbliża się wreszcie do szczęśliwego końca. Trudno przecenić znaczenie tego faktu. Na prorocтва i pochopnie wywindowane oceny jesteśmy na ogół usztynieni, ale tym razem można zaryzykować stwierdzenie, że mamy do czynienia z jedną z Głównych Ksiąg naszych czasów. Taką, od której czasów tych porządek trochę się zakłócił — i na całe nasze, wspólne, szczęście. Trochę trudniej jest niekomunistycznemu światu dziś, w epoce sołżenicynowskiej, udawać, że nie ma powodu do niepokoju. Wstrząs poszedł głęboko, jego echa ciągle się przewalają, raz po raz czyjaś „lewicowość” zachodnia wali się z trzaskiem, *coram publico*. Ileż to było demaskatorów, całe kohorty, ale dopiero ten głos na dobre zachwiał murami bolszewickiego Jerycha, bo przebił najpierw najgrubszy z murów — obojętność ludzi wolnych. Zresztą powiedziano już o tym dostatecznie dużo.

Kto miał to szczęście, że znajomość rosyjskiego — jeśli nawet niekoniecznie w szczęśliwych okolicznościach nabyta — pozwoliła mu posmakować oryginału, ten mógł ocenić wcześniej pisarską klasę tego dzieła. Ale też i trudności, przed jakimi stawiało ono tłumacza. Sołżenicyn jest wielkością z wielu względów, ale jako pisarz w sensie ścisłym bywa nierówny. Jak dotąd najwyższą literacką klasę ma „Jeden dzień Iwana Denisowicza” i „Zagroda Matrony”; zwłaszcza w pierwszym utworze poraża nas nie tylko obraz, ale i sposób w jaki został skonstruowany, we wszystkich szczegółach. W innych utworach są świetne partie, czujemy rozmach koncepcji, ale siła prawdy i pasji działa bardziej niż siła literatury. Sołżenicyn jest znakomitym publicystą, pisarzem-oratorem i nie chce prawie nigdy tej części swojej osobowości ukrywać — z różnymi efektami. Jednak to co gdzie indziej mogło działać mniej korzystnie, w „Archipelagu” stało się siłą główną. Tu Sołżenicyn nie tylko że zrealizował ogromny czyn obywatelski, ale i sam wypowiedział się najpełniej. Jest to dzieło najwyższej klasy publicystycznej, będące zarazem właściwie nowym gatunkiem, bo korzystające również z ekspresji czysto literackiej. Pisarz robi tu z językiem rosyjskim rzeczy dawno niespotykane, bo język ten, będący oceanem nieprzebranych możliwości, właśnie w publicystyce został wyjątkowo dotkliwie i widocznie sflaszony, wywłaszczony, doprowadzony do

zupełnego upadku. Sołżenicyn budzi go z letargu, wyposaża w siłę wielkiej retoryki, w sarkazm, ironię, gniew, pasję; czyni wspaniale giętkim, ekspresyjnym, odnawia wszystkie jego utarte konwencje. Mamy tu tonację intymnych wyznań, która o pół zdania dalej przechodzi w akt oskarżenia, by zaraz potem stać się dokumentalnym postępowaniem dowodowym, przeskoczyć w refleksję, zaokrąglić się ludowym porzekadłem, wyostrzyć sztyderstwem. Wszystko jest razem, jednocześnie i po kolei, zgęszczone i naładowane do granic pojemności każdego kolejnego zdania; i każde z tych zdań jest oddzielną, stylistyczną jakością. Pisarz podjął największe możliwe ryzyko; straszliwy materiał książki narzucał, zdawałoby się, jedynie możliwą postawę — pokory, schowania się za zobiektywizowaną relację, zdania sprawy, która mówiłaby sama za siebie. Zdawałoby się że innego wyjścia być nie może. Tak właśnie, zresztą z doskonałym rezultatem, postąpiła Nałkowska w „Medalionach”: największa dyskrekcja, beznamietność, głęboko ukryte, humanistyczne osłupienie faktem, że „ludzie ludziom zgotowali ten los”. Sołżenicyn postąpił najpełniej odwrotnie; jest obecny wszędzie, od początku do końca, ze swoim losem, swoim przeżywaniem, swoim widzeniem i komentarzem, staje się Wielkim Konferansjerem (takie określenie brzmi prawie bluźnierczo, ale lepszego nie znajduję) najbardziej ponurego widowiska, jakie mogło zostać przedstawione ludziom. Dodaje całego siebie do tego co mówi, i mnoży to co mówi o sobie, przy czym robi to z całkowitą swobodą człowieka spełniającego powołanie, realizującego dzieło życia — i w całym ogromie tej nieustannej, wielosetstronicowej obecności nie popełnia ani jednego nietaktu, nie wydaje się nigdy natrętny!

Ale przetłumaczyć to — piekielne zadanie!

Proszę się tylko wsłuchać:

„Pociąg ruszy — i setka stłoczonych losów aresztanckich, setka udręczonych serc — pomknie tymi samymi krętymi torami, w ślad za tym samym dymkiem, wzdłuż tych samych pól, słupów i stogów, mijając je nawet kilka sekund przed wami, ale w powietrzu za szybami wazych wagonów nikszy jeszcze ślad zostawi nieszczęście, które właśnie przemknęło, niż palec, co musnął wodę. I biorąc udział w tak dobrze znanym, zawsze jednakowym, życiu pociągu dalekobieżnego — z bielizną pościelową w specjalnej paczce, z herbatą, roznoszoną w szklankach z uchwytyami — czy jesteście w stanie pojąć jaka czarna, napięta zgroza przemknęła trzy sekundy przed wami przez ten sam odcinek euklidesowej przestrzeni” (str. 446).

Dwa zdania, jedno z wielu, mała próbka z pierwszego tomu; otóż właśnie wszystko jest tak pisane; rozkołysane, skondensowane, retoryczne, metaforyczne, liryczne, wielopłaszczyznowe — jednocześnie. Mało tu zrobić to, co w przekładzie z rosyjskiego zrobione być zawsze musi: rozmontować składnię, i złożyć ją na nowo według norm polskich, bo pozorna bliskość rosyj-

skiego jest zdradziecka, wystarczy tylko jej zawierzyć i coś powtórzyć tak samo, a polszczyzna zazgrzyta i skoślawi się. Trzeba tu wszystko odsłuchać wewnętrznym słuchem, wyważyć i skorygować, i musi to być, jak z tą dźwignią, o której pisał Babel, że „ma się grzać w dłoni”, i „użyć jej trzeba raz tylko a nie dwa”, bo to właśnie odróżnia przekład zły od dobrego. Trzeba złapać wewnętrzną melodię zdania w jej kapryśnym przebiegu; z konkretami, z porównaniami, z metaforami, ale i z realiami (pociąg, dawniej rosyjski, dziś sowiecki ma swoją specyfikę). W następnych zdaniach dojdą jeszcze specyficzne zwroty, cały slang obozowy, dla którego, i słusznie, przyjdzie szukać odpowiedników w żargonie złodziejskim, ale i w gwarze konspiratorów i „politycznych”, a wszystkiego tego będzie za mało i konieczne będzie ryzyko wynalazczości. Dojdzie poezja, cytaty z piosenek, przysłowia, porzekadła i całe partie pisane czymś w rodzaju prozy poetyckiej, i nowe metafory, z tytułową, wielką — archipelagu — odmienianą przez Sołżenicyna niesłychanie pomysłowo w coraz nowych wykładniach; i parodie języka oficjalnego odwołujące się sarkastycznie do skojarzeń dla sowieckich obywateli automatycznych, ale w przekładzie wymagających odpowiedników... To tylko trochę spraw, które ciągną się i piętrzą przez te całe trzy tomy; trzeba by tu postawić jeden z najwyższych współczynników trudności.

Dobrze, że trafiło to w godne ręce, bo spaskudzenie tej własnie książki złym przekładem byłoby wyjątkowo bolesne. Michał Kaniowski sprostał sprawie z honorem, i mam nadzieję, że obaj z nim dożyjemy jeszcze chwili, kiedy polski PEN-Club wręczy mu za to dzieło nagrodę, a młodzi adepci fachu translatorskiego będą na seminariach rozkręcaли tę gigantyczną maszynę i dziwili się kunsztowności jej śrubek i trybików.

Nie można tu użyć wytarnego zwrotu, że „czyta się to tak, jakby było napisane po polsku”, bo się nie czyta, ale też, o czym już była mowa, i po rosyjsku jest to napisane zupełnie inaczej, niż się pisało przez dziesięciolecie; reweluje nowe możliwości. Przeznaczeniem tej Głównej Księgi jest być odbieraną nie tak jak książki inne, i w każdy język musi się ona włamywać, jak przybysz z innego świata. Ale tłumacz zrobił co mógł, i zrobił dobrze, żeby wszystko zostało osadzone w polszczyźnie. Wykazał maksimum inwencji w poszukiwaniu i tworzeniu odpowiedników, zachowując przy tym właściwy dystans do tekstu, bez niewolniczej uległości, ale i bez przesadnego woluntaryzmu — środkiem, wyznaczanym ostatecznie przez duch i dobro polskiego języka i polskiego czytelnika. Problemów szczegółowych miał co niemiara. W takim wypadku bezapelacyjnie przekonywująco rozstrzygnąć wszystkiego po prostu nie sposób; są miejsca które pobudzają do zastanowienia (a może by inaczej?...), czasem i do ukrytej polemiki, ale większość sprawdzeń, ile by ich przeprowadzić, ugruntowuje najbardziej nieufnego i niewiernego Tomaszę w przekonaniu, że Kaniowski ma rację. Wie — na czym tłumacze z rosyjskiego potykają się często — kiedy zostawić

formę „wy” a kiedy przejść na „pan”, lub, jeśli trzeba, na „ty”. Umie znaleźć w naszym — trochę mniej przecież nasyconym brutalnością historii — języku kilkanaście synonimów rozstrzelania: pacnąć, rozmiąć na drobne, rozwalić, załatwić, zlikwidować, itp., itd. Wie ile różnych znaczeń, w zależności od kontekstu może mieć proste rosyjskie „dieło”. Czuje żywe pulsowanie dzisiejszego języka, i niech sobie puryści kręć nosami, niech nawet tok wywodu będzie nieco stylistycznie podcięty, a babłowska dźwignia — przekręcona jeszcze o ułamek obrotu — ale Sołżenicyn postępuje z własnym językiem podobnie — toteż, po namyśle zgadzam się i na „przerób” (*pomol*), i na „bez pudła” (*biez promacha*), i na „dać wink” (*namieknut*). Tłumacz musi też być śmiałym wyalazcą; wprowadzi „rewizjologię” (*nauka obyskow*), i trafnie odnowi stary zwrot „na przytarcie rogów” (jako odpowiednik gwarowego „na roga”); „predielszczyka” spolszczy na „bałwochwałcę”, „okołokadietskij”, zgodnie z duchem popularnych obecnie form językowych nazwie „kadetopodobnym”. A czasem wewnętrzny słuch podpowie mu, że nie trzeba się uganiać za spolszczaniem wszystkiego, i dać niektóre słowa tak jak brzmią po rosyjsku, np. „ostrog”, którego brzmienie Sołżenicyn specjalnie ogrywa; albo „zona”, budząca zresztą wątpliwości, podobnie jak parę takich pojedynczych przypadków — ale rzecz w tym, że pewien nałot rosyjskiej dosłowności jest niezbędny bo stwarza on koloryt lokalny tego przekłętogo świata (podobnie w „Wojnie i pokoju” są całe partie napisane po francusku, i takimi muszą pozostać), i tłumacz musi się tu wyliczyć *en bloc*, z pewnej całości.

Gdyby ktokolwiek (bodaj były takie głosy) chciał w imię puryzmu językowego zgłaszać do Kaniowskiego pretensje, że poczyna sobie zbyt śmiało czy zbyt fantazyjnie, to gotów go jestem bronić na każdej polemicznie udeptanej ziemi, bo fantazję translatorską trzeba w ogóle wielokrotnie kiełznać, pamiętając o cnotcie skromności wobec oryginału — ale właśnie ten tekst, tak jak jest napisany, zmusza do zuchwałości; albo starosta — albo kapucyn; rozbieg, przytup i wybiecie w przestrzeń językową musi być jak należy, bo inaczej nastąpiłaby żalosna szamotanina i utonięcie w tym bezmiarze z kretesem. A źle czytelnym po polsku „Archipelag” byłby gorzej niż skandalem; wielką szkodą społeczną.

Kaniowskiemu należy się za ten trud tytuł TRANSLATOR MAXIMA CUM LAUDE. Co zaś do Instytutu Literackiego, to — jako człowiek postronny, pisząc to nie podlegam posądzeniom o lizusostwo, i proszę Redakcję, żeby przesadną skromnością powodowana, przypadkiem tego zdania nie skreśliła — gdyby nawet nic więcej poza „Archipelagiem” nie wydał, to i tak zasłużyłby na pomnik, który mu się kiedyś niezawodnie w Polsce wystawi.

CZYTELNIK

MIŁOSZ LAUREATEM NAGRODY NEUSTADT

Czesław Miłosz został laureatem Międzynarodowej Nagrody Literackiej Neustadt na rok 1978. Nagroda ta, w wysokości \$ 10.000, przyznawana co dwa lata za wybitne osiągnięcia w dziedzinie poezji, prozy lub dramatu przez międzynarodowe jury zapraszane każdego roku w innym składzie przez Uniwersytet Oklahoma, jest — od czasu likwidacji Europejskiej Nagrody Wydawców (*Prix Formentor*), której ostatnim laureatem był Witold Gombrowicz — najwyższym po Noblu międzynarodowym odznaczeniem literackim.

Nagroda została ufundowana w 1969 roku przez rodzinę przemysłowców Neustadt w Stanie Oklahoma. I stąd jej nazwa. Nagrodą administruje Uniwersytet Oklahoma wraz z wydawanym przez tenże uniwersytet świetnym kwartalnikiem *World Literature Today*.

Poprzednimi laureatami Nagrody Neustadt byli: Giuseppe Ungaretti (1970), Gabriel Garcia Marquez (1972), Francis Ponge (1974) i poetka amerykańska Elizabeth Bishop (1976).

Nowość wydawnicza

Właśnie ukazał się

TOM 288 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

**ARCHIPELAG
GUŁAG**

Tom III

w przekładzie Michała KANIOWSKIEGO

Str. 544.

Cena F. 110,00.

Wołanie na puszczy

Po tej stronie

Jest początek marca, siedzę w Paryżu i piszę ten felieton. Jestem więc po tej stronie, czyli siedzę w tej chwili na drugim moim stołku: pisując bowiem i w kraju i za granicą staram się grać podwójną rolę, co mi zresztą wychodzi nawet niezależnie od mojej chęci, bo w kraju biorą mnie za opozycję i wewnętrzno-emigranta a znów na emigracji za podejrzanego „krajowca” i oportunistę. Tyle, że w kraju nie wiedzą, co myślą na emigracji a na emigracji nie wiedzą, co myślą w kraju. Słowem komedia omyłek, szkoła nieporozumień i obmowy „każdemu to, na czym mu mniej zależy”, ten świetny podtytuł powieści Adolfa Rudnickiego zawsze mi przychodzi do głowy, jako symbol życia. A także aforyzm Irzykowskiego: „Życie polega na tym, że nie można żyć”.

Za mój felieton o siedzeniu na dwóch stołkach (*Kultura* nr 7/8 z 1977) mocno mnie objechała w liście pewna Czytelniczka z Ameryki. Twierdzi ona, że sporą dla „krajowców” pogardą, że takich, siedzących na dwóch stołkach jest w Polsce dużo, ale przynajmniej głośno o tym nie mówią, nie chwala się. Czyli że Czytelniczka gromi mnie nie za to co robię, lecz za to, że o tym mówię: robić można, ale nazywać tego po imieniu nie można. Odpowiem zapytaniem z Norwida: „Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala, Czy ten, co o tym mówić nie pozwala?”.

A poza tym, Szanowna Czytelniczko, jeszcze nie rano, czyli „w każdej rzeczy końca patrzaj”. Polska ma dziś życie paradoksalne, podwójne, zamaskowane i każdy, kto chce w niej coś własnego robić, prowadzi swoją indywidualną grę, według własnych indywidualnych zasad. Inaczej gra Michnik, inaczej Turowicz, inaczej Bartelski, inaczej Kisiel, inaczej Biernowski, inaczej Machajek i tak dalej i dalej. Każde Boże Stworzenie chce się w polskiej Arce Noego przechować, nawet i pluskwa. Pisatem kiedyś, że życie jest jak chińska gra w mah-jonga: każdy z graczy w tajemnicy przed innymi zbiera sobie inny rodzaj kamieni

— jeden „wiatry”, drugi „charaktery”, trzeci „kolory”, czwarty „smoki”. Wymieniają między sobą te kamienie i frymarczą nimi, nie wiedząc wcale co kto zbiera i kto co już ma. Zaś kto pierwszy zbierze „pong” czyli pełny cykl, ten, niespodziewanie dla innych wygrywa. A więc — czekajmy do końca, ktoś tam wreszcie wygra a ktoś żałośnie przegra. Nie przegra tylko ten, co w ogóle nie gra, ale cóż to za życie bez brania udziału w grze, choćby wyimaginowanej?

Rozumiem zresztą, że PT Emigranci są uczuleni i nie lubią dosadnych określeń, ale, do diabła, my krajowcy też (albo i bardziej) mamy prawo być uczuleni i jak się człowiek znajdzie na Wolnym Zachodzie chciałby wreszcie otworzyć swój cenzurowany dotąd pysk i poszczekać sobie na całego. Tyle, że okazuje się, iż nie bardzo jest gdzie i na kogo szczeakać: w Polsce jest na kogo, ale szczeakać nie można, tu szczeakać można, ale nie wiadomo na kogo. Toć nie wiem nawet, kto czytuje *Kulturę* i jak ją odbiera, dlatego przyczepiłem się do konkretnej Czytelniczki, która dała mi żer. Bo szczeakać w próżnię, to byłby dla psa nader marny los. Pewien mój przyjaciel z Warszawy po miesięcznym pobycie na Zachodzie napisał mi: „Jesteśmy niewolnikami i ofiarami naszego systemu, ludzie Zachodu są wolni, ale dlatego muszą żyć w swoim systemie”. Ha, ha, ha! — A teraz wybierz sobie żonę! — jak powiedział Pan Bóg do Adama, stworzywszy Ewę. Co prawda tu, we Francji, teraz akurat sobie coś wybierają — tylko nie bardzo wiedzą co. Gombrowicz napisał kiedyś, że toczy się wielki mecz między Białymi a Czerwonymi z tym, że publiczność biała jest po stronie Czerwonych, a publiczność czerwona po stronie Białych. Ja bym jeszcze dodał, że ekipa Białych przebiera się częstokroć w trykocie czerwone i *vice versa*. No i kto się połapie w tym poplątaniu?

Wróćmy jednak do mojego Paryża, gdzie czuję się nie tyle na drugim stołku, lecz pomiędzy stołkami, które się nagle rozsunięły — na podłodze. Zaledwie wyjechawszy, z punktu przestałem rozumieć co się dzieje w Polsce, bynajmniej nie zaczynając rozumieć co się dzieje na Zachodzie. Od razu też straciłem umiejętność czytania krajowej prasy, a jest to umiejętność niepoślednia, specyficzna i trudna, której posiadaniem się chlubię. Prasy zachodniej natomiast, tak w Warszawie poszukiwanej, wcale mi się tu czytać nie chce: wydaje mi się to za łatwe, za prymitywne — mówią o wszystkim wprost, cóż to za sztuka? Dobrze jeszcze, jak przejrzę *France Soir*, a i to głównie dla horoskopu, żeby się dowiedzieć kiedy mi kto przyśle forszę. O duchowa mizerio!

Jeszcze gorzej z książkami. W Polsce rzucamy się namiętnie na każdą książkę, która cudem dojdzie do nas z Wolnego Rynkowego Świata, nieliczne egzemplarze *Kultury* czy *Zeszytów Historycznych* zaczytane są do cna, przechodząc z rąk do rąk. Tu obłożony jestem setkami i tysiącami książek, całe roczniki *Kultury* i *Zeszytów*, Sołżenicyn, Kołakowski, Miłosz *e tutti frutti*. I co powiecie? Ja tu nie mogę czytać! Kartkuję z roztargnieniem, przechodzi mi koło głowy, zaabsorbowany nagle uzmysło-

wioną dziwacznością **PODWOJNEGO SWIATA** nie jestem w stanie niczego zapamiętać, na niczym skupić uwagi. „I oślina pośród jada — z głodu padła”. W Warszawie bym chłonął jak Ewangelię, tu — ledwo zauważam. Tyle, że w Warszawie tego nie ma — a tu jest!

A wydane przez *Columbia University Press* po angielsku historyczno-dokumentalne książki Wacława Jędrzejewicza, np. o ambasadorach Łukasiewiczu i Lipskim! Toż skarby, za które młodzież w kraju dałaby nie wiem co. Nie jestem w stanie ich tutaj czytać, choć wiem, że niedługo w Warszawie będę do nich wył nadaremnie, jak pies do księżycy. A ze sobą ich nie wezmę, bo mi na lotnisku celnicy odbiorą. I zrób im dziecko!

Zaiste, przedziwna to sytuacja. Tutaj można pisać, ale o czytelnika trudno, a polskie sprawy mało są rozumiane, tam czeka mnóstwo chłonnych czytelników, którzy wszystko rozumieją, ale nie można pisać, czy raczej publikować, zaś tutejsze druki do Polski nie dochodzą. Tu każdy szczegół jest w prasie opisany i uwieczniony, tam miliardy ludzi na olbrzymich połaciach globu żyją bez prasy, wszystko przepada w niepamięci, bo „prasa” komunizmu gorsza jest od samego komunizmu i trzeba masochisty z perfidnie połamanym mózgiem (niżej podpisany), aby ją odcyfrowywać. A w ogóle czystym też masochizmem jest wybrać sobie zawód indywidualnego publicysty w kraju, gdzie tego akurat robić nie wolno. A więc powielacz, prymitywny powielacz jako ratunek w epoce genialnych maszyn drukarskich, wyrzucających na minutę tysiące egzemplarzy wielostronicowych gazet, które obojętny zachodni przechodzień rzuca, zmiąwszy po przejrzeniu, do „pubeli”?! Zaiste: każdy na tym świecie dostaje to, na czym mniej mu zależy! Co za umysł perfidny wymyślił to wszystko?!

Najbardziej mnie boli sprawa dokumentacji kultury. Z zawiścią, wściekłością, zgrzytaniem zębów czytam londyńskie *Wiadomości*, gdzie na luksusowym papierze w tasiemcowych wspomnieniach uwiecznione jest wszystko, co dotyczy inteligentkiej kultury Drugiej Rzeczypospolitej. Wyeksploatowano, wyciśnięto jak cytrynę wszelkie umiłowane legendy mojej przecież także przedwojennej Warszawki, legendę *Skamandra*, *Qui Pro Quo*, teatrów, Ziemiańskiej. Każde kichnięcie Szyfmana, każde zmarszczenie się Kadena odnotowano tam po wielekroć, z miłosną skrupulatnością. A co z Polską powojenną, o dziejach półtora raza dłuższych? Prawie nic — decyduje przypadek. Leopold Tyrmand usiłuje zapęłnić lukę swoim „pamiętnikiem”, czytam rzecz z przyjemnością, ale zdaję sobie sprawę, jak specjalna to lektura i jak trzeba dobrze znać Autora, aby uzyskać właściwą, nie skrzywioną perspektywę. Zaś wspomnienia Słonimskiego, nagrane przez p. Mieczysława roją się od błędów i egotycznych przeinaczeń, których pewno nikt nigdy nie sprostuje.

A w Polsce Ludowej? Po wielu latach walk, starań, przeredagowań ukazała się obgryziona ze wszystkich stron przez cenzurę książka Kazimierza Koźniewskiego „Historia co tydzień” (cz. II),

JEDYNA chyba u nas rzecz napisana przez kompetentnego świadka, zresztą specyficznym szyfrem, żargonem dla wtajemniczonych usiłująca uwiecznić wieloletnie perypetie kulturalne i łażące duchowe Borejszy, Eilego, Żółkiewskiego, Kuryłuka, Wyki, Kota, Ważyka, Andrzejewskiego, Brandysa, Putramenta, Gałczyńskiego, Osmańczyka, Stawara, Szewczyka i wielu innych. Powiecie, że to gorsi Polacy od Kadena, Szyfmana, Wierzyńskiego, Strońskiego, Wieniawy?! Nie jestem pewien: myślę, że trudniejsi, nieszczęśliwsi, bardziej skomplikowani i wieloznaczeni, mniej znani i opisani, ale na pewno autentyczni, powojenni, **NADWIŚLANSCY**. Nad Wisłą jest poważnie, bo trudno, perfidnie i ciemnowo. Gombrowicz napisał kiedyś, że może dzięki marksistowskiej łażni i wyżymacze mózgowej Polacy przestaną wreszcie być „dzieckiem podszyci”, przestaną być narodem Młodziaków. Myślę, że już przestali, że w całej swej masie przestali, co wcale nie oznacza, iż wypięknieli: cierpienie wcale nie uszlachetnia, to bujda — raczej degeneruje, przymus i zakłamanie nie upiększają. Trudną mają rolę ci nowi Polacy, trudną i niewdzięczną, a wcale przez świat nie hołubioną. Tym więcej trzeba im uwagi, tym więcej usiłuję o nich myśleć, leżąc chwilowo z obitym bokiem między dwoma rozsuniętymi nagle stołkami w Paryżu.

KISIEL

W majowym numerze *Kultury* ukaze się „Rozmowa: „Kisiel — Michnik”.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 280 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZIEMIA ULRO

Przedmowa ks. Józefa Sadzika

Str. 224.

Cena F.50,00

TOM 281 — WIKTOR WOROSZYLSKI

SERIA « BEZ CENZURY »

LITERATURA

Str. 180.

Cena F. 45,00.

Źródła i tama

Książki tak ambitne, o szerokim zakroju tematycznym, podejmujące zagadnienia podstawowe dla polskiego bytu narodowego, jak *Źródła niepodległości* Wojciecha Wasutyńskiego*, pojawiają się w naszej literaturze politycznej rozpaczliwie rzadko. Praca wybitnego publicysty zasługuje więc na staranną uwagę. Tym bardziej, że jest bodaj pierwszą po wojnie książką o takim zakresie, napisaną przez narodowego demokratę.

Wedle zapowiedzi autora zawiera ona analizę obecnego położenia Polski, oraz rozważania na temat możliwości odzyskania przez nią niepodległości, których punktem wyjścia jest spuścizna myślowa Romana Dmowskiego. Czy egzegeza tej spuścizny jest całkowicie zgodna z głoszonymi przez Dmowskiego poglądami oraz z „linią partyjną” Narodowej Demokracji — tym zajmować się nie będę. Książka Wasutyńskiego jest traktatem politycznym, zaadresowanym przede wszystkim do młodszych pokoleń — i jaką taką przede wszystkim trzeba ją rozpatrywać i oceniać.

Dla kogoś, kto na rzeczywistość polską patrzy z krajowej perspektywy, podejmowanie analizy tej rzeczywistości z punktu widzenia nieżyjącego od 40 lat polityka zdaje się przedsięwzięciem nieco dziwnym. Przywykliśmy co prawda do tego, że wszystkie nasze dzienne sprawy partyjne wykładawca potrafi załatwić cytatami z Marksa i Lenina — ale przywykliśmy również uważać takie postępowanie za funkcję narzuconego i sztucznego systemu, krępującego myśl ludzką w archaicznych schematach. Próby diagnoz, podejmowane przez marksistowskich rewizjonistów, dla tego małą zdobywają popularność, że wloką za sobą

* Wojciech Wasutyński, *Źródła niepodległości*, Londyn, 1977, Instytut Romana Dmowskiego.

ogon anachronicznych i skompromitowanych skojarzeń. Interpretowanie współczesności w kategoriach klasyków — jakichkolwiek klasyków — bywa brzydko nazywane talmudyzmem; posądzenie narodowego demokraty o talmudyzm traciłoby obelgą, ale trudno się temu skojarzeniu opędzić.

Mówiąc poważnie: emigracyjna myśl polityczna zastężyła niesety w ramach, w Polsce już całkiem przedawnionych. Książka Wasutyńskiego nie jest przypadkiem skrajnym, ale i tak drażni ciągłymi odniesieniami do Dmowskiego i Piłsudskiego (zwykle na zasadzie „cacy” i „be’); autor usiłuje dzisiejsze problemy i postawy ułożyć wedle historycznych i nieobowiązujących dziś wzorów, co wywołuje groteskowe zniekształcenia rzeczywistości i obniża wartość proponowanych treści ideowych.

Autor zapewnia, że jego nawiązanie do Dmowskiego nie jest „hagiograficzne” i przestrzega przed fetyszyzowaniem przywódców politycznych — ale jedynym przykładem fetyszyzacji i hagiografizmu, jaki wielokrotnie atakuje, jest kult Piłsudskiego, chociaż w pisanej przezeń książce kult Dmowskiego jest niebezpieczeństwem bliższym. Spłyca też swoją wartością książkę takimi wycieczkami, jak dogryzanie „niezłomnym” rzekomo emigracyjnym piłsudczykom, że po cichu handlują z reżymowymi firmami i wysyłają żony do Polski (str. 41-42) Surowy moralista powinien zaczynać od krytyki tego, co najbliższe; czyżby autor sądził, że brudna robota, jaką robili w Polsce po wojnie tacy b. narodowcy, jak Hrabyk, Moszczeński czy Reiff, była wymysłem emigracyjnych socjaldemokratów (por. str. 15)?

Wobec przerwania ciągłości niezależnych instytucji i stronictw politycznych w Polsce, wobec radykalnej zmiany warunków życia Polaków, lepiej stosować kolejność rozumowania odwrotną, niż u Wasutyńskiego: przeprowadzać analizy i szukać rozwiązań w kategoriach współczesnych, a dopiero potem stwierdzać na ile wyniki zgodne są z tym, co mogą sugerować myśli polityków i programy partyjne sprzed półwiecza lub dawniej. Wielbiciel Dmowskiego jest przy tym w sytuacji trudniejszej, niż wielbiciel Piłsudskiego, bo ich spuścizna ma odmienny charakter. Dmowski zostawił wypracowane, szczegółowe programy polityczne — Piłsudski wielkie wizje; Dmowski wyciągał wnioski z polskich słabości i ulegał ich kompleksom — Piłsudski mitologizował się; Dmowski formułował zasady, które łatwo degenerowały się w kołtuństwo — Piłsudski rzucał olśniewające idee, które degenerowały się w tromtadrację. Dlatego kult Piłsudskiego wyrażać się może w samych postawach: niepodległościowej, bezkompromisowej, romantycznej; kult Dmowskiego łączy się z określonymi teoriami, jest więc znacznie bardziej podatny na anachronizm.

Przedstawione w książce poglądy Dmowskiego są, z niewielu

wyjatkami, uznawane za godne podtrzymania i dzisiaj. Przede wszystkim nacjonalizm. Szkoda więc, że autor tak pobieżnie traktuje jego genezę. Opowiada, że w roku 1890 Dmowski przeciwstawił się dołączeniu studentów polskich do demonstracji antyrządowych, organizowanych przez studentów rosyjskich-socjalistów. Wyjaśnił później, że był zdania, iż młodzież polska, dla podkreślenia swojej odrębności, nie powinna podejmować akcji wspólnych z rosyjską (str. 10). Wasiutyński stwierdza: „Jesteśmy tutaj u samego źródła nacjonalizmu Dmowskiego. Pamiętając o tym epizodzie zrozumieć można jego stanowisko wobec rewolucji 1905 roku, jego antysemityzm i jego zaabsorbowanie sprawą masonerii” (str. 11). Bardzo niewystarczające wyjaśnienie. Odrębność działań Polaków głosili od początku np. tacy przywódcy PPS, jak Jodko i Piłsudski, również odmawiając współpracy z organizacjami rosyjskimi — a ich stanowisko wobec rewolucji 1905 roku, Żydów i masonów było inne. Nie jest to sprawa błaża, bo nacjonalizm Dmowskiego przybrał z biegiem czasu kształt ksenofobicznej obsesji, co niejednokrotnie szkodziło polskim interesom narodowym i państwowym. Relacja Wasiutyńskiego jest również o tyle myląca, że sprawia wrażenie, jakoby stanowisko Dmowskiego było czymś oryginalnym i wyjątkowym; tymczasem np. Piłsudski (i PPS) bardziej konsekwentnie, niż Dmowski, przestrzegali zasady nie włączania się w życie społeczno-instytucjonalne Rosji.

Myślę, że tylko ludzie beznadziejnie uprzedzeni mogą odmawiać Dmowskiemu rangi wybitnego myśliciela i działacza politycznego. Ale przeciwko czerpaniu od niego natchnienia i rad praktycznych na dzisiaj przemawia wiele argumentów, które podsuwa nawet książka wyznawcy. Jeden z ostrzegawczych przykładów to pozytywny stosunek Dmowskiego do objęcia władzy przez Hitlera (str. 69; np. Piłsudski zareagował na to wydarzenie propozycją wojny prewencyjnej, którą Francja odrzuciła; potem podpisał pakt o nieagresji najpierw z ZSRR a dopiero potem z Niemcami — o tej kolejności często się zapomina). Drugi przykład, to zdumiewająco naiwne, „reakcyjne” jak powiada Wasiutyński, a w istocie całkiem zaściankowe poglądy ekonomiczne (str. 109-111), których zastosowanie w praktyce zepchnęłoby Polskę na pozycję ubogiej kolonii krajów gospodarczo rozwiniętych.

Pożyteczne natomiast jest przypomnienie, że Dmowski zdawał sobie sprawę z ważności posiadania przez naród własnego państwa. Ta strona jego poglądów bywa przesłaniana przez nadmierne eksponowanie jego nacjonalizmu oraz przez fakt, iż w okresie Drugiej Rzeczypospolitej, kiedy sanacja usiłowała realizować program integracyjny, wyłoniony pierwotnie przez narodowych

demokratów, opozycja endecka atakowała tę politykę (por. s. 93). Ta niekonsekwencja wynikała zresztą częściowo ze sprzeczności w programie samego Dmowskiego. Był przeciwnikiem federalizmu, ale w przewidywaniach dotyczących przyszłego składu ludnościowego Polski włączał do rachunku Litwinów, którzy mieli posiadać autonomię; był przeciwnikiem „awanturkowej” polityki wschodniej Piłsudskiego, ale sam uważał za możliwe oderwanie Ukrainy od Rosji; był zwolennikiem integracjonizmu, tj. asymilowania mniejszości narodowych — ale postulował państwo, w którego granicach znalazłoby się tych mniejszości aż 40 %; trudno też było liczyć na asymilację, skoro się przyjmowało postawę nieufno-antagonistyczną.

Szczególnie dziś cenna, chociaż nasuwająca wnioski sprzeczne z intencjami autora, jest analiza myśli Dmowskiego o drodze do niepodległości poprzez autonomię, tj. jak byśmy dziś powiedzieli — ograniczoną suwerenność. Otóż był on zdania, że uzyskanie przez Polskę od Rosji częściowej autonomii (czy to przez wyodrębnienie administracyjne Królestwa, czy — później — przez dołączenie ziem, zdobytych w wojnie z państwami centralnymi) stworzyłoby odpowiednią „bazę” (Wasiutyński dość frywolnie używa tu terminów marksistowskich, str. 38), nad którą musiałaby z czasem powstać „nadbudowa” odrębnej państwowości (str. 38-40, 42, 64-66). Wasiutyński argumentuje: „Jeżeli Rosjanie nie byli w stanie wynarodowić, pomimo wysiłków trwających co najmniej pół wieku, 10 milionów Polaków z Królestwa, jakże by mogli opanować politycznie 20 milionów Polaków, w połowie przywykłych do zupełnie innych, zachodnich stosunków i nie znających jednego słowa po rosyjsku?... Gdyby nawet ogłosić cara ich królem, nie mógłby rządzić inaczej niż przez urzędników polskich i w myśl odrębnych praw” (str. 40). Sam dotrzyma analogię ze współczesnością, ale pociesza się, że „taki system rządzenia byłby znacznie słabszy, niż rządzenie przez partię komunistyczną” (str. 43). Myślę, że to pociecha przesadnie optymistyczna. Rosja nigdy z niczego dobrowolnie nie rezygnowała i spodziewanie się, że bez wojny ustąpiłaby z władania ziemiami polskimi tylko dlatego, by uniknąć stałego niezadowolenia ludności, jest chciejstwem. Dziś całkowita odrębność państwowa PRL nie zapobiega sowietyzacji, procesowi uszczuplania zakresu samodzielnych decyzji w sprawach wewnętrznych i upodabniania modelu kultury polskiej do radzieckiej. Przeciwwstawianie się temu procesowi opłacane jest kolosalnym wysiłkiem; jak w *Alicji w krainie czarów* — trzeba bardzo szybko biec, aby się przynajmniej nie cofać.

Nastawienie Dmowskiego, niewątpliwie zresztą uczciwe i nie oparte na ostatecznej rezygnacji z postulatów niepodległości-

wych, tłumaczy skądinąd łatwość, z jaką wielu byłych zwolenników ideologii „narodowej” pogodziło się po roku 1945 z niesuwerennością Polski. Działy tutaj tradycje albo świadomie naciągane, albo nieświadomie przekształcane. Narodowo-demokratyczni niepodległościowcy emigracyjni powinni też sobie zdać sprawę, jak fatalne, kapitulankie skojarzenia (świadomie *nota-bene* budzone przez prasę partyjną) muszą dziś wywoływać idee Dmowskiego sprzed lat siedemdziesięciu.

Pisząc o programach działania w przededniu pierwszej wojny światowej Wasiutyński zupełnie niepotrzebnie wdaje się w polemikę z tezą, że Piłsudski trafnie przewidział przebieg i rezultat tej wojny. Polemikę uzasadnia potrzebą walki ze „schorzeniem w myśleniu politycznym polskim”, które polega na „przypisywaniu cech nadprzyrodzonych jednemu człowiekowi” (str. 64). Schorzenie to istotnie występowało, chociaż dziś wegetuje bodaj wyłącznie wśród emigrantów. Walka z nim jest słuszna, ale autor niezbyt szczęśliwie wybrał do niej teren i argumenty. Trafnie wykazuje, jakie niebezpieczeństwo niosło ze sobą dla Polski zwycięstwo Niemiec w pierwszej wojnie słusznie stwierdza, że wywołanie powstania na tyłach armii carskiej zagroziłoby frontowi francuskiemu. Jednakże pisząc to wszystko jakby zapomina, że i Piłsudski groźbę niemiecką zauważał a w możliwość rzeczywistego powstania nie wierzył: wzywając doń w imieniu „Rządu Narodowego” w Warszawie wiedział, że rząd ten nie istnieje — stwarzał sobie tylko alibi wobec Austriaków i Niemców. Wasiutyński pomija też element prosty a zasadniczy: tylko w Austrii można było stworzyć wojsko polskie, podlegające polskiej kominendzie, a przecież sam ważność takiego wojska, nie tylko jako siły przetargowej ale jako załączka armii przyszłego państwa, zdaje się doceniać. Ostatecznie nie przedstawia żadnych dowodów, które podważyłyby sąd, iż przewidywania Piłsudskiego były właściwe. Nie ma sensu przypisywać Piłsudskiemu z tego powodu cech nadprzyrodzonych. Mógł się mylić; sam się tego obawiał; wiele przemawiało przeciwko jego hipotezom. Nie ma jednak również sensu prowadzić tu sporów tylko dlatego, że trafna diagnoza polityczna wyszła od przeciwnika politycznego narodowej demokracji: to jest właśnie demonizowanie jednostek. Piłsudski popełnił wiele omyłek, ale w latach 1914-18 rozgrywał sprawę polską bezbłędnie. Jego plan niósł ze sobą ogromne ryzyko, i Wasiutyński dobrze to pokazuje. Ale plan Dmowskiego również był ryzykowny, a w dodatku okazał się oparty na pomylce w ocenie, który z wrogów jest bardziej niebezpieczny.

Cała ta polemika sprawia wrażenie trochę żenujące. Przyśługą naprawdę niedźwiedzią jest wszakże potraktowanie na serio — ba, próba rozwinięcia — koncepcji „mentalności masonskiej”,

stosowanej przez Dmowskiego (str. 24-30). Jest ta koncepcja smutnym przejawem mętniactwa myślowego. Wkłada do jednego worka liberalizm, ewolucjonizm, tradycje demokratycznego totalitaryzmu Rousseau, kult wolności jednostki i religię rozumu — i nazywa to wszystko „masonską szkołą myślenia”. Skutki nie byłyby groźne, gdyby Dmowski nie łączył swojej koncepcji z przekonaniem o potężnej roli tajnych związków wolnomularskich w nowoczesnej polityce międzynarodowej. Przekonanie to pokutuje gdzieś do dziś. Konspiracyjne koncepcje historii (Franz Neumann wyróżnił pięć najpopularniejszych: konspiracje Jezuitów, masonów, komunistów, kapitalistów i Żydów) są przejawem myślenia magicznego a jednocześnie kompleksu niższości i poczucia bezsiły. Rozpowszechniają się wówczas, kiedy ludzi, którzy czują się zagrożeni, nie stać na trzeźwą analizę procesów historycznych, których są przedmiotem. Poczucie niepanowania nad rzeczywistością — najczęstsze u warstw społecznych, nieprzywykłych do samodzielnej aktywności politycznej — wyraża się wówczas w poszukiwaniu ukrytego „winowajcy”, spiskującego gdzieś pod powierzchnią obserwowalnych zjawisk. Jest to ten sam typ myślenia, który przypisuje poruszanie się maszyn tkwiącym w środku demonom. Oczywiście teorie takie, przemawiające najłatwiej do nieoświeconych mas, bywają cynicznie wykorzystywane przez przywódców — np. teoria spisku kapitalistycznego, w który ani Lenin ani jego następcy przez chwilę nie wierzyli. Dmowski jednak był osobiście skłonny do takiego magicznego myślenia, o czym świadczy jego stosunek nie tylko do masonów, ale i Żydów — których, wbrew twierdzeniu Wasiutyńskiego (str. 21), demonizował (autor nie czytał widać listów Dmowskiego z lat dwudziestych i trzydziestych). Fatalnym skutkiem takiego myślenia jest, że rozbijają nas ono w obliczu faktów.

Stosunek do Żydów jest najdrażliwszym aspektem polskiej ideologii „narodowej” XX-go wieku. Wasiutyński nie wykazuje obsesji, która zamracza umysły niektórych innych emigracyjnych działaczy endeckich i hańbi dobre imię polskiego patriotyzmu. Tym może wyraźniej można u niego dostrzec te błędy doktryny, które zaciążyły intelektualnie i moralnie na dziejach narodowej demokracji.

Ze stwierdzenia, iż mieszkający na ziemiach polskich Żydzi często solidaryzowali się kulturalnie i politycznie z Rosją (str. 16-17), można było wyciągnąć dwa przeciwstawne wnioski: albo odcinać się od nich, albo przekonywać, że w ich interesie leży solidarność z Polakami. Z faktu, że istniał antagonizm (wcale zresztą nie powszechny) między „ludem polskim a żydowskim” (str. 17), można było wysnuć dwa przeciwne postulaty: albo ten antagonizm zaostrzać, albo go łagodzić. „Egoizm narodowy”,

głoszony przez Dmowskiego, mógł wskazywać na celowość częściowej przynajmniej asymilacji, aby rozszerzać polski stan posiadania. Polacy mieli nad Żydami nie tylko przytłaczającą przewagę liczebną, ale górowali również wszechstronnością i nowoczesnością kultury. To nacjonałści żydowscy mogli się obawiać, że Żydzi zostaną spolszczeni; Polakom zjudaizowanie nie groziło. Lęk przed wpływami żydowskimi był wyrazem panikarstwa, ukrytej niewiary we własne siły. W polskim interesie narodowym leżało wykorzystanie potencjału energii i intelektu, jakim rozporządzali polscy Żydzi — chociażby ci tylko, którzy garnęli się do polskości. Ale Dmowski, który stawiał rodakom za wzór „nacionaizm” Anglików, wśród których nie brakło antysemitów, co nie przeszkodziło, że Disraeli był dwukrotnie premierem Wielkiej Brytanii w okresie jej największej potęgi — z zasady odnosił się nieufnie do każdego człowieka pochodzenia żydowskiego (str. 19). Można to tłumaczyć tylko głęboko ukrytym kompleksem. Choć położył wielkie zasługi w okresie walki dyplomatycznej o granice niepodległej Polski — szalenie sobie tę walkę utrudniał ostentacyjnie antysemitickimi wypowiedziami, które były oczywiście natychmiast rozdmuchiwane i wykorzystywane przez wrogów Polski. Był to z jego strony przejaw zaciętrzewienia, niegodnego męża stanu. A przecież jednym z najbardziej zasłużonych sprawców polskiej za granicą pisarzy politycznych był Żyd i mason Szymon Askenazy — wielki historyk i nauczyciel patriotyzmu kilku pokoleń Polaków.

Konsekwencją tej postawy, mającej rzekomo chronić kulturę polską przed obcymi wpływami, było odrzucanie przez endeków dorobku kulturowego Polaków żydowskiego pochodzenia. Nawet Wasiutyński, choć przyznaje, że „dopływ niemiecko-rusko-żydowski” wzbogacił kulturę polską „w wysokim stopniu (str. 23) nie wymienia ani jednego nazwiska. A wypadłoby wspomnieć w „nie-hagiograficznej” książce, że skutkiem przyjęcia poglądów Dmowskiego byłoby skreślenie z naszego rejestru Askenazego i Feldmana, Handelsmana i Steinhausa, Kleintera i Leśmiana, Elzenberga i Janusza Korczaka, Brunona Schulza i Juliana Tuwima — by ograniczyć się do przykładowej dziesiątki zmarłych w ciągu minionego półwiecza.

W okresie Drugiej Rzeczypospolitej stronnictwa „narodowe” postawiły problem żydowski w Polsce tak, że stał się on praktycznie nierozwiązalny. Głosząc ideologię państwa narodowego, zawierającą postulat integrowania mniejszości, antagonizowano te mniejszości, zwłaszcza Żydów i Ukraińców, najróżniejszymi sposobami, utrudniając integrację tam nawet, gdzie do niej dochodziło. Oto ponura geneza dwuznacznego stosunku wielu endeków do wymordowania Żydów przez Niemców. Nie byli co

prawda zwolennikami tej zbrodni, ale „rozwiązała” ona problem, którego sami nie mogli mieć nadziei rozwikłać i zaostrzali tylko z roku na rok.

Wasiutyński, chcąc usprawiedliwić wojujący antysemityzm Dmowskiego w latach trzydziestych, pisze, że „nie należy zapominać o stronie taktycznej antysemityzmu Dmowskiego w ostatnim okresie jego życia. ... tym zagadnieniem chciał Dmowski bić w sanację, wiedząc, że obrona Żydów stawia sanatorów w bardzo niewygodnej wobec społeczeństwa pozycji” (str. 21-22). Okazuje się, że Dmowski był prekursorem marca 1968 w wykorzystywaniu hasła antysemitickich dla taktycznych rozgrywek. Jaki był z tego w okresie Drugiej Rzeczypospolitej pożytek dla narodu i dlaczego w istocie Dmowski chciał „bić w sanację” rozdmuchując czarnosieczne nastroje, skoro go tak mało od niej dzieliło — pozostaje niewyjaśnione. Czyżby i wówczas chodziło o posadki?

Jak wygląda dzisiejsza Polska, ujmowana w kategoriach inspirowanych przez Dmowskiego? Pod niejednym względem różni się jaskrawo od rzeczywistości; być może wieloletnie oddalenie autora musi takie zniekształcenia nieuchronnie wywoływać. Nie przekonywa odpowiedź, jakie są przyczyny braku suwerenności PRL: PZPR z pewnością nie „uważa się za część ruchu sowieckiego”; nie jest też prawdą, że „jej kierownictwo w konflikcie między interesem narodowym polskim a wolą Kremla czuje się solidarne z Sowietami” (str. 51). Nie wolno wśród tych przyczyn pomijać obecności wojsk radzieckich w Polsce i naokoło jej granic; ani też faktu, że w rozgrywkach wewnątrzpartyjnych ugrupowania bliżej powiązane z Moskwą doznają silnego poparcia; ani też narzuconych powiązań gospodarczych. Fakt, że „organizacja rządowa” została w Polsce „osadzona przez Sowiety” wcale nie musi niesuwerenności determinować, o czym świadczą wydarzenia węgierskie 1956 i czeskie 1968. Autor w sposób bardzo uproszczony przedstawia powojenną historię PRL; nawet wyodrębnienie jako całości dziesięciolecia 1946-1956 świadczy o powierzchownym rozeznaniu w faktach. „Rozruchy” roku 1970 nie były wyrazem protestu „przeciw skandalicznej polityce gospodarczej” (str. 164), ale — zostawiając na boku element prowokacji — przeciwko próbie obniżenia stopy życiowej stoczników. Charakterystykę dzisiejszej „jednolitości” kulturalno-obyczajowej Polaków formułuje Wasiutyński (str. 107-108) tak, jak gdyby nie wiedział, że jest to jednolitość polegająca głównie na upowszechnieniu nijakości i rozbiciu dawnych więzi społeczno-moralnych; doprawdy, mało tu powodów do okazywanej przez autora radości. Fatalne skutki narzuconego systemu polityczno-gospodarczego w dziedzinie moralnej a zwłaszcza upadek etyki

zawodowej Wasiutyński widocznie lekceważy — wykrzykując, że „zdumiewająco” (kogo to zdumiewa? nie nas!) dużo zdaje się... być kacykostwa, sobiepaństwa, spychania odpowiedzialności i niezyczliwości” i pocieszając się, że „może to jest przejściowe” (str. 150). Snując prognozy *science industry* jako „narodowego przemysłu polskiego” nie orientuje się widocznie, że nakłady na badania naukowe spadają, a sam ich program jest coraz ściszej uzależniany od dyrektyw partyjnych i dobrego sprawowania się naukowców (str. 130-131).

Wyrzucanie autorowi, że nie zna bieżącej rzeczywistości PRL, jest może zbyt łatwym sposobem znęcania się nad nim. Trudno wszakże powstrzymać się od zdumienia, kiedy stwierdza, że Polacy zzymają się na zdanie, że PRL nie jest niepodległa (str. 150, 154, 171). Doprawdy, dziwnych miał rozmówców, bo w Polsce poza pracownikami aparatu państwowego nikt nie zawaha się stwierdzić, że jesteśmy krajem zniewolonym. Ciekawe też, kto powiedział Wasiutyńskiemu, że społeczeństwo polskie „chce widzieć wojsko polskie jako... sprzymierzone z rosyjskim”? (str. 176).

Obowiązkiem emigracyjnego publicysty politycznego, który ma nieograniczony dostęp do informacji o świecie współczesnym, jest zastępowanie rodaków, mieszkających w kraju, w ciągłym śledzeniu i analizowaniu zmian, zachodzących w stosunkach międzynarodowych, życiu gospodarczym, sposobach rządzenia i wyrażania opinii politycznych. Cenne są przemyślenia Wasiutyńskiego na temat Niemiec współczesnych, doprowadzające do wniosku, że „niebezpieczeństwo niemieckie dla Polski mogłoby odżyć tylko w wypadku trzeciej wojny światowej” (str. 79). Muszę jednak wyznać, że więcej się takich analiz po autorze spodziewałem. Nakreślony obraz współczesnych tendencji politycznych i ekonomicznych jest w generalnych zarysach słuszny, ale zbyt ogólnikowy i zawiera niewiele składników, które Polski bezpośrednio dotyczą. Wasiutyński milczy o tym, że chociaż ogólną tendencją rozwojową w krajach wysoko uprzemysłowionych jest przepływ siły roboczej od produkcji do usług, zaś w produkcji od towarów surowcowych do pracochłonnych — w Polsce nadal utrzymują się tendencje odmienne. Nie zastanawia się też nad podstawowym zagadnieniem, czy dystans między krajami przodującymi gospodarczo i technologicznie a Polską zmniejsza się, czy mimo naszych wysiłków rośnie?

Pozwala też sobie na slogany o „władzy” nad Europą Stanów Zjednoczonych i Sowietów, której „narzędziami” są „kula” i „dolar” (str. 74) — doprawdy, nawet na szkoleniu partyjnym już się takich nie słyszy. Jego rozważania o ekonomice światowej są często banalne i nie wolne od błędów: wolny rynek

w rolnictwie zachodnim istnieje naprawdę już tylko szczątkowo (str. 116); przynoszenie dywidend akcjonariuszom nie jest warunkiem niezbędnym egzystencji firmy, lecz tylko utrzymania się wartości jej akcji (str. 117); podwyżka cen ropy naftowej nie była „wyrazem kryzysu energetycznego” (str. 113), itd.

Najsilniejszy sprzeciw wywołuje to, co Wasiutyński pisze o ZSRR i naszym do niego stosunku; wypowiedzi autora są tu szczególnie zabarwione doktrynalnym sekciarstwem. Zdumiewa stwierdzenie, że głoszona jest (głównie ponoć na emigracji) idea „robienia przewrotu w Rosji przez Polaków” (str. 15). Autor nie podaje dowodów; nie znalazłem nikogo, kto by o tym słyszał w Polsce albo podczas wyjazdów za granicę. Podobno idea ta łączy się z marzeniami o powrocie do „idei jagiellońskiej, przybranej w szaty federalizmu” oraz z popieraniem „wszystkich nacjonalizmów wschodnioeuropejskich” z wyjątkiem polskiego (str. 16). Czyżby ci dziwni spiskowcy popierali również nacjonalizm rosyjski i godzili ideę jagiellońską ze zwalczaniem polskiego? Przypomina to niestety polemiki z „ustawianym” i zwykle wymyślonym przeciwnikiem, prowadzone w prasie partyjnej. Podobną, choć bardziej przejrzystą przebieganą stosuje Wasiutyński w innym miejscu, kiedy kładzie znak równania między „odnowieniem przedwojennej koncepcji prometejskiej” a „porozumieniem i współpracą rewolucyjną ze wszystkimi nierosyjskimi narodowościami Sowietów” (str. 83). Nigdy nie słyszałem o takiej „rewolucyjnej współpracy”; na czym polega jej „rewolucyjność”? Mam nadzieję, że te chwytły nie są ze strony autora przejawem polemicznej nieuczciwości, lecz tylko archeologicznego myślenia kategoriami sprzed pierwszej wojny.

Wasiutyński zażarcie atakuje myśl o jakimkolwiek porozumieniu między ludźmi, dążącymi do wyzwolenia Polski spod rosyjskiej dominacji (sam jest konsekwentnym niepodległościowcem), a ruchami opozycyjnymi, narodowymi albo demokratycznymi, w ZSRR. Posuwa się do twierdzenia, że „Wolność narodów nierosyjskich w Sowietach może być uzyskana tylko drogą wielkiej wojny i zupełnego pokonania Rosji. Jeżeli więc ktoś zawiera teoretyczny sojusz rewolucyjny z narodami sowieckimi, tym samym oddala możliwość odzyskania przez Polskę niepodległości” (str. 85). Dlaczego wewnętrzny rozkład ostatniego imperium kolonialnego może się dokonać wyłącznie w drodze wojny światowej — nie jest wykazane. Gdyby to było takie proste, KGB nie tępiłoby z taką bezwzględnością każdego przejawu myśli narodowej, nawet komunistycznej, w krajach nierosyjskich. Wasiutyński najwidoczniej nie zdaje sobie sprawy (a jako nacjonalista powinien o tym wiedzieć), że aspiracje narodowe są główną przyczyną antyrządowych ruchów w ZSRR. Te ruchy od-

środkowe osłabiają oczywiście Sowiety; a wiadomo, że im słabsze imperium, tym łatwiej na nim wymusić ustępstwa. A więc w interesie czysto narodowym Polski (i innych krajów, przez Moskwę ujarzmionych) leży jak najżywszy rozwój opozycji w ZSRR. Autor nie tłumaczy, na czym polega ów ponury „teoretyczny sojusz rewolucyjny”, który szkodzi rzekomo sprawie naszej niepodległości. Brak wyjaśnienia może wywołać przypuszczenie, że Polacy są w tej chwili w stanie zrobić cokolwiek — ponadto, by wyrażać swoją sympatię starającym się powstrzymać rusyfikację Litwinom, Ukraińcom czy Gruzinom. Otóż poza te gesty zrozumienia i otuchy wyjść nie możemy, nawet gdybyśmy chcieli, bo nie mamy sposobu; domaganie się, byśmy z nich zrezygnowali, jest domaganiem się od nas podłości — takiej samej podłości, o jaką słusznie wielokrotnie oskarżaliśmy Europę, kiedy odwracała głowę od naszego losu.

Jak widzi Wasiutyński przyszłość Polski? Jak ocenia szanse niepodległości? Książka nie daje na te pytania jasnej odpowiedzi. Pozostaje tajemnicą, w jaki sposób nienaruszony wewnętrznie ZSRR ma się zgodzić na przyznanie niepodległości dzisiejszym satelitom. W czym się ma przejawiać „nacisk” narodów środkowo-europejskich, który ma do tego doprowadzić (str. 85), też nie jest powiedziane. Autor stwierdza, że „nie sposób przewidzieć” „w jakim czasie, w jakiej formie i jaką metodą nastąpi” odzyskanie suwerenności (str. 173); przesadna to wstrzemięźliwość myśli u publicyście politycznego, który jakieś ewentualności wymienił musi, jeżeli nie chce być oskarżony o gołostowność.

Autor stwierdza buńczucznie, że większość ludzi w Polsce to dziś nacjonałści (str. 151), ale nie precyzuje tego pojęcia. Jeżeli ma na myśli to, że Polacy uważają więź narodową za wartość — ma rację; jeżeli zechce do tego dodać, że są dumni ze swojej polskości — trzeba będzie jego sąd opatrzyć znakiem zapytania; jeżeli chce powiedzieć (jak na str. 150), że Polaków jednoczy niechęć do Sowietów i narzuconego systemu — też ma rację, ale to wszystko ogranicza się do charakterystyki postaw biernych i negatywnych. Aby wyjść poza te pasywne ogólniki należałoby spytać, czy poczucie przynależności narodowej jest dla Polaków dostateczną pobudką do działania, by przezwyciężyć strach i pokusę spokojnego życia? Czy siła tej właśnie pobudki słabnie czy rośnie? Czy poczucie to wyraża się częściej w gestach pozytywnych, czy tylko w negatywnych? Jakie wydarzenia i działania aktywizują obecnie to poczucie? Niestety, Wasiutyński tych pytań nie stawia — i to jest jedna z przyczyn, dla których jego książka emanuje nastrojem bierności.

Przygotowanie do niepodległości wymaga — zdaniem autora — dwu warunków: 1) „utrzymania czy osiągnięcia godności

i rzetelności w życiu prywatnym, zawodowym, społecznym”; 2) „zachowania czy wytworzenia polityki polskiej” (str. 173). Jak cechy godności i rzetelności mają być wyrabiane i na czym ma polegać działalność polityczna w kraju (o której zasadniczej wadze pisze, str. 174) — autor nie mówi. I znowu jego ogólnikowe, moralizujące słowa o nadziei, pokładanej w „sile narodu”, sprawiają wrażenie bezradności. Wasiutyński, tak wymownie piszący o źródłach niepodległości — podprowadza jej strumień tylko do piętrzącej się dziś przed nią tamy*.

Krytyka książki Wasiutyńskiego nie jest wyrazem opinii, że w polskim życiu politycznym nie ma miejsca na myślenie „narodowe” i działanie według „narodowych” zasad. Przeciwnie: wynika z przekonania, że takie myślenie i działanie jest potrzebne i że jego potrzebę uznać powinni także ci, którzy stoją na innych pozycjach ideowych. Potrzeba ta rodzi się po pierwsze z tego, że w społeczeństwie naszym występują potężne impulsy nacjonalistyczne, które wtedy tylko przyniosą krajowi pożytek a nie szkodę, kiedy ujęte będą w karby przemysłów i zorganizowanych, zgodnych z zasadami demokracji działań. Po drugie będzie rzeczą pozyteczną, jeżeli zwolennicy zasady „egoizmu narodowego”, tak często stosowanej w polityce międzynarodowej a tak rzadko ujawnianej, otwarcie i rzeczowo przedyskutują konsekwencje ideowe i polityczne tej zasady i poddadzą je osądowi opinii. Po trzecie wreszcie jestem przeświadczony, iż konieczny jest wysiłek oczysz-

* Z recenzenckiego obowiązku należy jeszcze wytknąć przykładowo kilka błędów: twierdzenie, że pod względem kulturalnym okres polskiej niepodległości w XX-tym wieku przedstawiał się „bardzo skromnie” (str. 24), zdradza emigranckość autora: w kraju wiemy już dobrze, że był to okres znakomity, dziś i za granicą ceniony dzięki takim nazwiskom, jak Gombrowicz, Schulz, Szymanowski, Witkacy, Tarski czy Znaniński. W 1920 roku Dzierżyński i kompani dotarli aż do Wyszkowa, nie tylko do Białego-stoku (str. 50). Półtora wieku panowania rosyjskiego osłabiło wpływy polskie na ziemiach wschodnich tylko w sensie gospodarczo-politycznym, natomiast obszar językowy polszczyzny się rozszerzył (str. 50). Uwagi o patriotyzmie ogólnoniemieckim (str. 76) są nieco mylące: był on bardzo silny w okresie Wiosny Ludów i miał wówczas oblicze liberalno-demokratyczne; przytoczone przez autora hasło *Ein Volk, ein Reich, ein Führer* jest tylko przeróbką znacznie starszego *Ein Volk, ein Reich, ein Gott*.

Wstyd też doprawdy, że publicysta o przedwojennym stażu, głoszący doniosłość narodowej kultury, popełnia tyle błędów językowych: „multynacjonal” (str. 115) to słowo nieznanne polszczyźnie i sprzeczne z jej duchem. „Garaż” (str. 116) to miejsce, gdzie się przechowuje samochód, nie gdzie się go naprawia. „Wiodąca część świata” (w sensie „przodująca”, str. 121) jest ohydny rusycyzmem. Nie można — przynajmniej w szanującym się towarzystwie — „wejść na całego na drogę” (str. 129). Słowo „monopoliczny” (str. 146) nie istnieje. Co znaczy stwierdzenie, że prof. Lipiński jest człowiekiem do niedawna „wysoko stojącym w systemie” (str. 177) nie wiem, bo to nie po polsku; jeżeli autor chciał powiedzieć, że Lipiński sprawował wysokie stanowiska lub był przez system szczególnie faworyzowany — to nieprawda.

czenia polskiej tradycji narodowej z kompleksów niższości, strachów i szowinistycznych fobii. Niechże polska myśl narodowa wyłoni idee oparte na dumie i otwartym promieniowaniu, nie na poczuciu zagrożenia, odcinaniu się, odpychaniu; niechże się stanie ideologią kulturalnej ekspansji, nie ksenofobicznego zaścianka.

Roman Dmowski miał odwagę rewidowania i zmiany swoich poglądów, zauważania nowości w międzynarodowych i krajowych układach sił. Tego właśnie powinni się uczyć jego kontynuatorzy.

W książce Wasiutyńskiego nie brak zdań, które wskazują na możliwość spełnienia tych społecznych zamówień. Czytamy na str. 105: „Za ograniczenie wolności mniejszości zawsze się płaci. ... nie można pozwolić, aby... resentymenty wpływały na kierunek polityki narodowej, która powinna mieć tylko jeden cel: dobro narodu”.

Bronisław LASOCKI

Poszukiwanie formuły

Tytuł najnowszej książki Kazimierza Brandysa*, wydanej przez Instytut Literacki w Paryżu jest formułą, w której mieści się zarówno definicja materii utworu — jest nią refleksja nad polską rzeczywistością współczesną — jak i diagnoza opisanego stanu rzeczy i umysłów. Książka jest napisana w formie monologu narratora, odpowiadającego (do magnetofonu) na pytania kwestionariusza, który dał mu rodak-emigrant, pracujący w jakimś amerykańskim (?) instytucie socjologicznym, a spotkany przypadkowo w jakimś mieście w Zachodniej Europie (Holandia? Skandynawia?). Narrator jest teatrologiem-reżyserem, przyjechał na Zachód na krótko, odpowiada na pytania według własnego widzimisię i według własnego kryterium określa ich istotność i „zasługiwalność” na odpowiedź. Gros monologu stanowi opis sytuacji umysłowej, uczuciowej i moralnej Polaków — szczególnie Polaków-inteligentów — w okresie 1930-75. W tej refleksyjnej *oratio recta* nie sposób i zapewne nie należy oddzielać narratora od autora; elementem fikcyjnym, czy przynajmniej ufikcyjnym jest za to biografia narratora, wyłaniająca się powoli z reminiscencji i dygresji wplecionych w „odpowiedzi” na ankietę i spinająca wypowiedź, postać mówiącego i wewnętrzny czas teraz-

* Kazimierz Brandys, *Nierzeczywistość*, Instytut Literacki, Paryż, 1978, str. 128.

niejszy książki w kunsztowną całość. „Nierzeczywistość” Brandysa jest więc nowym *tour de force* w zagresie łączenia fikcji z publicystyką na tematy aktualne i należy do tej samej kategorii utworów, co „Apelacja” Andrzejewskiego i „Cienie w pieczarze” Stalińskiego. Podobnie jak w tamtych książkach warstwa najbardziej interesującą czytelnika „Nierzeczywistości” jest oczywiście warstwa treściowa, „konstatacyjno-kontestacyjna” i z tego punktu widzenia nie jest obojętna osoba samego autora. Sam fakt konieczności wydania książki w Paryżu zamiast w Warszawie mówi o rozmiarze ewolucji poglądów i postawy autora.

Stan rzeczy w Polsce, tak jak go widzi obecnie Kazimierz Brandys, określony jest słowem „niereczywistość”. Oznacza to zarówno rozpowszechnione poczucie bycia przedmiotem a nie podmiotem biegu rzeczy — czyli brak wolności — jak i rozdźwięk pomiędzy stanem faktycznym, a jego pojęciową i werbalną aktualizacją — czyli brak prawdy. Wbrew pozorom książka nie jest tylko oskarżeniem komunizmu o pozbawianie społeczności polskiej tych elementarnych praw, lecz także i przede wszystkim analizą skutków, jakie pozbawienie to powoduje na dłuższą metę. Głównym problemem zajmującym autora jest: czym współczesny Polak różni się od ludzi wyrosłych w innym kręgu uwarunkowań? „Ankieta” zaczyna się w książce od pytania: czy odczuwam swoją odmienność porównując się z ludźmi żyjącymi w krajach nie objętych komunizmem? — ale z dalszych partii książki wynika, że autor rozważa sytuację polską jako specyficzną całość i dopatruje się korzeni jej „niereczywistości” w odległej przeszłości:

„... typ człowieka, dla którego wolność oznacza prawo do indywidualności, formował się w Europie poprzez konflikty społeczne i walki religijne. W Polsce zakrzykiwano je hasłami wspólnoty, najpierw stanowej, potem narodowej. W końcu zastąpiły je pozory: tolerancji i wolności, a później solidarności. Mówię 'pozory', bo wolność, tolerancja i solidarność narodowa w Polsce nigdy nie ogarniały całego społeczeństwa. Tak powstała polska niereczywistość”.

Innymi słowy życie zbiorowe kształtowało się w Polsce od dawna pod presją nienaruszalnych mitów, produkując osobowości niepełne; tezę tę w książce ilustruje sylwetka ojca narratora, człowieka jakby żywcem wyjętego z Żeromskiego: prawego, lecz przedkładającego milczenie nad rzucanie kamieniami w wyraźnie widoczne zło — z obawy by nie stłuc szklanego domu. Drugą ilustracją Polaka kurczowego jest nieco karykaturalny konspirator-harczer, który kwituje informację o tym że matka narratora umiera na raka uwagą: „tak, Polacy ucierpieli najbardziej”. Źródła polskiej niedojrzałości — bo znaczenie „niereczywistości” pokrywa się nieomal z terminem Gombrowicza — leżą więc zdaniem Brandysa w sprzężeniu zwrotnym pomiędzy zbiorowością, a jednostką: obowiązek myślenia kategoriami nadrzędnymi wytwarzał osobowości konformistyczne, podtrzymujące z kolei strukturę produkującą nieautentyczność. Narzucenie Polsce po

wojnie obcego ustroju („... z Rosji [pochodzi] model systemu, który rządzi w Polsce...”) podłożyło tylko inne — i trudniejsze do przezwyciężenia, dodajmy — elementy do tego zamkniętego obiegu:

„... krajem zarządza warstwa urzędników, nie kontrolowana przez społeczeństwo. Od administracji nie wymaga się uduchowienia, na ogół zadowolona nas, gdy jest rozsądna. Ta o której mówię, powinna być rozsądna po chłopsku — zamiast tego odznacza się skłonnością do małostkowego prestiżu, marnotrawstwa i upartych głupstw. Jest powoływana z nominacji i jej składu nie zasila to, co w społeczeństwie jest najwięcej warte. Przyjęła się nazwa 'selekcji negatywnej': awansują posłuszni, filtr nie przepuszcza krytycyzmu. [...]

Między tą grupą a resztą ludności zachodzą związki, rodzaj osmozy, zależność nie zawsze daje się oddzielić od przenikania i zrostów [...]. Ale równocześnie utrzymuje się psychologiczna niespójność, odczuwana przez obie strony. [...] Społeczeństwo nauczyło się milczeć, władza opanowała sztukę mówienia. Społeczeństwo wie, że mówić jest niebezpiecznie, aparat rozumie, że trzeba mówić o czymś innym. Prawda staje się jak gdyby ogólną tajemnicą, fałszyfikat — wspólną rzeczywistością. [...] Administracja nie czuje się ciałem powołanym z wyboru i wie, że gwarancją jej bytu jest zewnętrzne centrum. Administracja nie tylko o tym wie, ale wie również, że ludność o tym wie. Ta obopólna świadomość wzmacnia zadrażnienia. Aparat musi się solidarnie bronić, zapierać błędów, nadużyć i nonsensów, tworzyć przejawy własnej autentyczności, swoich związków z narodem. A więc znowu tańce ludowe. Stwarzanie cech autentyczności powiększa nieautentyczność — jeszcze jedno sprzężenie zwrotne”.

Dramatyzm tej sytuacji mieści się w fakcie, iż nieautentyczność nie jest stanem neutralnym i trwającym w zawieszaniu do lepszych czasów, lecz rodzi konsekwencje; przypomnieniem tego w warstwie powieściowej książki jest opowieść o fikcyjnym ośrodku konspiracyjnym, który narrator stworzył na własną rękę podczas okupacji, by uchronić ukochaną kobietę przed niebezpieczeństwami konspiracji autentycznej — ale rezultatami tej fikcji były realne zamachy, śmierci i uwięzienia. Konsekwencją „niereczywistości” polskiej w wydaniu obecnym jest intensywny rozwój Polaka małolitrażowego — by użyć świetnego terminu Pelikana sprzed paru lat — tzn. osobnika biernego i już po azjatycku traktującego sprawę wolności i praw jako czegoś, co przyjdzie z zewnątrz — lub nie przyjdzie. Ilustracją modelu małolitrażowego na poziomie inteligentkim jest w książce naszkicowana tylko, lecz świetna sylwetka Icza (rodzaj kottosandaue-rowskiego typu „niezależnego konformisty”).

Diagnoza powinna prowadzić do terapii i formuła Brandysa zawiera jej sugestie: rzeczywistość, autentyczność, nonkonformizm. W toku rozważań zarysowują się dwa typy oporu: indywidualny, etyczny, będący czymś w rodzaju odmitologizowanego chrześcijaństwa (zachowywać się tak, jakby się było w obecności niewidzialnego Sędziego; przyjąć „punkt widzenia śmierci”, tzn. ocenę postępów z perspektywy całości życia) oraz zbiorowy — a przynajmniej o konsekwencjach w i dla zbiorowości — który

to typ Brandys nazywa „odmową funkcjonalności”, a co oznacza wyłamanie się z konformizmu i praktyczną tego konsekwencję: przejście do „grupy podejrzanych”. Jest to program niewątpliwie chwalebny, aczkolwiek nieco zatrącający o odrodzenie moralne, a więc rzecz o małym zazwyczaj zasięgu, *if any*. Sprawdzianem może tu być jedynie przyszłość, a jako człowiekowi piszącemu te słowa poza — jak dotąd — zasięgiem komunizmu nie przystoi mi rozważanie czy jest to program wystarczająco czy też zbyt minimalny. Zatrzymuję się nad tym punktem, by zwrócić uwagę na fakt, że sprowadzenie zagadnienia antydotum do spraw czysto etycznych — po przekonującej analizie społecznego mechanizmu całości — robi wrażenie pewnej niekonsekwencji, czy raczej cofnięcia się przed ostatecznymi konsekwencjami tejże analizy. Dobra wola wobec mechanizmu? A może ta ilość dobrej woli, którą uda się zmobilizować, już jest wkalkulowana w program maszyny jako nieistotny margines? Chodzi mi o to, że nad rozważaniami Brandysa, mimo jego niewątpliwie dobrej woli i szczerości w myśleniu, unosi się także lekki opar niereczywistości, wyprodukowanej przez opisaną przezeń maszynę. Piszę to nie przez przekorę czy perfidię, tylko jako obserwator z zewnątrz. Trudno to wrażenie przyspilić cytataми, ale jest wyraźne, że narrator-teatrolog rozumuje jako człowiek stosunkowo dobrze zabezpieczony przez nieruchawą, lecz trwałą maszynę w walce o byt: ma już swoje zasługi, nie jest anonimowy, grozi mu najwyżej odsunięcie, a nie runięcie. Jest mimo wszystko członkiem *establishment*'u i mimo wszystko służy: reżyseruje, wyklada, pisze, ale nie próbuje np. stworzyć nowego teatru i w związku z tym jest mu oszczędzona najdotkliwsza gorycz — niemożności stworzenia samemu czegoś naprawdę nowego. Uderzyło mnie w trakcie lektury pogardliwe zdanie: że po to aby w czasach stalinowskich zachować postawę oporu *wystarczyło mieć sklepik*. Bagatelka! Brandysowy teatrolog na pewno nie ma pojęcia ile wysiłku, odwagi i nieprzespanych nocy wymagało własne utrzymanie bez łaski państwa w owych czasach — a i obecnych również; co gorsza, nie widzi związku pomiędzy wolnością ekonomiczną, a wolnością *tout court*. Nie chodzi mi tu o obronę sklepikarzy jako takich, tylko o fakt, że zaszczerpiona przez komunizm niechęć do *entrepreneur*'stwa stała się już jednym z elementów świadomości kształconej przez tamtejszą niereczywistość. Z tego punktu widzenia można by się zastanawiać, jak miałyby wyglądać ta bardziej autentyczna wersja polskiego ustroju, o której mowa pod koniec książki („gdyby nam nie przeszkodzone”)? Przepuszczalnie jedynie na sprawiedliwszym (na początek) rozdziale *etatów* w tej samej maszynie, po czym wszystko wróciłoby do stanu obecnego — jak po Październiku czy wczesnym Gierku. Można się też zastanawiać, czy skłonność do produkowania utopii nie jest najgroźniejszą konsekwencją życia w niereczywistości.

Ostatnia uwaga jaką chcę zanotować ma charakter ogólniejszy i wiąże się z powieścią Brandysa tylko o tyle, że „Niereczy-

wistość" jest symptomem szerszej tendencji w literaturze wschodnioeuropejskiej, a która to tendencja w ostatecznym rozrachunku również wywodzi się z zakapslowania komunizmem i w lekko paradoksalny sposób — ponieważ mam na myśli utwory antykomunistyczne — stanowi jego zwiastwo. Można by to nazwać pozeraniem sztuki przez ustrój: coraz więcej pojawia się utworów, w których fabuła, konstrukcja, inność, pełnią tylko rolę pretekstu do wyłożenia kawy na ławę. U podłoża tej twórczości leży nie tylko zrozumiały odruch publicystyczny, ale także — należy obawiać się — pewna fascynacja: przekonanie, że dziwność życia w komunizmie jest tak intensywna, iż wystarczy ją uchwycić, zamknąć w trafną formułę, a zastąpi to dziwność czysto artystycznego przeżycia. W efekcie powstają książki aktualne, prawdziwe, takie z-którymi-nie-można-się-nie-zgodzić, ale z których siłą rzeczy ziele nuda i szarość komunizmu, zaturuwa wszystko i utrupia od wewnątrz ich szanse na przetrwanie. Jak wspomniałem, jest to uwaga ogólniejszej natury i nie należy jej traktować jako przytyku do „Nierzeczywistości”, która w swej klasie jest pozycją wybitną; niemniej, czytając setki stron wnikliwych i subtelnych analiz, transpozycji i alegorii poświęconych prymitywnej tyranii trudno oprzeć się czasem refleksji: co nam zostanie z tych lat?

M. BRONSKI

Książki z Londynu

SALAŁKA INTERPELACYJNA

W *Kulturze* nr. 11/1976 przeczytałam recenzję z poprzedniej książki Adama Czerniawskiego — *Akt*. M. Bronski zatytułował ją „Salałką egzystencjalną”. Chciałam moim tytułem podkreślić ciągłość „salałki”, rozumianej przeze mnie jako mieszanka, a przez Bronskiego — przystawka. W tym samym numerze *Kultury* znalazł się krótki esej Czerniawskiego — „Język filozofii moja” — uwagi nad językiem filozofii i językiem sztuki, który mógłby — nie żeby mętlak wyjaśnić, lecz raczej go dopełnić — znaleźć się w *Wierszu współczesnym*¹. M. Bronski w swojej recenzji zarzuca Czerniawskiemu nieobecność w jego książce struktury. Pod którą rozumie brak idei porządkującej, przypadkowość w wyborze tekstów i nazwisk, przypadkowość takiej a nie innej interpretacji. To przynajmniej odnosi się do *Wiersza współczesnego*, tomiku który powstał z felietonów drukowanych w londyńskich *Wiadomościach*. Problem polega na tym, czy to co — być może! — jest dobre w luźnych felietonach, w „dzienniku lektury”, jest także dobre w ich zbiorze.

Przeziara przez te teksty bardzo ambitny wzór stylistyczno-myślowy, Kijowskiego „Miniatury krytyczne”. Wzór trudny do naśladowania. I wzór

jeszcze trudniejszy: olśniewająca prostota Miłoszowych studiów nad literaturą i losami jej twórców z *Prywatnych obowiązków*. Czerniawskiego, wydaje się, interesują sprzeczności języka naukowego i języka poezji. We wspomnianym esej w *Kulturze* powiada: „Filozofów drażni nie tylko bujność języków, ale także ich plastyczność, ich niuanse i rezonanse, które zacierają granice znaczeń”. Mógłby to być świetny punkt wyjścia do *Wiersza współczesnego*. Albo też punkt dojścia. Ale nie jest. Poza luźnymi uwagami, które trudno spiąć w całość, niekiedy chyba jasnymi tylko dla samego autora i kręgu wtajemniczonych w jego ostatnie lektury. Czerniawski spiera się doraźnie, okazująco, z różnymi interpretacjami poezji i poszczególnych wierszy. Daje próbki własnego odczytania. Stwarza pozory, że ciągle coś odrzuca i ciągle coś proponuje. I tak w pierwszej miniaturze twierdzi, że poeci piszą wiersze filozofom na złość: „Wiersz składa się ze słów. A słowa obciążone są znaczeniem. Poeta zaś tylko częściowo interesuje się przekazywaniem znaczeń, inaczej komponowałby klarowną prozę naukową i przestałby naturalnie być poetą. Więc aby zademonstrować, że język ma także inne zadania (tzn. aby pokazać, że poezja ma rację bytu) poeta układa słowa tak, by ich znaczenie nie było oczywiste”.

Do zilustrowania tej chwiejnej oczywistości posłużył się autor Max'em Jacob'em, Czyczem i Bursą. Aby dojść do konkluzji — równie banalnej, co trafnej — że obydwa typy poezji — i ta bliższa nonsensowi, i ta bliższa klarownym zdaniom o prozie życia — są zagrożone w swoich krańcowościach.

W miniaturze drugiej, sąsiadują z sobą Eliot, Darowski, Grochowiak. W trzeciej mamy analizę wiersza Taborskiego „Włoski postiche”, o odrzuceniu sielanki, i poemat Baczyńskiego — „Wina”. „Wina” jest pięknym wierszem, rzadkim połączeniem groteski, smutku i dowcipu. Leśmianowskim niemal. Ale interpretacja walki św. Jerzego ze smokiem jako małżeńskiego trójkąta, nie może być chyba jedyną. W czwartej miniaturze „czcigodny” (A.C.) Gottlob Frege walczy o lepsze z Różewiczem, Eliotem, Janem Leszczą, o którym przypadkowo wiem, że jest tłumaczem anglo-amerykańskiej poezji. Nie mam pojęcia, jaka jest przeciętna erudycji czytelników *Wiadomości*, ale mnie osobiście przydałaby się garść informacji o „czcigodnym” Frege.

Z pierwszych miniatur najbardziej trafia do przekonania piąta, o późniejszych losach poezji Norwida, z trzeźwą i bardzo na miejscu uwagą: „Norwid mylił się nie dlatego, że wnukowie okazali się bardziej tępi, niż poecie się marzyło, lecz dlatego że żadne laury potomnych nie zrekompenzują obojętności współczesnych”.

W sumie nie chodzi o merytoryczne zastrzeżenia do Czerniawskiego sposobu myślenia o poetach i wierszach. Bardziej już razi ów sztafaż erudycyjny, w który wiersze wtłacza. Wydaje się on dowolny. Nie mam większych zastrzeżeń do sposobu formułowania myśli o literaturze — pół ścisły, pół impresyjny, całkiem w tym *métier* dozwolony — ile do owej pewności, za którą nie wiem, co stoi. (Tak jak wiem co stoi za pewnością i swobodą sądów Miłosza i Kijowskiego). Jestem Czerniawskiemu wdzięczna za przypomnienie Zdzisława Stroińskiego, i słuszna wydaje mi się jego teza — zilustrowana świetnym cytatem — o prekursorstwie Stroińskiego w stosunku do Białooszewskiego. Ale często jedna interpretacja prosi się o drugą, wydaje się niepełna, za wiotka. Na przykład w miniaturze dziesiątej, która ma za temat motyw kamienia w poezji — na przykładach A. Wata i Andrzeja Buszy (?) — a która aż się prosi o dopełnienie takimi wierszami Herberta, jak „Kamyk” i „Poczucie tożsamości”. Tym bardziej że w innych miniaturach Czerniawski chętnie z Herberta korzysta.

Wiersz współczesny cierpi na nadmiar nazwisk, niedostatek głębi i jednostronność sądów. Ale ten nadmiar nazwisk ma swoją dobrą stronę: czytelnik może w nich wyłowić dla siebie jedno lub dwa i zatrzymać się przy nich. Ja wyłowiałam wiersz „Konie” Edwina Muira, szkockiego poety

1. Adam Czerniawski, *Wiersz współczesny*, OPiM, Londyn, 1977, str. 95.

i tłumacza Kafki. Zdumiewający wiersz, chyba świetnie przełożony przez Czerniawskiego.

Książkę kończy obrona wyboru i zestawienia tak wielkiej ilości, tak różnorodnych utworów. Autor czupurnie — i raczej na zapas — ustawia się w opozycji do historyków literatury *en général* — którzy inaczej rozumiejąc współczesność poezji — nigdy by się rzekomo z jego wyborem nie zgodzili. Czerniawski chce na zakończenie nadać tomikowi wrażenie przemyślanej całości: „Rozważania nad 'wierszem współczesnym' wypada zakończyć przypomnieniem, że właściwie każdy utwór poetycki jest dziełem współczesnym. A to dlatego że każdy akt odczytywania wiersza stanowi nową interpretację”. Mrzonki. Tak by chciał Ingarden.

Do felietonów-miniatur dołączony jest aneks: pięć wierszy Czerniawskiego. Czystych w stylu, płynnie rytmizowanych, epicko-lirycznych, gęstych od obrazów. Słychać w nich Miłosa, Yeats'a, Różewicza.

Janina KATZ HEWETSON

Nadesłane nowości wydawnicze

Czarna księga cenzury PRL — I. Str. 247 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn, 1977).

KONWICKI (Tadeusz). *Kompleks polski. Powieść. (Zapis 3)*. Str. 163 i 11 nlb. (Wyd. Index on Censorship, London, 1978).

MOSZKOWICZ (Michał). *Morbus peregrinorum*. Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Sztokholm, 1977).

Zasadnicze uchwały i wyniki VII Zjazdu Polskiej Partii Socjalistycznej na Obczyźnie. (Londyn — 29-30. 10. 1977) oraz niektóre materiały Zjazdu PPS w Niemczech (Kolonia — 23-24. 4. 1977). Str. 37 i 3 nlb. (Wyd. Komitet Główny PPS w Niemczech, Monachium, 1978).

PUTRAMENT (Jerzy). *Urbi et „Orbis”*. Str. 103 i 5 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1977; cena zł 20).

GOMBROWICZ (Witold). *Varia*. Textes variés. Wybór, tłumaczenie i noty Allana Kosko. Str. 211 i 3 nlb. (Wyd. Christian Bourgois, Paryż, 1978).

ZEMTSOV (Ilja). *La corruption en Union Soviétique*. Poprzedzone Alain Besançon „Eloge de la corruption en Union Soviétique”. Tłumaczenie z rosyjskiego Serge Bertyl. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. Hachette, Paryż, 1976).

GRABOWSKA-NITECKI (Hanna). *La discussion précédant l'acceptation des amendements à la constitution polonaise en 1976, vue à travers la presse polonaise et française* (Mémoire de maîtrise sous la direction du prof. Antonin Snejdarek). Str. 116 (xerox). (Université de Paris I — Panthéon-Sorbonne, UER 09 — Histoire, année 1976-1977).

Charte de la Liberté 1977. Wprowadzenie Eugène Ionesco de l'Académie Française. Str. 87 (teksty w językach: albańskim, niemieckim, angielskim, armeńskim, bułgarskim, estońskim, francuskim, gruzińskim, węgierskim, włoskim, łotewskim, litewskim, polskim, rumuńskim, rosyjskim, serbo-kroackim, słowackim, czeskim i ukraińskim). Wyd. Groupe de Paris, 95270 Luzarches).

Commemoration du Cinquantenaire de l'enseignement du polonais — 1927-1977 — Université de Lille III. Str. 30. (Wyd. Université de Lille III, Sciences Humaines Lettres et Arts, Villeneuve-d'Ascq, 1977).

ZAWODNY (J. K.). *Nothing but Honour*. The Story of the Warsaw Uprising, 1944. Str. 328. (Wyd. Macmillan London Ltd., Londyn, 1978; cena £ 6.95).

Herbert Hoover and Poland. A Documentary History of a Friendship. Opracowanie i wprowadzenie: George J. Lerski. Przedmowa: Mark O. Hatfield, U.S. Senator. Str. 124 i 4 nlb. (Wyd. Hoover Institution Press, seria Hoover Archival Documentaries, Stanford University, Stanford, Cal., 1977).

1977 *Yearbook on International Communist Affairs*. Redakcja Richard F. Staar. Str. 612 i 4 nlb. (Wyd. Hoover Institution Press, Stanford University, Stanford, Cal., 1977; cena \$ 30).

Antemurale XXI. Tom zawiera część pracy doktorskiej George Tadeusza Łukowskiego (doktorat filozofii University of Cambridge) na temat *The Szlachta and the Confederacy of Radom, 1764-1767/68 — A Study of the Polish Nobility*. Str. 291 i 1 nlb. plus mapa: Poland 1764-1768. (Wyd. Institutum Historicum Polonicum, Rzym, 1977).

LERSKI (George J.). *Trotskyism in Sri Lanka*. (Nadbitka z *Studies in Comparative Communism*, Vol. X, Nos 1 and 2, Spring/Summer 1977, str. 109-132).

GÖMÖRI (George). *The Antinomies of Gombrowicz*. (Nadbitka z *The Modern Language Review*, January 1978, volume 73, Number 1, str. 119-129).

CHERNENKO (Alexandra). *The Birth of a New Spiritual Aware-*

ness. (Nadbitka z *Canadian Slavonic Papers*, Vol. XIX, No 1, 1974, str. 73-98).

LEM (Stanisław). *Phantastik und Futurologie I*. Tłumaczenie z polskiego Beate Sorger i Wiktor Szacki. Str. 478 i 2 nlb. (Wyd. Insel Verlag, Frankfurt/M, 1977).

BONDY (François), JELENSKI (Constantin). *Witold Gombrowicz*. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. Deutscher Taschenbuch Verlag, GmbH, Monachium, 1978; cena DM 6,80).

Dokumente der Moskauer Helsinki-Gruppe. Texte der „Förderungsgruppe” zur Erfüllung der Beschlüsse von Helsinki in der UdSSR”. Str. 192. (Wyd. „Gesellschaft für Menschenrechte”, e. V. wraz z interkonfessionellen Institut „Glaube in der 2. Welt”, Frankfurt/M - Küssnacht - Zürich, 1977; cena DM 13).

ZYBACZYNSKYJ-ORŁAN (O.). *Swobodarnyj Manifest*. Program nowożytności. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Toronto, Ont., 1978).

CHERNENKO (Alexandra). *Mychajło Kociubynskij — impresjonist: obraz ludyny w twórczości piśmennyka*. Str. 143 i 1 nlb. (Wyd. Suczastnist', 1977).

Index Lectionum. Semestre Aestivum 1978. Str. 80. (Wyd. Universitas Libera Ucrainensis, Monachium, 1978).

KOSTOMAROW (N.). *Knigi bytija ukraïnskoho naroda*. Str. 28. (Wyd. Slavia Press, Woodridge, N.Y., 1977).

Waplitijskij zbirnyk. Redakcja George Luckyj. Str. 260. (Wyd. The Canadian Institute of Ukrainian Studies, Mosaic Press, Oakville, Ont., 1977; cena \$ 4,95).

STANKEWICZ (Mikajaj). *Kastrycznik u Bielarusi*. Str. 144 i 4 nlb. (Wyd. Red. Holas Radzimy, Mińsk, ZSSR, 1977; cena 10 k.).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-2-78

Wybitny poeta Jerzy Zagórski obchodził 70-lecie urodzin i 50-lecie pracy literackiej.

15-2-78

W związku z 60-leciem Sił Zbrojnych Związku Sowieckiego odbył się w Opolu centralny zlot Polaków, byłych żołnierzy armii sowieckich.

22-2-78

Karol Bunsch, bardzo popularny autor powieści historycznych, zamieszkały w Krakowie, obchodził 80-lecie urodzin.

25-2-78

Nowym komendantem głównym Milicji Obywatelskiej został gen. Stanisław Zaczekowski. ■ W związku ze zbliżającą się Olimpiadą w Moskwie rząd PRL zobowiązał się do zbudowania do roku 1980 60-ciu zjazdów turystycznych. ■ 14 % wszystkich ziem uprawnych na Węgrzech przypada na działki przyzagrodowe, które dają 31 % całej produkcji rolnej kraju.

28-2-78

W Krakowie zmarł, w wieku 78 lat, Janusz Meissner, autor szeregu powieści o tematyce lotniczej i morskiej.

1-3-78

Szczecin jest największym morskim portem Czechosłowacji. W ub. roku przeładowano tam 1,3 miliony ton towarów należących do Czechosłowacji. Dysponuje ona 14 statkami morskimi, z których 12 zbudowano w polskich stocznicach.

5-3-78

W Warszawie zmarł Zbigniew Załuski, oficer W.P., pisarz i publicysta. Był on zastępcą członka KC PZPR, posłem na Sejm i pierwszym sekretarzem POP PZPR Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich. ■ Wybitny pisarz Teodor Parnicki obchodzi 70-lecie urodzin oraz jubileusz 50-lecia pracy pisarskiej. ■ Ryszard Frąckiewicz został mianowany ambasadorem PRL w Australii. Był on przedtem radcą ambasady PRL w Waszyngtonie, a ostatnio dyrektorem departamentu w MSZ. ■ Gen. Pietrzak był komendantem głównym Milicji Obywatelskiej, b. wiceminister MSZ i był członkiem KC został mianowany ambasadorem PRL na Węgrzech na miejsce Stefana Jędrzychowskiego, który przeszedł na emeryturę.

10-3-78

Wrocławski oddział Studenckich Komitetów Solidarności ogłosił zbiórkę na Fundusz Pomocy dla swych członków, prześladowanych przez bezpiekę i sądy. Sprawą najważniejszą jest zapłacenie grzywnien w wysokości 43.500 zł., które wrocławskie Kolegium nałożyło na 17 studentów za udział w wykładzie Towarzystwa Kursów Naukowych. ■ Tegoroczne nagrody Polskiego PEN-Clubu za osiągnięcia w dziedzinie przekładów otrzymali: Jerzy S. Sito za przekłady poezji angielskiej oraz Egon i Irena Naganowscy za przekłady z niemieckiej.

16-3-78

Samolot bułgarskiej linii lotniczej „Balkan” — Tupolev 134, rozbił się w rejonie Vratza w Bułgarii. Poniósł śmierć 66 pasażerów i 7 członków załogi. W wypadku tym zginął Janusz Wilhelmi, wiceminister Kultury PRL i polska ekipa filmowa.

18-3-78

Zmarł we Wrocławiu biskup dr Józef Marek, sufragan archidiecezji wrocławskiej.

20-3-78

Zmarł w Warszawie, w wieku 75 lat, prof. Aleksander Kamiński, haremistrz, twórca i komendant główny organizacji małego sabotażu „Wawer”, jeden z przywódców podziemnej organizacji harcerskiej „Szare szeregi”, autor głośnych książek „Kamienie na szaniec” i „Zośka i Parasol”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

4-2-78

Zmarł w Rzymie, w wieku 73 lat, Jerzy Ney-Karkowski, artysta — tancerz i choreograf, żołnierz Drugiego Korpusu.

17-2-78

P. Maria Szurek-Wisti, *maître assistant* w Instytucie Języków Orientalnych w Paryżu, została mianowana profesorem.

19-2-78

Zmarł w Londynie dr Tadeusz Lisiecki, b. konsul R.P. w Bombaju (Indie).

28-2-78

Według obliczeń Szwajcarskiego Instytutu Gospodarki Światowej Związek Sowiecki zajmuje 29 miejsce w świecie jeśli idzie o dochód narodowy na głowę. Jeśli idzie o kraje RWPG, to zajmuje piąte miejsce po NRD, Węgrzech i Polsce.

1-3-78

W 1974 roku Aleksander Solżenicyn stworzył Fundusz Pomocy dla więźniów politycznych i ich rodzin w ZSSR, przeznaczając na to dochód z praw autorskich „Archipelagu GULag”. Do chwili aresztowania A. Ginzburga rozdano 360.000 dolarów.

3-3-78

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt Andrzeja Drawicza na temat „W diabelskim kręgu” (wokół twórczości Michaiła Bułhakowa).

4-3-78

Zmarł w Tel Avivie (Izrael), w wieku 72 lat, Abraham (Adolf) Berman, b. członek *Kneset* z ramienia *Mapam*, przewodniczący Związku Bojowników antynazistowskich i Ofiar Nazizmu — brat Jakuba Bermana z PRL. ■ Katolicki uniwersytet w Leuven (Belgia) stworzył lektorat języka polskiego z programem rozwinięcia go w ciągu 31 lat w Studium Polonistyczne. KUL podjął się zorganizowania, dla potrzeb sekcji, polskiej biblioteki, która ma

być warsztatem pracy dla belgijskich polonistów. Zajęcia z języka polskiego prowadzi dr Zofia Goczoł, która opiekuje się również powstającym księgozbiorem. Byłoby bardzo ważne by w Leuven znalazły się również wydawnictwa emigracyjne a nie tylko krajowe.

7-3-78

W Instytucie Katolickim w Paryżu odbył się odczyt prof. Henri Mazeaud pt. „Avec l'armée polonaise pendant la seconde guerre mondiale”.

11-3-78

Na zjeździe prezesów organizacji polonijnych w Pretorii powołano do życia Radę Polonii Afryka-Południe. Prezesem został wybrany p. Orzechowski.

15-3-78

Władze sowieckie pozbawiły obywatelstwa wybitnego wiolonczelistę Mstisława Rostropowicza i jego żonę, śpiewaczkę Galinę Wiszniewską (obecnie przebywających w Paryżu) oraz gen. Piotra Grigorenkę, znajdującego się w Stanach Zjednoczonych — za działalność „na szkodę ZSSR i narodu sowieckiego i podrywanie jego prestiżu”. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 83 lata, Mikołaj Dolanowski, członek P.O.W. K.N.3, sekretarz gen. BBWR, wiceminister MSW, major AK, b. premier rządu R.P. na wygnaniu, prezes główny Komisji Skarbu Narodowego.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

1. 4. br. odbył się w Instytucie Naukowym w Nowym Jorku wieczór autorski Danuty Mostwin z okazji 20-lecia jej pracy pisarskiej i ukazania się nowej książki „Odchodzą moi synowie”. ■ Komitet KOR Kongresu Polonii Amerykańskiej na stan Illinois zmienił nazwę na Komitet Pomocy Obrońcom Praw Człowieka w Polsce. Przewodniczącym Komitetu na 1978 rok został znany działacz polonijny p. Bonawentura Migala. Sekretarzem finansowym został p. Jan Jurewicz.

KRONIKA KANADYJSKA

W bieżącym roku akademickim, na terenie University of Ottawa, powstał Klub im. Kopernika, którzy — jak głosi ulotka informacyjna — zmierza do umożliwienia kontaktów między członkami wspólnoty uniwersyteckiej polskiego pochodzenia a osobami interesującymi się kulturą polską. Drugim celem Klubu Kopernika jest zaznajamianie kręgów uniwersyteckich z osiągnięciami kultury polskiej, „rozbudzając poczucie jej piękna i specyfiki”. Klub zorganizował już szereg imprez, w tym wystawę drzeworytów Stefana Mroźewskiego, prelekcję Siostry dr Zofii Zdybickiej, profesora filozofii K.U.L. w Lublinie pt. „Religia i filozofia we współczesnej Polsce”, wieczór dyskusyjny z referatem prof. Jerzego Wojciechowskiego pt. „Współczesna Polska w świetle ujawnionych dokumentów Głównego Urzędu Cenzury i niecenzurowanej prasy polskiej”, wystawę polskiego plakatu, książek, sztuki ludowej, przedstawienia sztuki Mroźka „Na pełnym morzu” oraz projekcje filmów polskich: „Życie rodzinne” Zanussiego, „Eroika” i „Perła w koronie” Munka. ■ 10. 2. br. odbyła się na Carleton University 9-ta kolejna prelekcja w ramach „Adam Mickiewicz Memorial Lecture”. Tegorocznym prelegentem był dr Józef Wilczyński, profesor ekonomii The Royal Military

College of Australia oraz University of New South Wales. Mówił na temat Pawła Strzeleckiego, jego działalności i osiągnięć. ■ Studenci University of Ottawa, przy współpracy wydziału slawistyki, przystąpili do publikacji czasopisma pt. „Poland To-day — La Pologne aujourd'hui”. Ukazał się nr 1 i wydawcy zapowiadają ukazanie się w bież. roku akademickim jeszcze dwóch numerów. Pismo ma mały format, niewielką objętość i jest dwujęzyczne (francusko-angielskie). Ma ono na celu zaznajamianie czytelników z rozwojem wydarzeń w Polsce, zapowiadając publikowanie tłumaczeń artykułów na temat współczesnej literatury i polityki, w tym również artykułów z prasy niecenzurowanej. Jako redaktorzy pisma figurują: Marek Czuma, Edward Ożóg, a konsultantami są profesorowie Zbigniew Folejewski i Tadeusz Krukowski. Na nr 1, o objętości 32 stron, składają się: 4 wiersze Anny Świrszczyńskiej, 3 artykuły z *Opinii*, wiersze Edwarda Balcerzana, Tomasza Jastruna, Stanisława Barańczaka, Jacka Bierzina i Rafała Wojaczka. ■ Kanadyjski Komitet Europejskich Narodów Ujarmionych, oddział w Ottawie, 22. 2. br. zorganizował wieczór dyskusyjny na temat wyników konferencji w Belgradzie i perspektyw z tym związanych. Referentami byli pp. sen. Paul Yuzyk, posłanka Simma Holt, pos. dr Stanley Haidasz i pos. Martin O'Connell. Postowie ci należą do Partii Liberalnej, a senator do Konserwatywnej, wszyscy uczestniczyli w obradach belgradzkich. ■ 23. 2. br. odbyło się przekazanie muzeum w Hamilton — serii 24 płócien pt. „Polscy Kanadyjczycy” pędzla znanego kanadyjskiego artysty malarza Williama Kureleka, zmarłego przed kilku miesiącami.

B. H.

KRONIKA SZWEDZKA

15. 12. 1977 r. w Sztokholmie ukonstytuowało się Stowarzyszenie Wolnych Polaków w Szwecji. Grupuje ono głównie młodych i nowych uchodźców. W ciągu dwóch miesięcy swego istnienia Stowarzyszenie rozwinęło już dużą działalność kulturalną urządzając co tydzień wieczory dyskusyjne. Planowane są na wiosnę wystawy polskich artystów-plastyków, wieczory muzyczne, artystyczne itp. imprezy. Do tej działalności powołano Klub Polski. ■ 20. 1. br. Szwedzki Urząd Imigracyjny zaproponował rządowi opracowanie ustawy, która dałaby pełne prawa emerytalne imigrantom, którzy nie posiadają jeszcze obywatelstwa szwedzkiego. Urząd Imigracyjny proponuje, by imigrant nabywał prawa do zaopatrzenia emerytalnego po 10 latach pobytu w Szwecji (Komisja emerytalna proponuje 15 lat). ■ Kwartałnik Związku Byłych Więźniów Politycznych *Jedność* uzyskał z państwowego funduszu popierania prasy imigracyjnej jednorazową dotację na bież. rok w wysokości Krs 7.000. ■ W okresie dziewięciu miesięcy 1977 roku odnotowano wzrost imigracji w Szwecji o 17% i spadek emigracji ze Szwecji o 20%. Wśród imigrantów przeważają Finowie, Turcy, Polacy i Chilijczycy. Imigracja z Grecji, dawniej liczna, obecnie jest coraz trudniej uzyskać w Szwecji prawo pobytu czy azylu. ■ Żadna z organizacji polskich uchodźców politycznych w Szwecji nie otrzymała dotacji od rządu szwedzkiego. Natomiast reżymowy „Krajowy Związek Polskich Stowarzyszeń w Szwecji” otrzymał Krs 40.000. ■ Statkowi pasażerskiemu M/S AALLOTAR, będącemu do niedawna w posiadaniu Finlandii, w końcu stycznia br. cofnięto prawo przejazdu przez tzw. Danziger Gatt w drodze do Nynäshamn, portu w pobliżu Sztokholmu, do którego dopływają promy polskie w drodze z Polski do Szwecji i Finlandii. Powodem tego zakazu przejazdu najkrótszą trasą do Szwecji jest przejście M/S Aallotar w posiadanie Polish Baltic Shipping Company. Wody

przez które miałyby przepływać Aallotar należą do wojskowej strefy ochronnej. ■ Zgodnie z rozporządzeniem Szwedzkiego Urzędu Imigracyjnego Polacy studiujący w Szwecji muszą wykazać się otrzymywaniem z Polski Krs 1.650 na utrzymanie, co uważane jest za minimum egzystencji. Tej kwoty nie wolno im gromadzić z zarobków uzyskanych w Szwecji. Przymusowym wydaleniem ze Szwecji zagrożonych jest obecnie ok. 800 studentów, w tej liczbie są i Polacy. Urząd Imigracyjny powołuje się na to, że wyżej wymieniona kwota odpowiada co do wysokości zasiłkowi, jaki otrzymują szwedzcy studenci. Rozporządzenie to nie dotyczy tych polskich studentów, którzy uzyskali w Szwecji prawo azylu i są traktowani na równi z obywatelami szwedzkimi. ■ Dr praw Göran Melander, szwedzki ekspert w zakresie prawa o cudzoziemcach, stwierdza w wywiadzie udzielonym piśmie *Svenska Dagbladet*, że: „Według prawa szwedzkiego osoba ubiegająca się o azyl w Szwecji — aby być uznaną za uchodźcę politycznego — musi wykazać, że we własnym kraju 'ryzykuje ciężkie i bezpośrednie prześladowanie'. Takiego zastrzeżenia nie ma w konwencji genewskiej”. Dalej dr Melander stwierdza, że: „Jesteśmy w Skandynawii bardzo surowi w stosowaniu konwencji genewskiej, którą bardziej rygorystycznie komentują i stosują jeszcze tylko Niemcy Zachodnie”. ■ Halina Mikołajska, znana polska aktorka i działaczka KOR-u, — w cieszącym się wielkim powodzeniem *tournée* po Skandynawii — występowała 11. 3. br. dwukrotnie w Kopenhagie w dwóch polskich stowarzyszeniach, 12. 3. br. w Lund (Szwecja), 14. 3. br. w Göteborgu, i 16. 3. br. w Sztokholmie, gdzie recytowała niedopuszczone do publikacji przez cenzurę poezje głównie młodych polskich poetów, przebywających w Kraju, oraz wiersze Czesława Miłosza. Wieczór ten odbył się pod egidą „Klubu Taniej Książki Polskiej”. Punktem kulminacyjnym występów Haliny Mikołajskiej była monodrama „O długim czekaniu” według „Historii Jakubowych” Tomasza Manna, odegrana na scenie Södra Teater w Sztokholmie.

N. Ż.

APEL ODDZIAŁU SPK W NORWEGII

W grudniu 1977 roku Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela zwrócił się z nowym apelem do rodaków w kraju i za granicą o pomoc materialną, niezbędną do prowadzenia działalności wydawniczej. Potrzebne są maszyny do pisania, powielacze, papier itp. W apelu Ruchu Obrony zwracają się m.in. do nas o pomoc dawni towarzysze walki o niepodległość — generał M. Boruta-Spiechowicz, najstarszy żołnierz Rzeczypospolitej żyjący w Kraju; gen. Michał Stempowski, komendant łódzkiego okręgu A.K.; płk Kazimierz Pluta-Czachowski, zastępca szefa sztabu K.G. A.K.; płk Henryk Bezeg, mjr Antoni Heda-Szary, mjr Władysław Molenda-Grab oraz ks. Bogdan Papiernik, kapelan A.K.

SPK w Norwegii w odpowiedzi na apel ROPCiO przesyła do Kultury w Paryżu na Fundusz Ruchu Obrony datkę w wysokości F. 250,00 zwracając się do wszystkich organizacji niepodległościowych o przyłączenie się do akcji pomocy dla Kraju — pomocy niezbędnej do realizacji naszego wspólnego celu.

Listy do Redakcji

Haga, 13 marca 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie odpowiadałbym na list p. J. J. Lipskiego (*Kultura* Nr 3/366, 1978) w sprawie moich uwag o książce A. Michnika (*Kultura* Nr 12/363, 1977) gdyby nie jedno jego zdanie, które nie powinno przejść bez zaprzeczenia.

P. Lipski pisze: „...nie znam wśród grup opozycyjnych w Polsce innej orientacji niż niepodległościowa”. Jest to zadziwiające twierdzenie. Bawiąc od pewnego czasu na Zachodzie, p. Lipski miał możliwość zapoznania się z wszystkim, co na temat opozycji pisze się w Kraju i na Emigracji. Czytał więc na pewno wiele wypowiedzi opozycjonistów, którzy głoszą „zgodność interesów Narodu i Partii”, proszą o „otwarcie dialogu” lub proponują tylko takie reformy, które by „nie przekreśliły monopartyjnego charakteru ustroju i kierowniczej roli PZPR”*. Czyż można takie postulaty nazwać orientacją niepodległościową? Są to wszystko dążenia do *przywrócenia zaufania* do Partii, która jest przecież narzędziem dominacji sowieckiej i podmiotem monopartyjnego totalitaryzmu. Orientacja niepodległościowa ma postawę odwrotną: *odmawia zaufania* Partii i przeciwstawia się wszystkiemu, co Partia reprezentuje. Opozycja orientująca się na utrzymanie ustroju nie tylko, że istnieje, ale także stanowi zagrożenie dla opozycji niepodległościowej. Bo zdarzyło się już w Polsce parę razy, że zryw prawdziwej opozycji poszły na marne dlatego, że dla swoich celów wykorzystano jej dążąca do władzy frakcja partyjna. Pamiętamy o tym wszyscy. Dlatego p. Lipski próbuje nam wmówić, że to zagrożenie nie istnieje?

P. Lipski zaciemnia także jeszcze jedną sprawę. Z tego, co pisze, można by odnieść wrażenie, że nie ma żadnej różnicy między „lewicą laicką” z książki Michnika a KOR-em. A przecież trudno je nawet z sobą zestawiać. W KOR-ze hierze udział kilkanaście osób, które można zaliczyć do „lewicy laickiej”, co stanowi zaledwie jej drobną część, a poza nimi są także w KOR-ze ludzie, którzy do „lewicy laickiej” nie należą. Nie należą też do niej liczni współpracownicy i sympatycy KOR-u.

Dlatego też można mieć zupełnie odmienne zdanie o „lewicy laickiej” i o KOR-ze. Jak Panu Redaktorowi wiadomo, zależy mi jak najbardziej na rozwoju wszystkich ośrodków prawdziwej opozycji w Polsce z KOR-em włącznie. Od dawna przecież o potrzebie takiej opozycji pisałem w *Kulturze*. Na „lewicę laicką” patrzę natomiast z zainteresowaniem, ale nie jestem pewien, jaki będzie ostatecznie jej wpływ na rozwój opozycji niepodległościowej.

* Wszystkie elementy tego stanowiska znaleźć można w: K. Modzelewski, „List otwarty do E. Gierka”, *Aneks* Nr 13/14, 1977 i E. Ochab i tow., „List do Gierka”, *Tydzień Polski* z 28. 1. 1978. Ponadto np. wywiad z J. Kuroniem, *Le Monde* z 29. 1. 1977 (o dialogu) i A. Michnik, „Vive la Pologne”, *Le Monde* z 16. 12. 1976 (o zbieżności interesów). Także i inni autorzy w różnej formie zwracają się do partii. Pisze o tym „Leopolda”, „Uwagi na marginesie programu”, *Ruch Oporu*, Instytut Literacki, Paryż, 1977, str. 238-240.

ciowej. Po to właśnie, żeby te swoje wątpliwości przedstawić, napisałem mój artykuł.

Istotną jego treścią jest analiza perspektyw pewnego procesu polityczno-społecznego. Nie próbowałem w nim oceniać postępowania poszczególnych osób i dlatego nie wymieniłem w nim nawet żadnego nazwiska, prócz samego Michnika i autorów cytowanych w odsyłaczach. Dziwię się więc, że p. Lipski zabrał się do odpierania jakichś ataków osobistych, których w moim artykule wcale nie było. Fakt, że sam p. Lipski nie był nigdy członkiem Partii i to, że niektórzy członkowie KOR-u mają piękne życiorysy, nie może mieć żadnego wpływu na moją analizę, szczególnie, że przytacza on nazwiska ludzi, którzy z różnych względów należą do wyjątków. Podanie tych paru nazwisk nie podważa podstawowego faktu, że „lewica laicka” wywodzi się głównie z Partii lub jej przybudówek. Wiadomo o tym nie z żadnej „szepanej propagandy”, ale z samej książki Michnika (str. 14).

Tak, jak nikogo personalnie nie atkowałem, tak również nie zaliczałem nikogo do żadnej kategorii. Powiedziałem tylko, jakie mogą być kategorie. Każdy sam określa swoją do nich przynależność przez to, co mówi i co robi. W ten sposób samookreśliła się ostatnio jako opozycja wewnątrz-partyjna grupa Ochaba, potwierdzając moje w tym względzie przypuszczenia.

Ton listu p. Lipskiego pozostawiam bez komentarzy. Od jego insynuacji odwracam się z pogardą.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku,

Jan DREWNOWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Marian Katuski, Melbourne. — Listu nie wydrukujemy. *Kultura* drukowała tylko jeden Pana artykuł w 1968 roku pt. „O wielkości Hruszewskiego” oraz 5 listów do Redakcji.

Pani J. W. P., Jersey City. — Nie zamieścimy. List przekazaliśmy zainteresowanemu autorowi.

J. W., Meriden (USA). — Nie zamieścimy. Radzimy przeczytać „Oreddie Biskupów Polskich do Episkopatu Niemieckiego” z 1965 roku. Było ono wydane w „Bibliotece Kultury” w 1966 roku w serii „Dokumenty”

A. F. Z., Brooklyn. — Listu nie zamieścimy. W jednym z najbliższych numerów *Kultury* ukaże się polemika z artykułem M. Głogoczowskiego.

B. Sz., Monachium. — Nie zamieścimy. List jest za długi, a te żałosne spory, tak kompromitujące emigrację, nie są interesujące dla czytelników *Kultury*.

SPROSTOWANIA

W artykule „Prasa samizdatowa w Polsce”, zamieszczonym w nr. 3/366 *Kultury* (marzec 1978) jest pomyłka: redaktorem pisma *Gospodarz* jest Piotr Typiak — a nie J. Pypiak.

W moim artykule o Konstantym Brandlu (*Kultura* Nr 3/366 — marzec br.) podałem błędnie nazwisko autorki wstępu do katalogu artysty — za co ją przeproszam. Brzmi ono Irena Jakimowicz (a nie Irena Jachimowicz).

Józef CZAPSKI

Dokumenty

OŚWIADCZENIE KOMITETU SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Przesyłamy Wam oświadczenie Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” i zespołu redakcyjnego pisma *Robotnik*, wydawanego poza zasięgiem cenzury, w sprawie prześladowań i dyskryminacji ludzi występujących w obronie praw robotniczych.

w imieniu KSS „KOR” — prof. Edward Lipiński,
w imieniu zespołu redakcyjnego *Robotnika* — Wojciech Onyszkiewicz.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR” I ZESPÓŁ „ROBOTNIKA”

Warszawa, 21 stycznia 1978.

OŚWIADCZENIE

W ostatnich miesiącach ofiarami szykan policyjnych stali się szczególnie robotnicy współredagujący pismo *Robotnik* lub ściśle związani z działalnością Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. 15 listopada 1977 MO zatrzymała w Grudziądzu Maksymiliana Moźdrzyńskiego i jego żonę. M. Moźdrzyński jest jednym z trojga sygnatariuszy listu do Edwarda Gierka, napisanego 15 sierpnia 1977, w sprawie 43 robotników zwolnionych z pracy z pomorskiej odlewni i emalierni po czerwcem 1976.

W kilka dni po zatrzymaniu państwa Moźdrzyńskich zatrzymani zostali w Grudziądzu M. Moźdrzyński ponownie, Stanisław Domagalski, współpracownik Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” wraz z dwoma sublokatorami, Edward Zadrożyński, współpracownik KSS „KOR” z córką, Renata i Bronisław Nagielowie (R. Nagielowa jest sygnatariuszką listu do E. Gierka). W mieszkaniu Stanisława Domagalskiego przeprowadzono rewizję. W mieszkaniu R. i Br. Nagielów podczas przetrzymywania ich w KMO założono podsłuch. Od wszystkich pobrano odciski palców, a podczas prób ich formalnych przesłuchań domagano się współpracy z SB oraz informacji o kontaktach z KSS „KOR”.

W grudniu 1977 E. Zadrożyński wszedł w skład redakcji *Robotnika*. 2 stycznia 1978 roku funkcjonariusze MO wkroczyli do jego mieszkania z nakazem rewizji wystawionym na nazwisko jego syna Mirosława, w związku z podejrzeniem o napad rabunkowy. Jednakże rewizja koncentrowała się głównie na papierach i książkach E. Zadrożyńskiego a podczas przesłuchania — jako świadka — (E. i M. Zadrożyńskich zatrzymano w KMO) próbowano zmusić syna do składania donosów na ojca wypytując M. Zadrożyńskiego przede wszystkim o kontakty ojca z przedstawicielami KSS „KOR” oraz o innych robotników z Grudziądza.

Władysław Sulecki, górnik z kopalni „Gliwice” od wielu miesięcy jest przedmiotem dręczących i różnorodnych szykan. W maju 1977 został pobity na oczach świadków przez funkcjonariuszy MO. We wrześniu 1977 MO odmówiła mu pomocy gdy napadł go na ulicy nieznanemu osobnik. Po wejściu Władysława Suleckiego w skład redakcji *Robotnika* represje wobec niego zmieniły charakter. Dawnego kierownika zmieniono mu na znanego z ordynarności wobec górników Mariana Płonkę (potrafił on wymyślać górnikom od przeklętych szwabów i twierdzić, że za Niemca zostaliby już dawno rozstrzelani). M. Płonka przerzuca Wł. Suleckiego od jednej pracy do innej

zmniejszając w ten sposób jego zarobki zgodnie z zapowiedzią M. Płonki, że „zmusi on Władysława Suleckiego do jedzenia kartofli z solą”. Władysław Sulecki nie otrzymał trzynastej pensji. Włamano się do jego szafki w kopalni. M. Płonka dokonał na nim bezprawnie rewizji osobistej. Szykany spotykają całą rodzinę Suleckich: nieznanymi sprawcy podruzcają obornik pod drzwi mieszkania i zamalowują okna olejną farbą (ostatni raz zamalowano okna rodzinie Suleckich w dzień wigilijny 1977. Miejscowe władze MO odmawiają interwencji i pomocy.

W Radomiu kilkakrotnie zatrzymywano i usiłowano przesłuchać Leopolda Gierka, członka kolegium redakcyjnego *Robotnika*, współzałożyciela radomskiej komórki tego pisma. Wchodząc na teren jego zakładu pracy (Zręb) funkcjonariusze MO ostrzegają kolegów L. Gierka przed utrzymywaniem z nim kontaktów. Pod koniec grudnia 1977 kurator sądowy groził mu odwiezieniem wyroku ograniczenia wolności wydanego za udział w wydarzeniach czerwcowych. W zakładzie pracy, w którym L. Gierek odpracowywał karę ograniczenia wolności w tajemniczy sposób zaginęły papiery dokumentujące ilość przepracowanych godzin. L. Gierek został więc zmuszony do dodatkowej pracy w ramach wyroku sądowego. 13 grudnia 1977 w mieszkaniu współpracującej z radomską komórką *Robotnika* Ewy Sobol i jej rodziców założono podsłuch. Jesteśmy w posiadaniu części urządzenia.

Dom Kazimierza Świtonia, technika telewizyjnego w Katowicach, działacza Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, dzień i noc jest obserwowany przez funkcjonariuszy MO i SB. Legitymują oni i fotografują gościa K. Świtonia. Jego żonę nękają codziennie telefony z obelgami i pogrozkami, które niejednokrotnie zapowiadają śmierć córki.

Te bezprawne działania mają najwyraźniej ściśle określony cel. Jest nim uniemożliwienie przez władze bezpieczeństwa wszelkiej działalności w obronie interesów robotniczych. Usiłuje się moralnie i fizycznie zastraszyć przywódców robotniczych środowisk. W tej sytuacji zwracamy się do wszystkich ludzi dobrej woli; zwracamy się do kolegów prześladowanych o udzielenie im pomocy; do opinii publicznej o jak najszersze informowanie o prześladowaniach; zwracamy się do organizacji związkowych na Zachodzie o interwencję. Wierzmy, że akcja w obronie szykanowanych okaże się skuteczna.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”
I ZESPÓŁ „ROBOTNIKA”

OŚWIADCZENIE

W związku z pogłębiającym się kryzysem gospodarczym, narastającą falą niezadowolenia najszerszych rzesz narodu, władze świadome utraty resztek zaufania w społeczeństwie zdecydowały się na zerwanie z koniunkturalnym liberalizmem i zademonstrowanie narodowi swej bezwzględnej siły. Terroryzowanie społeczeństwa niczym już niezakamuflowanym bezprawiem ma być panaceum na wszystkie zasadnicze problemy, których rozwiązanie wymaga głębokich reform strukturalnych.

W ostatnich tygodniach na terenie całej Polski obserwujemy głębokie zaostrenie represji policyjnych, skierowanych przeciw demokratycznej opozycji w kraju. Na terenie Trójmiasta sytuacja, spokojna na jesieni, pogorszyła się w grudniu. 5 grudnia SB przeprowadziła cztery rewizje w mieszkaniach działaczy ROBCiO i SKS^u, w trakcie których skonfiskowano materiały redakcyjne i powielacz. 16 grudnia, po zakończeniu uroczystości składania wieńców w miejscu pierwszych grudniowych morderstw, dokonano chulińskiego napadu na grupę osób powracających spod stoczni, w trakcie którego zrabowano kamerę fotograficzną. 18 grudnia Kolegium Administracyjne skazało Bożenę Rybicką za rozklejanie klepsydr informacyjnych

o uroczystościach w rocznicę Grudnia. 17 grudnia zatrzymano A. Halla i A. Słomińskiego za zbieranie podpisów pod apelem obywatelskim o opublikowanie Paktów Praw Człowieka i Obywatela w Dzienniku Ustaw PRL. Nękano osoby udostępniające swe mieszkania na spotkania. Trwała niestanna inwigilacja przez SB, próby zastraszenia i tworzenia utrudnień w uzyskaniu i kontynuowaniu pracy, w uzyskaniu mieszkania, napastliwe anonimy, telefony z pogrozkami, naciski władz uczelnianych wobec studentów.

Ostatnio nastąpiło gwałtowne zaostrenie wobec grup i środowisk demokratycznej opozycji. 18 lutego zatrzymano i odwieziono przymusowo do Warszawy A. Macierewicza, który miał wygłosić w Gdańsku odczyt. 23 lutego władze zdecydowały się na terrorystyczne uderzenie: SB wdarła się do mieszkania B. Borysewicza aresztując 11 osób uczestniczących w spotkaniu kółka samokształceniowego na temat historii Polski. Uczestników spotkania szarpano, duszono, użyto gazów łzawiących w sposób powodujący poparzenie ich twarzy. Wyrvano drzwi wraz z futryną. Ze zdemolowanego mieszkania wywleczono Bogdana Borsewiczę i Stanisława Śmigła. Pozostałych uczestników doprowadzono na Komendę MO w Sopocie pod absurdalnym zarzutem dokonania włamania. Podczas napadu zrabowano magnetofon, książki, notatki, taśmy magnetofonowe i fotograficzne. Kolegium Administracyjne skazało B. Borsewiczę na dwa tygodnie aresztu, S. Śmigła na jeden tydzień, A. Stefaniaka na 3.000 zł grzywny.

Zastosowane ostatnio zaostrenie represje policyjne wobec demokratycznej opozycji mają służyć wyizolowaniu grup i środowisk opozycyjnych ze społeczeństwa, utrudnieniu obiegu wolnej informacji, uniemożliwieniu rozszerzania się środowisk gotowych do jawnego przeciwstawienia się sprzecznej z interesami narodu polityce na polu politycznym i kulturalnym, oraz gospodarczym.

Zorganizowane środowiska opozycji demokratycznej nie dadzą się zepchnąć do konspiracji, nie dadzą się sprowokować i nigdy nie uciekną się do aktów terroru, które zostałyby wykorzystane do likwidacji wszelkich spontanicznie ukształtowanych autentycznych inicjatyw społecznych. Odrzucając cynizm politycznych manipulatorów usiłujących nie dostrzegać, że działalność grup i środowisk opozycyjnych opiera się na dążeniach całego tak dawno zniewolonego społeczeństwa, może przynieść nieobliczalne następstwa. Władze nie mogą nie dostrzegać faktu, że podjęte działania represyjne są całkowicie nielegalne i sprzeczne z konstytucją PRL i międzynarodowymi Paktami Praw Człowieka i Obywatela. Więcej, są one sprzeczne z dążeniami narodu i jako takie pozostaną bezskuteczne. Świadomy swych celów, zdeterminowany naród nie da sobie odebrać niczego co wywalczył za cenę krwi i upokorzeń. Nie zaprzestaniemy szczerego i otwartego głoszenia swych racji. Nie zaprzestaniemy jawnej i legalnej walki o swoje ideały. Nich żyje Polska!

W imieniu:

Biura Interwencyjnego KSS „KOR” w Gdańsku — *Andrzej Gwiazda*;
Punktu Konsultacyjno-Informacyjnego ROBCiO — *Tadeusz Szczudłowski*;
Klubu Swobodnej Dyskusji ROBCiO — *Jan Samsonowicz*;
Niezależnego Domu Kultury — *Mariusz Muskat* (sygnatariusz deklaracji Ruchu Demokratycznego);
Studenckiego Komitetu Solidarności uczelni Trójmiasta — *Piotr Dyk*,
Anna Młynik, *Magdalena Modzelewska*, *Grzegorz Pliszka*, *Andrzej Słomiński*;
Redakcji „Bratniaka” — *Aleksander Hall* (uczestnik ROBCiO);
Gdański korespondent „Indeksu” — *Danuta Kędzińska*;
Gdański korespondent „Robotnika” — *Krzysztof Wyszowski*.

Po „Oświadczeniu” następuje protest, pod którym zbierane są obecnie

podpisy w Trójmieście, i który, według intencji inicjatorów, stanowi integralną część oświadczenia.

PROTEST

Protestujemy przeciwko zastosowanym ostatnio brutalnym metodom walki ze środowiskami opozycji demokratycznej w Polsce. Przeciwko ograniczaniu prawa do swobodnego wyrażania opinii, gwałceniu prawa do swobodnego zgromadzenia się, ingerencji SB w życie prywatne, zamachom na godność osobistą i dobre imię, ciągłym inwigilacjom przez SB, bezprawnym przymusom i naciskom, dyskryminacji światopoglądowej, łamaniu Konstytucji PRL i Paktów Praw Człowieka i Obywatela.

TOWARZYSTWO KURSÓW NAUKOWYCH

OŚWIADCZENIE

Dnia 3 marca 1977 roku Rada Państwa w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ratyfikowała Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych. Dekret ratyfikacyjny opatrzony pieczęcią Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i podpisami Przewodniczącego Rady Państwa, oraz Ministra Spraw Zagranicznych stwierdza iż: „Po zaznajomieniu się z powyższym paktem Rada Państwa uznała go i uznaje za słuszny zarówno w całości jak i każde z postanowień w nim zawartych. Oświadcza że wymieniony pakt jest przyjęty, ratyfikowany i potwierdzony, oraz przyrzeka, że będzie niezmiennie zachowywany” (Dz.U. PRL nr 38 z 29. 12. 1977, poz. 167).

Art. 19 ratyfikowanego paktu gwarantuje prawo każdego człowieka do swobodnego wyrażania opinii oraz poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania wszelkich informacji i poglądów. Art. 21 tegoż paktu uznaje prawo do spokojnego zgromadzenia się. Oba te prawa mogą podlegać takim tylko ustawowym ograniczeniom jakie są niezbędne dla poszanowania praw i dobrego imienia innych osób lub dla bezpieczeństwa państwowego, porządku publicznego, zdrowia i moralności publicznej.

Kursy TKN działają pod ochroną wymienionych artykułów paktów realizując promulgowane w nich prawa, uznając w pełni i respektując nałożone warunki. Są przeto objęte publicznym i międzynarodowym zobowiązaniem rządu i Rady Państwa PRL do niezmiennego zachowywania postanowień paktu. Cele i zadania pracy edukacyjnej, popieranej przez Towarzystwo Kursów Naukowych, zostały przedstawione w jego deklaracji założycielskiej z dnia 22. 1. 1978. Cele te i sposób ich realizacji zgodne są z najwyższym wspólnym dobrem kultury narodowej, której autentyczny rozwój może dokonywać się tylko w atmosferze duchowej swobody i poznawczej dociekliwości.

Tymczasem od połowy lutego br. praca grup samokształceniowych, czy to objętych patronatem naszego towarzystwa, czy to powstających niezależnie od niego, spotyka się z różnymi formami przeciwdziałania, nękania ze strony władz administracyjnych i porządkowych. Osoby używające swych mieszkań na wykłady i seminaria spotykają się ze strony urzędników Wydziału Spraw Wewnętrznych miasta stołecznego Warszawy z groźbą wniesienia spraw do Kolegium Orzekającego, oraz pozbawienia ich praw do zajmowanego mieszkania. Jest to groźba bezprzykładna, a jej realizacja byłaby pozbawiona wszelkiej podstawy prawnej. Sam fakt posługiwania się takimi groźbami obraża praworządność i stwarza zagrożenie elementarnych praw ludzkich.

Jeden z wykładowców TKN w ciągu dwóch tygodni był pięciokrotnie zatrzymywany przez MO na ulicy, przetrzymywany w areszcie bez uzasadnienia. Dwukrotnie funkcjonariusze pobili go dotkliwie nie szczędząc też

zniewag i grózb. Słuchacze udający się na zajęcia lub opuszczający je bywali legitymowani na ulicy, a ich nazwiska były spisywane, pomimo iż swoim zachowaniem nie dawali do tego najmniejszego powodu. W Krakowie milicja przerwała wykład, a w Sopocie zajęcia grupy seminaryjnej. W obu wypadkach użyto gazu łzawiącego. Nie wiemy do czego zmierza i co chce wywołać ta akcja organów, mających za zadanie strzec porządku publicznego i bezpieczeństwa państwa. Ani wykładowcy, ani uczestnicząca w pracy samokształceniowej młodzież porządku i bezpieczeństwa nie naruszają. Wszystkie kursy objęte patronatem towarzystwa pracują w spokoju i powadze. Towarzystwo czuwa nad tym i troszczyć się o to nie przestanie. Wszelako opisane działania represyjne powodują stan napięcia dając tym podstawy do obaw o możliwe niebezpieczne następstwa.

Kursy objęte patronatem TKN będą kontynuowane zgodnie z ustalonymi programami. Wszystkich uczestników wzywamy do zachowania w każdej sytuacji całkowitego opanowania. Zaś do kompetentnych władz apelujemy o powstrzymanie nieopatrznych działań, oraz o poszanowanie spokoju i powagi w jakich praca samokształceniowa się odbywa.

Za Towarzystwo Kursów Naukowych:
KOMISJA PROGRAMOWA TKN

Warszawa, dnia 2 marca 1978 r.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Warszawa

Warszawa, 10 marca 1978.

DO AMNESTY INTERNATIONAL

W dniu 28 lutego zwróciliśmy się do Amnesty International z prośbą o interwencję w sprawie trwającej w Polsce kampanii policyjnej wymierzonej przeciw akcji samokształceniowej wśród młodzieży. Telegram w tej sprawie nie dotarł do adresata.

Kampania policyjna nie ustaje. Na seminaria i spotkania dyskusyjne młodzieży studenckiej i grup robotniczych wkracza MO i SB stosując przemoc fizyczną (Kraków 10.2, Sopot 22.2, Radom 24.2, Wrocław 5.3), gazy łzawiące, oraz wielogodzinne zatrzymania w aresztach. W dniach od 10 lutego do 5 marca w Warszawie, Gdańsku, Krakowie, Lublinie, Wrocławiu, Katowicach zatrzymano na wiele godzin ogółem 78 osób, w tym niektóre z nich wielokrotnie. Członkowi Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” Bogdanowi Borusewiczowi, prowadzącemu seminarium historyczne w Sopocie, Kolegium Karno-Administracyjne wymierzyło karę 14 dni aresztu, którą następnie Sąd Rejonowy podniósł do 21 dni. Bogusławie Blajfer, prowadzącej spotkanie dyskusyjne we Wrocławiu wymierzono karę 7 dni aresztu. 18 uczestnikom spotkania dyskusyjnego we Wrocławiu Kolegium Karno-Administracyjne wymierzyło grzywnę na sumę łączną 45 tys. zł. Dwa uczestniczki tego spotkania, Jolanta Bujwit i Janina Stasiacyk, zostały skazane na 3 miesiące pracy obowiązkowej z potrąceniem 25 % poborów na rzecz skarbu państwa. W dniach od 10 lutego do 5 marca w Warszawie, Gdańsku, Krakowie, Wrocławiu, Radomiu przeprowadzono ogółem 18 rewizji w mieszkaniach prywatnych i hotelach robotniczych. Zabierano książki, broszury, pisma wydawane poza cenzurą przez niezależne instytucje społeczne. Szczególnie gorliwie policja poszukuje i konfiskuje pismo *Robotnik* poświęcone obronie interesów robotniczych. Robotników i studentów podejrzanym o udział w niezależnej działalności społecznej policja wzywa na rozmowy, w trakcie których szantażem i groźbami próbuje ich skłonić do współpracy konfidenckalnej.

W odpowiedzi na kampanię policyjną Towarzystwo Kursów Naukowych

(skupiające wybitnych, uczonych i artystów), także inne niezależne instytucje społeczne ogłosiły oświadczenia, w których deklarują, że nie zaprzestaną swojej działalności mimo represji. Racje moralne są po stronie społeczeństwa. Cała odpowiedzialność za niepokój społeczny, który akcja polityczna wywołuje, spada na władze państwowe. Naruszająca prawo działalności policji ma najwyraźniej charakter planowej i centralnie kierowanej akcji przeciwko społecznej pracy oświatowej, oraz przeciwko zrzeszaniu się robotników. Prosimy o interwencję.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

KOMUNIKAT

Zawiadamiamy naszych Czytelników że, ze względu na dłuższy pobyt w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, *Korespondencja z Rzymu* Dominika Morawskiego ukaże się dopiero w numerze majowym *Kultury*.

REDAKCJA

(Ciąg dalszy Wpłaty ze str. 2-giej)

WPLATY NA R.O.P.C.i.O.

Bezimiennie z Oslo	F. 44,00
Bezimiennie z Ottawy	F. 90,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada)	F. 47,30
Władysław Gauza, Oslo	F. 40,00
E. A. Kałużyński, Eaglemont, Vic. (Australia)	F. 54,20
Dr Tadeusz Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA)	F. 153,50
K. Nowagowski, Narrandera (Australia) — przekazane przez <i>Wiadomości Polskie</i>	F. 27,10
B. Szostak, Oslo	F. 40,00
Stowarzyszenie Polskich Komitantów w Norwegii, Oslo	F. 250,00
— suma ta przekazana w połowie stycznia br. została w numerze marcowym <i>Kultury</i> mylnie zapisana jako dar na Fundusz <i>Kultury</i> za co ofiarodawców przepraszamy.	
Hanna Chorążyna, Bruksela — ze specjalnym przeznaczeniem na pismo <i>Gospodarz</i>	F. 200,00
Jerzy i Janina Grot-Kwaśniewscy, Melbourne — z przeznaczeniem na fundusz wydawniczy <i>Opinii</i>	F. 100,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZINSKI.
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal: 2^e Trimestre 1978.

Imprimé en France

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 15,00	R. 29,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,75	\$ A 18,00	\$ A 35,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaternergasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 150,00	F.B. 850,00	F.B. 1 600,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ 35,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » 1 w księgarniach polskich w Paryżu	F. 15,00	F. 80,00	F. 150,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,50	Fl. h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1, Tel 486-2339; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,75	\$ Can. 18,00	\$ Can. 35,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM 8,00	D.M. 50,00	D.M. 85,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ..	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 15,00	K.S. 85,00	K.S. 160,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dzienawska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia. Pa 19103. POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt 10, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ US 35,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 1.85	£stg. 10.00	£stg. 19.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 160; półroczna — F. 85.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTYTUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 285 — KAZIMIERZ BRANDYS

SERIA « BEZ CENZURY »

NIERZECZYWISTOŚĆ

NOWA POWIEŚĆ WYBITNEGO PISARZA.

Str. 128.

Cena F. 25,00.



TOM 286 — WŁADYSŁAW GNOMACKI

TOWARZYSZ SZMACIAK

SATYRA WIERSZEM NA APARAT PARTYJNY I UB.

Str. 72.

Cena F. 20,00.



TOM 287 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY TRZECI

Zawiera m.in. prace: Kazimierza Okulicza — *O Piłsudczykach, Instytucie im. Piłsudskiego i „Niepodległości”*; St. Wójcika — *Na trzydziestolecie wyborów; Pamiętniki: T. Katelbacha i A. Mühlsteina; W. W. Kulskiego — Pamiętnik b. polskiego dyplomaty (dok.); W. Krzyżanowskiego — Lata budapeszteńskie (3); P. Korca — Przyczynek do dziejów Powstania Warszawskiego 1944; M. Malinowskiej — Cztery listy Gomułki; POLEMIKI, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 35,00.

Cena 15 F